BIULETYN IPN

pamięć.pl

nr 11 (32)/2014

Jak Bierut hymn zmieniał

Święto Niepodległości w Starobielsku

Bezpieka pali akta

Cena 6 zł (5%VAT)

ISSN 2084-7319

numer indeksu 284521
nakład 10 500 egz.

Dodatek specjalny:
broszura *Danuta Siedzikówna „Inka” 1928–1946* oraz płyta z filmem *Dzieci Kwatery „Ł”*

Całość floty rzymskiej dzielono na flotylle (classis), z których każdą dowodził praefectus classis. Ich nazwy zależały od rejonu, w którym stacjonowały. Oprócz jednostek samego Rzymu, w jego flocie służyły też tak zwane flotylle posiłkowe dostarczane, dobrowolnie lub przymusowo, przez nacje z nim sfederowane. Oprócz okrętów stricte bojowych Imperium rozporządzało także znaczą ilością mniejszych jednostek zwiadowczych i patrolowych. W szczególnych sytuacjach różnego rodzaju funkcje pomocnicze, a nawet mniej ważne zadania zbrojne, wypełniała flota handlowa. Większe statki transportowe służyły głównie do przewożenia armii ekspedycyjnej oraz zaopatrzenia i żywności na teren działań wojennych. Wielka ich liczba wyruszyła wraz z całą flotą rzymską (liczącą trzysta trzydzieści okrętów) w ekspedycję zbrojną przeciw Kartaginie, zakończoną bitwą morską u przylądka Eknomos w 256 roku przed naszą erą. W czasach republiki naczelne dowództwo nad flotą wojenną leżało w gestii dwóch konsulów. Do sprawowania kontroli nad pojedynczymi flotyllami wyznaczali oni własnych pomocników: trybunów bądź legatów. W 311 roku przed naszą erą z inicjatywy Appiusza Klaudiusza Caecusa przeprowadzono reformę, w myśl której każdy z konsulów dobierał sobie do pomocy jednego oficera floty. Nosił on nazwę duumvir navalis i był członkiem dwuosobowego kolegium duoviri navales. Począwszy od 267 roku przed naszą erą sprawami finansowymi dotyczącymi floty rzymskiej oraz ochroną morskich szlaków handlowych zajmowali się czterej quaestores classici. W czasach II wojny punickiej, z racji dużej ilości morskich potyczek i bitew, należało stworzyć nowy rodzaj dowództwa. Związane z nim zadania przejął praefectus classis podlegający bezpośrednio konsulom. Pod koniec III wieku przed naszą erą w sprawach morskich zauważalny stał się spadek prestiżu konsula, który ostatni raz dowodził flotą w 218 roku. Jego uprawnienia przejmowali stopniowo inni wysocy urzędnicy, na przykład w trakcie wojen macedońskich całością floty kierował mianowany przez senat legatus pro praetore. Pod koniec II wieku przed naszą erą po raz pierwszy wydzielonymi eskadrami dowodzili podlegający temu ostatniemu legati classici. Głównym dowódcą okrętu wojennego był trierarchus. Jego rozkazom podlegał centurio classicus, a więc dowódca oddziału żołnierzy pokładowych. Obowiązki szypra, czyli dowodzącego mniejszymi jednostkami pływającymi, głównie handlowymi, pełnił nauarchus. Z biegiem czasu, kiedy flota rzymska stała się liczną i znaczącą siłą morską, powołano stanowisko przełożonego szyprów, które pełnił nauarchus princeps. W zależności od rodzaju okrętu wojennego na jego pokładzie znajdowała się mniejsza lub większa liczba załogi. W jej skład wchodzili: kadra dowódcza, żołnierze okrętowi (classiari lub marines), wioślarze (remiges), żeglarze (nautae), sternik oraz fletnista bądź trębacz nadający odpowiednie tempo wiosłowania. Oficerowie pokładowi, których głównym zadaniem był nadzór nad pracą wioślarzy oraz wydawanie odpowiednich rozkazów i komend, zajmowali miejsce na niewielkim pokładzie nawigacyjnym umiejscowionym na rufie okrętu flagowego. Na jego maszcie wywieszano flagę z typowo rzymskimi symbolami lub – w czasach Imperium – wizerunkiem cesarza (imago). Przebieg przegranej przez Kartagińczyków bitwy u przylądka Eknomos w 256 r. p.n.e. Istotne zadania pełnił na rufie sternik, który manewrował okrętem podczas bitwy oraz odpowiadał za nawigację w czasie żeglugi. Było to możliwe dzięki dwóm zsynchronizowanym wiosłom sterowym, które znajdowały się po obu stronach kadłuba okrętu. Wioślarze i żeglarze dysponowali jedynie lekkim uzbrojeniem zaczepnym (głównie oszczepami, które podczas żeglugi chowano pod ławeczki wioślarskie), aczkolwiek ich zadaniem, oprócz wprawiania okrętu w ruch i nadzorowania żagli, było również uczestniczenie w bitwie, jeśli tylko wymagała tego sytuacja. Używali oni przeróżnych sposobów walki: począwszy od wylewania kotłów z gorącą cieczą na pokład przeciwnika, poprzez rzucanie koszów wypełnionych jadowitymi wężami bądź skorpionami, a skończywszy na miotaniu pocisków za pomocą procy oraz rzucaniu oszczepami, nawet z pozycji siedzącej. Każdy okręt wojenny, bez względu na wielkość, posiadał na swym pokładzie określoną liczbę legionistów, którzy podczas rejsu zajmowali miejsce w części dziobowej. Przeważnie była to tak zwana centuria classica licząca stu zbrojnych. W okresie późnej republiki oraz pryncypatu classiari posiadali następujące uzbrojenie: tunikę kolczą (lorica hamata) bądź dobrze dopasowany do tułowia pancerz (na wzór „pancerza atlety") i przytroczone do niego pteryges, czyli połączone ze sobą skórzane pasy, często laminowane metalem, dla lepszej ochrony podbrzusza; hełm typu beockiego ze specyficznym rondem opadającym ku dołowi i napolicznikami wiązanymi pod brodą, oszczep do dwóch metrów długości; krótki miecz (gladius). Ponadto na wyposażeniu żołnierzy pokładowych znajdowały się owalne tarcze zdobione zazwyczaj motywami morskimi (na przykład harpunami lub podobiznami boga Neptuna) i zawieszane na specjalnym pasku na ramieniu. Na podstawie znalezisk archeologicznych w Pompejach i wyobrażeń scen morskich w sztuce rzymskiej można odtworzyć także ubiór legionistów okrętowych. Typowy classiarus nosił tunikę, długi płaszcz (przeważnie koloru czerwonego) i sandały. W rzymskiej flocie wojennej służyli także sojusznicy morscy (socii navales). Zaliczali się do nich np. Grecy oraz Italikowie sprzymierzeni z Rzymem. W kontekście planowania morskiej wyprawy do Afryki w czasie II wojnie punickiej Tytus Liwiusz zanotował: Ludy Umbrii, a obok nich mieszkańcy Nursji, Reate i Amiternum, a także każdy kraj sabiński przyrzekły dostarczenie żołnierzy. Z Marsów, Pelignów, Marrucynów wielu zgłosiło się na ochotnika do służby na okrętach. Kamertowie, choć byli w przymierzu z Rzymem na równych prawach, przysłali uzbrojony oddział sześciuset ludzi. Z biegiem czasu, korzystając z ujarzmienia wielu plemion barbarzyńskich, do załóg okrętowych włączono też przedstawicieli podbitych nacji (symmacharii), którzy nie posiadali obywatelstwa rzymskiego i otrzymywali je dopiero po ukończeniu służby wojskowej. Zwykle odbywali ją oni jedynie w czasie wojny, otrzymując w zamian wynagrodzenie pieniężne. Symmacharii nie posiadali specjalnego przeszkolenia i walczyli według własnego stylu, właściwego dla plemienia, z którego pochodzili. Przewodzili im, dla ułatwienia kontaktu między dwoma stronami, nie w pełni zromanizowani wodzowie wywodzący się z terenów podbitych, w całości jednak podlegający dowództwu rzymskiemu. W zależności od rejonu stacjonowania poszczególnych flotylli rzecznych w skład rzymskich załóg wchodzili: Iberowie, Brytowie, Germanie, Gallowie a nawet Maurowie lub szerzej – mieszkańcy Afryki Północnej. Symmacharii posiadali typowe, barbarzyńskie uzbrojenie: oszczep, sztylet, okrągłą tarczę wykonaną z drewna i wzmocnioną metalowym umbem oraz maczugi. Charakterystyczną cechą tych zbrojnych był brak pancerza, choć czasami w celu częściowej choć ochrony tułowia i torsu stosowano wielowarstwowe płócienne tuniki. Wspomniani wcześniej Maurowie w warunkach morskich uzbrajali się w kilka krótkich oszczepów do rzucania, okrągłą tarczę niewielkich rozmiarów zakładaną na przedramię oraz wełnianą tunikę. Z barbarzyńców rekrutowały się także jednostki odpowiadającą za walkę na odległość. Zaliczyć do nich należy łuczników, których często werbowano spośród mieszkańców Bliskiego Wschodu – znani ze swych wysokich umiejętności byli przede wszystkim łucznicy syryjscy. Na ich orientalne uzbrojenie składały się: hełm stożkowy, pancerz łuskowy, nakarcznik, łuk refleksyjny, którego cięciwę napinano za pomocą specjalnego pierścienia (zakira) nakładanego na kciuk oraz krótki miecz. Mniejsze znaczenie aniżeli łucznikom przypisywano miotaczom kamieni, których należy odróżnić od procarzy. Ci ostatni pochodzili zazwyczaj z Wysp Balearskich, chociaż znani i cenieni byli także procarze kreteńscy. Na ich uzbrojenie składały się: proca skórzana, luźny płaszcz na pociski, tunika, hełm i krótki miecz bądź puginał. Jako procarze służyli też zwykle Brytowie, których odróżniało noszenie długich spodni oraz skórzanej torby na amunicję. Używano dwóch rodzajów procy: do rzucania na znaczną odległość przeciw oddziałom skupionym w gęstym szyku na małej przestrzeni (w takiej sytuacji znaczne straty w szeregach wroga były gwarantowane) oraz do rzucania do bliskich celów indywidualnych. Nośność procy wynosiła do sześciuset stóp rzymskich (jedna stopa rzymska to dwadzieścia dziewięć i sześć dziesiątych centymetra). Rzucano kamiennymi bądź ołowianymi kulami. Generalnie rzecz ujmując, niezależnie od tego, czy mówimy do Grekach, Rzymianach lub innych jeszcze ludach, bitwy morskie rozstrzygano na trzy sposoby. Dążono zazwyczaj do staranowania wrogich okrętów (grecki manewr – periplus), zdruzgotania ich wioseł kadłubem (diekplus) lub abordażu, czyli przeniesienia walki na pokład okrętu nieprzyjaciela. Aby skutecznie dokonać taranowania, okręty ustawiały się w szyk czołowy. Następnie podpływały do nieprzyjacielskich jednostek na bliską odległość i atakowały taranami ich burty. Później wycofywały się w celu uwolnienia taranów, po czym powtarzały wspomniane czynności. Niekiedy dążono także do okrążenia sił przeciwnika poprzez wykonywanie manewru oskrzydlającego. Będąc w niewielkiej odległości od okrętu wroga można było także zdruzgotać jego wiosła poprzez wpłynięcie na nie, gdy znajdowały się w wodzie. Należało przy tym pamiętać, aby wcześniej podnieść własne wiosła. Atak taki był możliwy po uprzednim ustawieniu okrętów w szyk liniowy, które przepływały następnie ze sporą szybkością przez ugrupowanie nieprzyjaciela. Manewr taki mogła ryzykować jedynie flota złożona z szybkich i zwrotnych jednostek. Stosowano także szyk obronny (kyklos) stosowany przez floty słabsze liczebnie od przeciwnika, bądź złożone z powolniejszych okrętów. Wówczas to jednostki tworzyły okrąg, ustawiając się taranami na zewnątrz – frontem do wroga. Rzymianie, znani z walorów swych sił lądowych, ulepszyli znacznie technikę abordażu. Aby ułatwić własnym żołnierzom przedostanie się na nieprzyjacielski okręt i nadać starciu morskiemu charakter bitwy na twardym gruncie, zaopatrzyli swe okręty w ruchome pomosty, tak zwane kruki (corvus). Miały one jedenaście metrów wysokości i jeden i dwie dziesiąte metra szerokości, z każdej strony były zabezpieczone balustradą, a dodatkowo zaopatrzone były w żelazne dzioby. Każdy taki pomost był przymocowany do ośmiometrowego słupa ustawionego na dziobie okrętu. kołowrotowi, wspomnianemu słupowi oraz linom przewleczonym przez jego wierzchołek, możliwe było podnoszenie i opuszczanie opisanej kładki, a także obrócenie jej na dowolną burtę okrętu. Aby cała konstrukcja była stabilna, używano specjalnego kolca bądź haka (coitus) na końcu pomostu.

W Internecie mamy więcej miejsca.

HISTMAG.ORG

Pierwszy polski portal historyczny
www.histmag.org

MAGAZYN HISTORYCZNY „MÓWIĄ WIEKI"

Popularyzujemy historię od 56 lat!

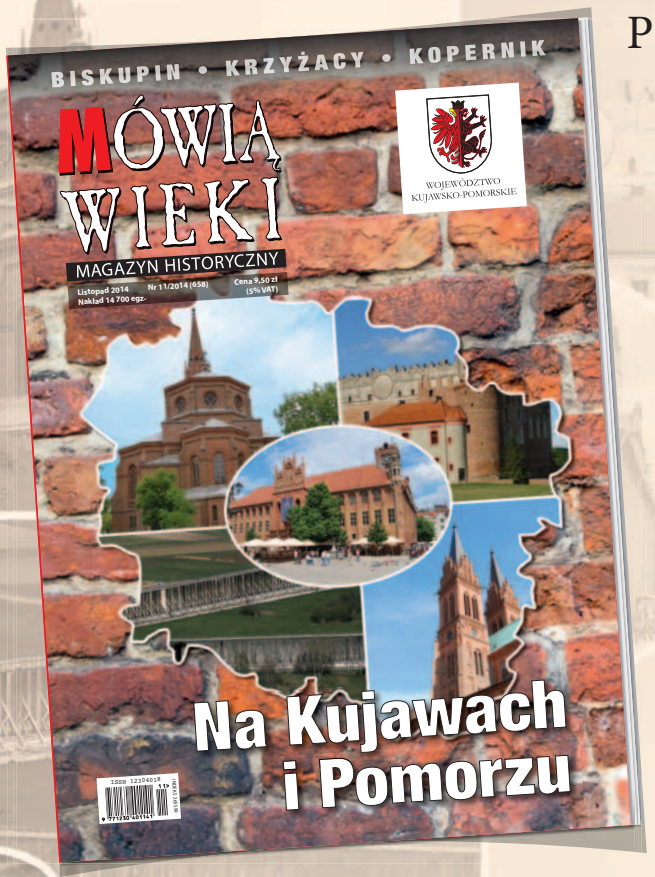

NUMER LISTOPADOWY KUJAWSKO-POMORSKI

Przygotowany we współpracy z Urzędem Marszałkowskim Województwa Kujawsko-Pomorskiego

W numerze m.in.:

- polsko-niemiecki spór o Biskupin
- początki Kościoła w regionie
- Nieszawa – wędrujące miasto
- Mikołaj Kopernik i najstarsza książka kucharska
- pruskie twierdze
- fenomen „Gazety Grudziądzkiej"
- bydgoska „krwawa niedziela" 1939
- dodatek edukacyjny „Mówią wieki w szkole"

„Mówią wieki" można nabyć w salonach EMPiK, Kolporter, Garmonda, Inmedio oraz dobrych kioskach RUCH-u. Prenumeratę realizują Bellona SA i RUCH.

Zapraszamy także na nasze strony internetowe: ***www.mowiawieki.pl*** oraz ***www.facebook.com/mowiawieki***

BIULETYN IPN
pamięć.pl
nr 11 (32)/2014

SPIS TREŚCI

2 AKTUALNOŚCI IPN
4 KALENDARIUM
6 Z PIERWSZEJ STRONY

FELIETON
8 Krzysztof Gottesman, **Pojedynek na cmentarzu**

STOP-KLATKA
10 Jacek Sawicki, **Kolor jesieni**

Z ARCHIWUM IPN
14 Grzegorz Majchrzak, **Załączniki do informacji dziennych MSW**

WYWIAD
16 **Niech każdy życiorys ujrzy światło dzienne** – rozmowa z Anną Tasiemską, wnuczką Władysława Borowca zidentyfikowanego podczas prac ekshumacyjnych na warszawskiej „Łączce”
19 **Łączniczki i drukarze** – rozmowa z Natalią Jarską i Janem Olaszkiem

WYDARZYŁO SIĘ W XX WIEKU
24 Sławomir Kalbarczyk, **Święto Niepodległości za drutami**
28 Wojtek Matusiak, **Spitfire’em do Polski**

Fot. East News

Fot. ze zbiorów Tomasza Zawistowskiego

Fot. PAP/DPA

Fot. AIPN/Julien Bryan

Fot. AIPN

Fot. Wojtek Matusiak

33 Andrea Pető, **Przemilczane gwałty**
38 Dawid Zagził, **„Dosyć już tego Mazurka”, czyli jak Bierut chciał orłowi głowę urwać**
41 Magdalena Dźwigał, Filip Gańczak, **Mur hańby**
45 Mariusz Żuławnik, **Palenie (nie)zgodne z prawem**
49 Jan Oleński, **W Polskę idziemy, czyli wymiana w Tomaszowie**

PRAWDA CZASÓW, PRAWDA EKRANU
53 Jerzy Eisler, ***Potem nastąpi cisza***

ORZEŁ BIAŁY
56 Tomasz Zawistowski, **Orły Legionów Polskich, cz. 3**

Z BRONIĄ W RĘKU
60 Michał Mackiewicz, **M1 Garand – „ta broń jest wspaniała”**

STRAŻNICY NARODOWEJ PAMIĘCI
63 Paweł Sasanka, **Ucho igielne między Wschodem a Zachodem**

WYSTAWY IPN
67 Paweł Zielony, **Akta zniszczone, akta ocalone**
70 RECENZJE
73 BIBLIOTEKA IPN

W doborze źródeł badacze historii najnowszej mają o wiele większy komfort niż np. mediewiści. Ba, problem jest nawet odwrotny: nawał wyprodukowanych w ostatnim stuleciu dokumentów, pamiętników, gazet i nagrań powoduje, że mamy do czynienia z nadmiarem źródeł i jednym z atutów naukowca stała się umiejętność ich selekcji. W związku z tym wiele kategorii źródeł idzie w odstawkę, ale paradoksalnie wciąż słychać o lukach w materiale źródłowym. Jednym z powodów są archiwalne karencje i klauzule tajności, innym – zniszczone akta. Bezpieka PRL często zacierała ślady swych działań, likwidując dokumentację. Zabiegi te nasiliły się w okresie transformacji ustrojowej. Trudno nawet oszacować, jak wielkie wyrwy powstały w zasobach. Jest to nie tylko strata w wymiarze rozliczania krzywd wyrządzonych przez SB, lecz także w wymiarze naukowym – fragment historii został zatarty. O niszczeniu akt u progu III RP pisze w niniejszym numerze Mariusz Żuławnik, a Paweł Zielony opisuje poświęconą temu procederowi ekspozycję.

Na szczęście nie wszystko ginie. Niedawno do Biura Edukacji Publicznej, dzięki życzliwości Ukraińskiego Instytutu Pamięci Narodowej, trafiła teczka zawierająca akta dotyczące polskich jeńców z obozu w Starobielsku. Jest tam m.in. zapis śledztwa NKWD, prowadzonego przeciwko działającej wśród osadzonych Komisji Kulturalno-Oświatowej, która 11 listopada 1939 roku zorganizowała w obozie obchody Święta Niepodległości. O tych wydarzeniach i o losach skazanych członków komisji pisze Sławomir Kalbarczyk.

Z pomocą historykom – tam, gdzie nie starcza źródeł pisanych – przychodzą archeolodzy i naukowcy z innych dziedzin. We wrześniu IPN ogłosił wyniki genetycznych identyfikacji szczątków odnalezionych na powązkowskiej „Łączce". Kolejnych osiem ofiar komunistycznego terroru odzyskało swoje nazwiska. O długoletnim poszukiwaniu prawdy o dziadku opowiada Anna Tasiemska, wnuczka Władysława Borowca „Żbika" – jednego z odnalezionych na „Łączce" i zidentyfikowanych w 2013 roku. Historie rodzin zamordowanych, które przez lata nie wiedziały do końca, co spotkało ich bliskich, przedstawia dołączony do tego numeru film Arkadiusza Gołębiewskiego *Dzieci Kwatery „Ł"*.

Oczywiście nie tylko w Polsce komuniści próbowali spuścić zasłonę niepamięci na swoje zbrodnie. Andrea Pető pisze o gwałtach popełnianych masowo przez żołnierzy Armii Czerwonej na Węgrzech i o zmowie milczenia wokół ofiar. Odkrywanie takich kart historii jest możliwe przede wszystkim dzięki obaleniu totalitaryzmu, ale nie tylko. To także zasługa historyków, którzy coraz więcej uwagi poświęcają historii kobiet. Choć w debacie publicystycznej termin *gender* ma nieco inne konotacje, to zastosowanie tej kategorii w badaniu historii pozwala spojrzeć na przeszłość z nowej perspektywy. O wykorzystaniu *gender studies* w badaniu przeszłości, a także o udziale kobiet w opozycji w PRL, opowiadają Natalia Jarska i Jan Olaszek. Oprócz filmu do numeru dołączyliśmy broszurę z projektu „Patroni naszych ulic", poświęconą Danucie Siedzikównie „Ince" – sanitariuszce AK, patriotce, ofierze komunistycznych zbrodniarzy, którzy także jej postać chcieli zakopać w mogile zapomnienia. To się im nie udało.

Redaktor naczelny
Andrzej Brzozowski

■ 20 października w Centrum Edukacyjnym IPN „Przystanek Historia" im. Janusza Kurtyki **w Warszawie** odsłonięto tablicę poświęconą **Przemysławowi Gintrowskiemu**.

Przemysław Gintrowski (1951–2012), kompozytor i pieśniarz, kawaler Krzyża Oficerskiego Orderu Odrodzenia Polski, w PRL był jednym z bardów opozycji demokratycznej. Wraz z Jackiem Kaczmarskim i Zbigniewem Łapińskim wykonywał piosenkę *Mury*, która stała się nieoficjalnym hymnem Solidarności. Z kolei w filmie Andrzeja Wajdy *Człowiek z żelaza* wspólnie z Krystyną Jandą wykonywał *Balladę o Janku Wiśniewskim*, poświęconą tragicznym wydarzeniom Grudnia 1970 roku. W stanie wojennym koncertował w domach, kościołach, w Muzeum Archidiecezji Warszawskiej. Jego studyjne albumy były nagrywane nieoficjalnie i wydawane w tzw. drugim obiegu. – Dzisiaj takich bardów nie ma. Ale ich czas się nie skończył. Przyjdą kolejni. Odsłonięta dzisiaj tablica być może stanie się dla nich inspiracją – powiedział podczas październikowej uroczystości prezes IPN, dr Łukasz Kamiński. Miejsce, w którym odsłonięto tablicę, nie jest przypadkowe. W „Przystanku Historia" 1 marca 2012 roku – w Narodowym Dniu Pamięci Żołnierzy Wyklętych – Gintrowski dał swój ostatni koncert. Wcześniej zaś przez pewien czas mieszkał w tej samej kamienicy.

Fot. Piotr Gajewski

Sprostowanie

W październikowym numerze „Pamięci.pl" błędnie podaliśmy stanowisko dr. hab. Krzysztofa Szwagrzyka.
Doktor hab. Krzysztof Szwagrzyk kieruje Samodzielnym Wydziałem Poszukiwań IPN, jest pełnomocnikiem Prezesa IPN ds. poszukiwań nieznanych miejsc pochówku ofiar terroru komunistycznego 1944–1956.
Pana Profesora i Czytelników przepraszamy.

pamięć.pl

Wydawca: Instytut Pamięci Narodowej – Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu

Rada Programowa: dr hab. Adam Dziurok, dr hab. Robert Klementowski, dr Krzysztof Kaczmarski, dr Maciej Korkuć, dr Tomasz Łabuszewski, dr Agnieszka Łuczak, dr Karol Nawrocki, dr Sławomir Poleszak, dr Paweł Skubisz, dr Waldemar Wilczewski, dr Andrzej Zawistowski (przewodniczący), dr Joanna Żelazko

Rada Redakcyjna: Andrzej Czyżewski, dr Dawid Golik, Krzysztof Gottesman, dr Joanna Hytrek-Hryciuk, Agnieszka Jaczyńska, dr Andrzej Krajewski, dr Konrad Rokicki, dr Paweł Rokicki, dr Paweł Sasanka, dr Magdalena Semczyszyn, Emilia Świętochowska, dr Daniel Wicenty

Redakcja: Andrzej Brzozowski (redaktor naczelny, tel. 22 431 83 56; e-mail: andrzej.brzozowski@ipn.gov.pl)

Maciej Foks, Filip Gańczak, Jakub Gołębiewski, Andrzej Sujka, Karolina Wichowska

Sekretariat: Maria Wiśniewska

tel. 22 431 83 47, faks 22 431 83 11

Korekta: dr Magdalena Baj

Projekt graficzny: Krzysztof Findziński, Marcin Koc, Sylwia Szafrańska

Skład i łamanie: Sylwia Szafrańska

Redakcja techniczna: Marcin Koc

Siedziba redakcji: ul. Hrubieszowska 6a, Warszawa

Adres do korespondencji:

ul. Wołoska 7, 02-675 Warszawa

www.ipn.gov.pl

Druk: LEGRA sp. z o.o.
ul. Albatrosów 10c, 30-716 Kraków

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych i zastrzega sobie prawo dokonywania zmian w nadesłanych tekstach.

■ 28 września – podczas uroczystości w Pałacu Prezydenckim z udziałem prezydenta Bronisława Komorowskiego – poznaliśmy nazwiska kolejnych ośmiu **ofiar terroru komunistycznego**, których szczątki udało się odnaleźć w wyniku prac ekshumacyjnych prowadzonych w 2012 i 2013 roku w kwaterze „Ł" Cmentarza Wojskowego na Powązkach w Warszawie. Są to:

Julian Czerwiakowski „Jerzy Tarnowski" (1911–1953), żołnierz Narodowych Sił Zbrojnych, organizacji „Nie" oraz „Wolność i Niezawisłość";

Bolesław Częścik „Orlik" (1924–1951), żołnierz Narodowych Sił Zbrojnych i Narodowego Zjednoczenia Wojskowego;

Stefan Głowacki „Smuga" (1903–1949), oficer Okręgu Wileńskiego Armii Krajowej;

Bolesław Kontrym „Żmudzin" (1898–1953), major Wojska Polskiego, cichociemny, oficer Armii Krajowej;

Dionizy Sosnowski „Zbyszek" (1929–1953), absolwent kursu radiotelegrafistów Delegatury Zagranicznej Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość", zrzucony do Polski na spadochronie w 1952 roku;

Zygmunt Szymanowski „Lis" (1910–1950), oficer Okręgu Wileńskiego Armii Krajowej;

Ludwik Jan Świder „Johann Puk" (1893–1952), major Wojska Polskiego;

Aleksander Tomaszewski „Bończa" (1904–1949), oficer Okręgu Wileńskiego Armii Krajowej.

W okresie stalinowskim na terenie kwatery „Ł" pochowano bezimiennie kilkaset osób straconych na Mokotowie lub zakatowanych przez UB: żołnierzy powojennego podziemia niepodległościowego, a często również bohaterów walki o wolność z okresu II wojny światowej. Od lata 2012 roku wydobyto spod ziemi szczątki 196 ofiar. Do tej pory udało się ustalić tożsamość 36 z nich.

Prace ekshumacyjno-identyfikacyjne prowadzi interdyscyplinarny zespół naukowy pod kierownictwem dr. hab. Krzysztofa Szwagrzyka, złożony z antropologów, archeologów, genetyków, historyków i medyków sądowych. Są w tym gronie specjaliści z Instytutu Pamięci Narodowej, Instytutu Ekspertyz Sądowych z Krakowa, Polskiej Bazy Genetycznej Ofiar Totalitaryzmów oraz Zakładów Medycyny Sądowej ze Szczecina i Wrocławia.

Projekt naukowo-badawczy „Poszukiwania nieznanych miejsc pochówku ofiar terroru komunistycznego z lat 1944–1956" ma charakter ogólnopolski i jest efektem współdziałania wielu instytucji państwowych, zwłaszcza IPN, Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, Ministerstwa Sprawiedliwości, Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego w Szczecinie i Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu.

■ Ponad połowa Polaków (52 proc.) pozytywnie ocenia działalność Instytutu Pamięci Narodowej. Co ósmy (12 proc.) odnosi się do niej negatywnie, a reszta nie ma na ten temat zdania – wynika z wrześniowego reprezentatywnego **sondażu** Centrum Badania Opinii Społecznej. Odsetek respondentów, którzy o pracy **IPN** wyrażają się z uznaniem, wzrósł w ciągu ostatniego półrocza o 3 pkt. proc. Spośród instytucji, o które pytał CBOS, tylko nieliczne uzyskały lepszą ocenę.

■ Oddział IPN w Lublinie uruchomił nową **stronę internetową www.polskiepodziemie.pl**. Można tam znaleźć zdjęcia, filmy i dokumenty ukazujące polską konspirację niepodległościową lat 1944–1956. Uzupełnieniem tych materiałów są teksty napisane przez historyków z lubelskiego Oddziału IPN, zawierające informacje o sensie i działaniu powojennego podziemia, a także o metodach jego zwalczania przez komunistyczny aparat represji. Stronę można przeglądać również w telefonach i tabletach.

■ W najbliższym czasie w Bibliotece Akademii Marynarki Wojennej **w Gdyni** zostanie otwarta **wystawa „Ludzie morza. Stalinowski proces komandorów z Dowództwa polskiej Marynarki Wojennej"**. Ekspozycja, przygotowana przez gdański IPN, przedstawia zarys historii przedwojennej polskiej Marynarki Wojennej wraz z obroną Wybrzeża w 1939 roku. Przede wszystkim jednak skupia się na powojennym sposobie eliminacji oficerów i marynarzy niewygodnych dla komunistycznej władzy. Tytułowi bohaterowie to grupa polskich oficerów zasłużonych podczas obrony Wybrzeża w 1939 roku, powołanych do Marynarki Wojennej po zakończeniu wojny. Dzięki swej wiedzy i umiejętnościom zajęli najwyższe stanowiska dowódcze. Jednak na początku lat pięćdziesiątych, na fali procesów wojskowych, bezpodstawnie zarzucono im szpiegostwo. Trzej z nich – komandorzy Stanisław Mieszkowski, Zbigniew Przybyszewski i Jerzy Staniewicz – zostali zabici strzałami w tył głowy i bezimiennie pogrzebani. Szczątki komandorów Mieszkowskiego i Przybyszewskiego odnaleziono w ubiegłym roku w kwaterze „Ł" Cmentarza Wojskowego na warszawskich Powązkach.

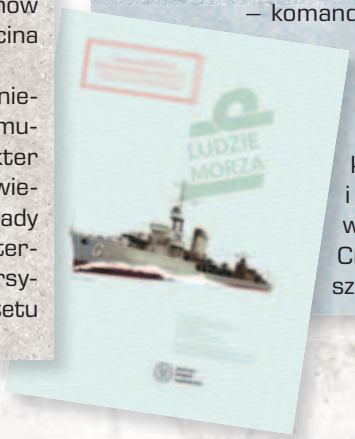

oprac. Filip Gańczak

POSTAĆ MIESIĄCA

29 listopada 1944: Tomasz Arciszewski stanął na czele emigracyjnego rządu RP w Londynie.

Od młodości był związany z Polską Partią Socjalistyczną. Należał do przywódców Organizacji Bojowej PPS. Za działalność polityczną był więziony przez władze carskie. W czasie I wojny światowej służył m.in. w Legionach Polskich. W powstałym w listopadzie 1918 roku rządzie Ignacego Daszyńskiego objął tekę ministra pracy i opieki społecznej. W kolejnym gabinecie – utworzonym przez Jędrzeja Moraczewskiego – został ministrem poczt i telegrafów. W II RP był też przez wiele lat posłem na sejm i stołecznym radnym. We wrześniu 1939 roku współorganizował Robotniczą Brygadę Obrony Warszawy. Pod okupacją niemiecką – razem z Kazimierzem Pużakiem – kierował konspiracyjną PPS (WRN). Z jej ramienia został członkiem Rady Jedności Narodowej – parlamentu Polskiego Państwa Podziemnego. Był współautorem deklaracji *O co walczy Naród Polski* z marca 1944 roku. Latem tego samego roku został przerzucony do Londynu i mianowany następcą prezydenta Władysława Raczkiewicza. Po dymisji Stanisława Mikołajczyka – gotowego zaakceptować niekorzystną dla Polski granicę z ZSRR w zamian za rekompensatę terytorialną na zachodzie – Arciszewski stanął na czele emigracyjnego rządu, obejmując dodatkowo tekę ministra pracy i opieki społecznej. Bronił prawa Polski do Kresów Wschodnich, przekonując jednocześnie: „Nie chcemy Wrocławia i Szczecina" (co później wypominała mu komunistyczna propaganda). Nie wpłynęło to na postanowienia wielkich mocarstw, gdyż Wielka Brytania i USA nie liczyły się już wówczas z polskimi władzami na uchodźstwie. Arciszewski nie zdołał także zapobiec powołaniu w Warszawie Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, zdominowanego przez komunistów. Latem 1945 roku mocarstwa zachodnie wycofały uznanie dla emigracyjnego rządu RP. Funkcję premiera Arciszewski pełnił mimo to jeszcze przez dwa lata. Podał się do dymisji, bo – wbrew wcześniejszym ustaleniom – prezydent Raczkiewicz wyznaczył na swojego następcę dawnego piłsudczyka Augusta Zaleskiego. Arciszewski firmował później inicjatywy opozycyjne wobec prezydentury Zaleskiego.

Fot. NAC

Tomasz Arciszewski (1877–1955)

6 listopada 1939: Niemcy aresztowali niemal dwustu naukowców z Uniwersytetu Jagiellońskiego i innych uczelni. Wydarzenie to znane jest w literaturze historycznej jako Sonderaktion Krakau.

Od pierwszych dni okupacji nazistowskie Niemcy prowadziły na ziemiach II RP brutalną politykę. Polacy mieli zostać przekształceni w społeczność pozbawioną tożsamości narodowej, pracującą niewolniczo na potrzeby Rzeszy. Celowi temu miała służyć zagłada polskich elit, w tym inteligencji krakowskiej. Tamtejszych profesorów zaproszono do Collegium Novum UJ, gdzie miał się odbyć wykład o funkcjonowaniu szkolnictwa wyższego w warunkach okupacyjnych. Przybyli uczeni zostali oskarżeni o „wrogie usposobienie do nauki niemieckiej", zatrzymani i osadzeni w więzieniu. Większość z nich wywieziono wkrótce do obozu koncentracyjnego Sachsenhausen. Wobec protestów światowej opinii publicznej, interwencji Kościoła katolickiego, krajów neutralnych, a nawet włoskiego dyktatora Benito Mussoliniego, na początku lutego 1940 roku zwolniono do domów około stu uczonych. Pozostałych, głównie młodszych naukowców, przez pewien czas przetrzymywano jeszcze w obozie Dachau. Ciężkie warunki obozowe zebrały tragiczne żniwo. W Sachsenhausen zmarło dwunastu krakowskich naukowców, a kilku kolejnych już po zwolnieniu. Wydarzenia te przypomniano po latach w filmie *Katyń* Andrzeja Wajdy.

Zagłada polskich elit była kontynuowana przez Niemców, czego przykładem mogą być egzekucje w Palmirach.

Fot. Akson Studio – kadr z filmu *Katyń*

7 listopada 1939: Generał Władysław Sikorski został mianowany Naczelnym Wodzem.

Sikorski już w latach dwudziestych pełnił funkcje premiera i ministra spraw wojskowych. Po zamachu majowym w 1926 roku został jednak odsunięty na boczny tor przez Józefa Piłsudskiego. We wrześniu 1939 roku, nie otrzymawszy przydziału do żadnej jednostki frontowej, przez Rumunię przedostał się do Francji, z której władzami utrzymywał bardzo dobre kontakty. Nowy prezydent Władysław Raczkiewicz, mający opinię liberalnego piłsudczyka, w roli premiera emigracyjnego rządu RP widział początkowo Augusta Zaleskiego. Ostatecznie 30 września to Sikorskiemu powierzył stanowiska premiera i ministra spraw wojskowych, a po kilku tygodniach – także Naczelnego Wodza i Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych. Generał zapowiedział walkę o odzyskanie niepodległości Polski. Odbudowywane na uchodźstwie – najpierw we Francji, po jej klęsce w Wielkiej Brytanii, a później także w ZSRR – Wojsko Polskie wzięło udział w zmaganiach na wielu frontach II wojny światowej. Z czasem jednak w obozie aliantów słabła pozycja władz RP na uchodźstwie. W 1941 roku do wojny przeciwko III Rzeszy włączyły się Związek Radziecki i USA – i to właśnie te państwa stały się dla Wielkiej Brytanii najważniejszymi sojusznikami. Wiosną 1943 roku rząd ZSRR zerwał stosunki dyplomatyczne z rządem polskim. Niedługo później gen. Sikorski zginął w katastrofie lotniczej u wybrzeży Gibraltaru. Po śmierci premiera i Naczelnego Wodza jeszcze bardziej osłabł na arenie międzynarodowej głos emigracyjnych władz RP.

Fot. AIPN

Władysław Sikorski (1881–1943)

12 listopada 1989: W trakcie mszy w Krzyżowej premier PRL Tadeusz Mazowiecki i kanclerz RFN Helmut Kohl wykonali symboliczny gest pojednania.

Po hekatombie II wojny światowej zbliżenie polsko-niemieckie długo było trudne do wyobrażenia. W Polsce żywa była pamięć niemieckich zbrodni. W Republice Federalnej Niemiec duże wpływy zachowywały środowiska liczące na rewizję granic. Wschodnioniemiecką NRD oficjalnie łączyła z PRL przyjaźń, jednak władze obu komunistycznych państw wzajemnie sobie nie ufały. Rok 1989 stworzył szansę na nowe otwarcie w relacjach polsko-niemieckich. W PRL powstał rząd z niekomunistycznym premierem. W NRD komunistyczny reżim drżał w posadach; coraz poważniej mówiło się o zjednoczeniu Niemiec. Szefowie rządów Polski i RFN spotkali się trzy dni po upadku muru berlińskiego. Początkowo Kohl planował wizytę na Górze św. Anny. „Uważałem jednak, że sytuacja nie dojrzała jeszcze do tego, aby w miejscu silnie związanym z powstaniami śląskimi takie spotkanie się odbyło" – wspominał po latach Mazowiecki. Dolnośląska Krzyżowa – do 1945 roku leżąca na terenie Niemiec – nie budziła kontrowersji. W czasie II wojny światowej w tamtejszym pałacu, będącym wówczas własnością hr. Helmutha Jamesa von Moltke, spotykali się przeciwnicy reżimu nazistowskiego. W trakcie mszy odprawionej przez bp. Alfonsa Nossola Mazowiecki i Kohl objęli się na znak pokoju, co uznano za zapowiedź polsko-niemieckiego pojednania. W listopadzie 1990 roku RFN zawarła z Polską traktat graniczny, definitywnie uznając powojenną granicę na Odrze i Nysie. Kilka miesięcy później Rzeczpospolita i zjednoczone Niemcy podpisały traktat o dobrym sąsiedztwie i przyjaznej współpracy.

Fot. DPA/PAP/ Martin Athenstädt

13 listopada 1939: Na mocy decyzji gen. Władysława Sikorskiego powstał Związek Walki Zbrojnej – konspiracyjna organizacja wojskowa na terenie okupowanej Polski. ZWZ zajął miejsce Służby Zwycięstwu Polski, utworzonej jeszcze we wrześniu 1939 roku w Warszawie. Premier Sikorski, nowo mianowany Naczelny Wódz, obawiał się bowiem, że SZP zostanie zdominowana przez piłsudczyków, sam zaś był od lat w opozycji do tego obozu. Komendantem głównym Związku Walki Zbrojnej został początkowo gen. Kazimierz Sosnkowski, przebywający wówczas we Francji. „Opracował zasady ideowe, instrukcje, plany działań, sposoby łączności i finansowania podziemia" – wylicza w albumie *Generał Kazimierz Sosnkowski 1885–1969* dr Jerzy Kirszak. Dowodzenie z odległej Francji – a później Wielkiej Brytanii – organizacją w okupowanej Polsce było jednak, przy braku stałej łączności, znacznie utrudnione. W czerwcu 1940 roku Sosnkowski mianował więc komendantem głównym ZWZ w kraju gen. Stefana Roweckiego. Sam przez kolejny rok, przebywając w tym czasie w Londynie, sprawował jeszcze ogólne kierownictwo nad organizacją. Także później Komenda Główna ZWZ podlegała emigracyjnym władzom RP, uzyskując jednak z czasem większą samodzielność. Związek Walki Zbrojnej przygotowywał plan powstania powszechnego, do którego miało dojść w sprzyjającej sytuacji. Prowadził też m.in. – w skali niespotykanej w okupowanej Europie – bieżącą działalność wywiadowczą, propagandową i sabotażowo-dywersyjną. W lutym 1942 roku ZWZ przemianowano na Armię Krajową.

Fot. ze zbiorów Jerzego Kirszaka

Kazimierz Sosnkowski (1885–1969)

27 listopada 1949: W trakcie kongresu w Warszawie ogłoszono powstanie Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego.

Po II wojnie światowej polscy komuniści nie od razu przejęli pełnię władzy. Ich najpoważniejszym przeciwnikiem politycznym było Polskie Stronnictwo Ludowe, kierowane przez Stanisława Mikołajczyka, który w 1945 roku wrócił z emigracji i wszedł do Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, obejmując stanowiska wicepremiera i ministra rolnictwa. PSL cieszyło się ogromnym poparciem społecznym. W obliczu represji partia nie mogła jednak swobodnie funkcjonować. Działaczy zastraszano, bito, dochodziło do aresztowań, a nawet zabójstw. Po sfałszowaniu przez komunistów wyników referendum (1946) i wyborów do Sejmu Ustawodawczego (1947) stało się jasne, że niezależny ruch ludowy nie ma szans na przetrwanie. Mikołajczyk, obawiając się aresztowania, potajemnie opuścił Polskę. Do głosu w PSL doszli politycy prokomunistyczni, usunięto zaś z kierownictwa działaczy związanych ze zbiegłym prezesem.

Fot. PAP/CAF

Niezależnie od PSL istniało w pierwszych powojennych latach „lubelskie" Stronnictwo Ludowe, utworzone z inicjatywy komunistów i blisko z nimi współpracujące. W maju 1948 roku przywódcy SL i rozbitego represjami PSL podpisali umowę o współpracy. Zapowiedzieli zarazem zjednoczenie obu partii, co nastąpiło półtora roku później. Powstałe w ten sposób Zjednoczone Stronnictwo Ludowe było przez lata – podobnie jak Stronnictwo Demokratyczne – satelitą Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, akceptując dominację polityczną komunistów i sojusz Polski z ZSRR. ZSL w pełni uniezależniło się dopiero na fali przemian 1989 roku. Weszło wówczas do rządu tworzonego przez Solidarność, zmieniając wkrótce nazwę na PSL „Odrodzenie", a w roku 1990 – po połączeniu się z innymi odłamami ruchu ludowego – na PSL.

oprac. Filip Gańczak

17 listopada 1920 roku

„W niedzielę w godzinach wieczornych odbyło się posiedzenie Ligi Narodów. Przedstawiciel Japonii złożył sprawozdanie o projekcie konstytucyi wolnego Miasta Gdańska, wypracowanym przez przedstawicieli Gdańska w porozumieniu z wysokim komisarzem Ligi Narodów" – informował krakowski **„Czas"** w numerze z 17 listopada 1920 roku. Była to depesza z Genewy, gdzie od 14 listopada trwało posiedzenie Rady Ligi Narodów. Po uprawomocnieniu się 10 stycznia 1920 roku postanowień traktatu wersalskiego, kończącego I wojnę światową, Gdańsk został odłączony od Rzeszy Niemieckiej i objęty protektoratem Ligi Narodów. Wojska niemieckie zobowiązano do opuszczenia miasta, które przez bliżej nieokreślony czas miało być ochraniane przez wojska alianckie. „[Ignacy Jan] Paderewski – czytamy dalej w relacji »Czasu« – popierany przez przedstawicieli Francyi i Anglii, zażądał, aby kontrola ochrony militarnej Gdańska została powierzona Polsce. Przedstawiciel Gdańska, nadburmistrz [Heinrich] Sahm, zakwestyonował legalność takiego mandatu, przyznanego Polsce. Powzięcie decyzyi zostało odroczone".

Mimo to już następnego dnia, 15 listopada, odbyło się w Gdańsku „posiedzenie uroczyste konstytuanty gdańskiej, na którem przedstawiciel ententy pułkownik [Edward Lisle] Strutt [Anglik, zastępca Wysokiego Komisarza Ligi Narodów Reginalda Thomasa Towera, też Anglika] dokonał proklamacyi wolnego miasta Gdańska. W uroczystym tym akcie wziął udział w imieniu Rzeczpospolitej polskiej komisarz jeneralny p. [Maciej] Biesiadecki i jego zastępca [Mieczysław] Jełłowiecki, przedstawiciel wojskowości polskiej admirał [Michał] Borowski i major Wilczek, oraz wszyscy przebywający w Gdańsku przedstawiciele obcych państw. Po otwarciu posiedzenia przemówił pułk. Strutt, wyrażając życzenie, aby oba [polski i niemiecki] narody […] żyły szczęśliwie i zadowolone obok siebie rosły i rozwijały się, oparte na wzajemnem i zaufaniu i przyjaźni. Następnie pułk. Strutt proklamował Gdańsk, jako wolne miasto".

W 1924 roku Polska otrzymała zgodę Ligi Narodów na założenie na Westerplatte wojskowej składnicy tranzytowej i utrzymywanie załogi wojskowej do jej ochrony, w latach 1920–1930 zaś w samym Gdańsku działała silna placówka polskiego wywiadu wojskowego.

8 listopada 1949 roku

„Nie ma ani jednego uczciwego Polaka, który by nie przyjął z największym wzruszeniem i radością wiadomości o objęciu przez marszałka Konstantego Rokos[s]owskiego stanowiska ministra Obrony Narodowej w rządzie Rzeczypospolitej" – przekonywał **„Dziennik Polski"** w numerze 307 z 8 listopada 1949 roku.

W artykule pod wzniosłym tytułem *Polska oddała Mu straż swoich granic* Rokossowski – dotychczas marszałek ZSRR – został przedstawiony jako „legendarny wódz spod Stalingradu i Kurska, jeden z najlepszych wychowanków przesławnej stalinowskiej szkoły dowódców nowego typu". „Nigdy żaden Polak nie był godniejszy zaszczytu dowodzenia Wojskiem Polskim niż Konstanty Rokos[s]-owski, marszałek Polski, syn robotniczej Warszawy, jeden z pogromców Hitlera, bojownik o wolność ludu polskiego i niepodległość Polski" – wyliczała krakowska gazeta.

Rokossowski, syn Polaka i Rosjanki, faktycznie wychował się w Warszawie, choć większość życia spędził w Rosji. Mimo szlacheckiego pochodzenia i represji, których doznał w okresie stalinowskich czystek z lat trzydziestych, od czasów rewolucji październikowej wiernie służył władzy sowieckiej. Mianowany Marszałkiem Polski i ministrem obrony narodowej, miał być gwarantem pełnej lojalności ludowego Wojska Polskiego wobec ZSRR, także w razie konfliktu zbrojnego z Zachodem. W rozkazie wydanym tuż po objęciu nowych funkcji zapowiadał: „Wraz z Armią Radziecką stać będziemy na straży pokoju, którego orędownikiem i obrońcą jest wielki Stalin. […] Niech żyje Polska Ludowa! Niech żyje sojusz polsko-radziecki!".

Rokossowski stał się jedną z najważniejszych osób w kraju, z czasem objął także stanowisko wicepremiera. Był współodpowiedzialny za brutalne represje w wojsku, dotykające m.in. wielu przedwojennych oficerów. Jesienią 1956 roku – po przejęciu władzy w PRL przez Władysława Gomułkę – Rokossowski pożegnał się z najważniejszymi stanowiskami w państwie i Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Wrócił do ZSRR, gdzie wkrótce został wiceministrem obrony narodowej.

ROK XX
Nr 277 (8469)

DZIENNIK POLSKI

Komu urząd na Starówce?
Ile zarabia warszawiak
Szpotański – człowiek z inicjatywą

TV STOLICA 17.–23.XI

7

21 listopada 1964 roku

„Przed sądem wojewódzkim dla m.st. Warszawy rozpoczął się proces pierwszej grupy osób oskarżonych o udział w głośnej aferze mięsnej […]. Proces toczy się w trybie doraźnym" – informował **„Dziennik Polski"** z 21 listopada 1964 roku. Autor artykułu pisał, że w ciągu kilku lat pracownicy przedsiębiorstw Miejskiego Handlu Mięsem, „działając w przestępczym porozumieniu, dokonali zaboru mienia społecznego wielomilionowej wartości". Głównym oskarżonym był Stanisław Wawrzecki – dyrektor MHM Warszawa Praga. Oprócz niego zarzuty przedstawiono czterem dyrektorom uspołecznionego handlu mięsem, czterem kierownikom sklepów i właścicielowi prywatnej masarni. Oskarżonym zarzucano, że „systematycznie okradali konsumentów i państwo, zagarniając łącznie – jak się szacuje – ok. 9 mln zł". Terenem ich procederu miały być sklepy mięsne, gdzie „oszukując władze i okradając klientów, tworzono nadwyżki kasowe, które przywłaszczali kierownicy sklepów" dzieląc się nimi następnie ze wspólnikami.

Proces w sprawie afery mięsnej przeprowadzono w trybie doraźnym, który był bardzo krzywdzący dla oskarżonych, ponieważ od ogłoszonych wyroków nie było odwołania. Władze powołały specjalny skład sędziowski. Na jego czele stał znany z bezwzględności Roman Kryże, który w okresie stalinowskim wydał wiele wyroków śmierci na żołnierzy AK (mówiono: „Sądzi Kryże, będą krzyże"). 2 lutego 1965 roku sąd orzekł karę śmierci wobec Stanisława Wawrzeckiego. Pozostałych dyrektorów skazano na dożywocie, a resztę oskarżonych na wieloletnie więzienie. W wolnej Polsce Sąd Najwyższy uznał, że wyrok w aferze mięsnej został wydany z rażącym naruszeniem prawa. W 2010 roku prokurator, który wnioskował o kary śmierci i przyczynił się do wydania niesprawiedliwego wyroku, sam stanął przed sądem. Proces w sprawie afery mięsnej był dla komunistycznych władz okazją do wojny propagandowej z tzw. prywatną inicjatywą. Według powszechnej opinii wyrok wydany na Wawrzeckiego był mordem sądowym, a surowe kary zasądzono na życzenie najważniejszych osób w PRL – miał się tego domagać sam Władysław Gomułka.

20 listopada 1988 roku

„Nawet fakt, że była to pierwsza w historii wizyta premiera rządu brytyjskiego w Polsce, nie wywołałby tak szerokiego zainteresowania społecznego, gdyby gościem nie była Margaret Thatcher. Swoją działalnością zyskała u przeciwników i zwolenników wiele przydomków, z których jeden zwłaszcza – »Żelazna Dama« – oddaje najlepiej charakter pierwszej w dziejach Wielkiej Brytanii kobiety-premiera, dodajmy: najdłużej sprawującej ten urząd w swoim kraju w okresie powojennym" – komentował wizytę brytyjskiej premier **Warszawski Tygodnik Ilustrowany „Stolica"** nr 47 z 20 listopada 1988 roku. Autor nie omieszkał zauważyć, że dawniej Thatcher miała w naszym kraju bardzo złą prasę, a „teraz ma bodaj wielokroć lepszą niż we własnym", i wyciągnąć z tego wniosek (nietrafny zresztą, jak pokazał wynik wyborów kontraktowych późniejszych o siedem miesięcy): „czyżby świadczyło to, że wbrew pozorom najbardziej odpowiadają nam rządy twardej ręki?".

Redaktorzy wyliczyli spotkania, które Thatcher odbyła w Warszawie: „Belweder był dwukrotnie miejscem spotkania pani premier z gen. Wojciechem Jaruzelskim. Problemy współpracy gospodarczej, kulturalnej i naukowej były m.in. tematami rozmów premiera Mieczysława F. Rakowskiego z M. Thatcher. W siedzibie prymasa Polski odbyło się spotkanie p. Thatcher z kardynałem Glempem. Premier Wielkiej Brytanii zapoznała się także z istotą funkcjonowania Rady Konsultacyjnej przy Przewodniczącym Rady Państwa podczas spotkania z grupą jej członków". Oprócz tego – jak czytamy w „Stolicy" – pani premier m.in. złożyła kwiaty na grobie Nieznanego Żołnierza i zwiedziła Zamek Królewski oraz poszła do Hali Mirowskiej. „Pani Thatcher, jak na kobietę przystało, nie ograniczyła się tylko do obejrzenia stoisk jednego z najstarszych sklepów stolicy, ale dokonała także praktycznych zakupów – dżemu, miodu, jabłek, pomidorów i dużego słoika marynowanych prawdziwków (sprzedawczyni jako »premię« dodała słoik chrzanu). Rachunki pani premier po dżentelmeńsku uregulował ambasador brytyjski". Trudno powiedzieć, co redakcja miała na myśli, pisząc „jak na kobietę przystało" w kontekście drobnych zakupów – czyżby panowie pod koniec lat osiemdziesiątych nie znali się na kupowaniu?

Interesujący jest też sposób podania informacji o prywatnym programie pobytu w Warszawie. Oprócz spotkania z Lechem Wałęsą i gdańskim biskupem Tadeuszem Gocłowskim redakcja wymieniła „odwiedzenie kościoła św. Stanisława Kostki na Żoliborzu". Wybór sam w sobie byłby to dziwny – w Warszawie są dużo ciekawsze architektonicznie obiekty sakralne. Tyle tylko, że to w akurat tym żoliborskim kościele znajduje się grób zamordowanego przez komunistów w 1984 roku ks. Jerzego Popiełuszki. I to tam właśnie udała się Margaret Thatcher. O tym jednak już cenzura – albo autocenzura – wspomnieć nie pozwoliła.

Proces uczestników warszawskiej afery mięsnej

MARGARET THATCHER W P

7 dni w stolicy

Oprac. FG, JG, AS, KW

Rys. A. Szafrański

Pojedynek na cmentarzu

Krzysztof Gottesman

Mawia się czasem, że śmierć wszystkich zrówna. To nie do końca prawda, zwłaszcza w kraju z tak trudną i zagmatwaną historią jak Polska. Rachunki niespłacone za życia ciągną się po śmierci. Zaszczyty uzyskane niegodnie powinny zostać zakwestionowane i odebrane. To musi boleć, ale czy nie boli jeszcze bardziej, gdy się o tym zapomina lub – co gorsza – mówi, że zapominać należy?

Chyba tylko zbieg okoliczności sprawił, że krótko przed dniem Wszystkich Świętych i Dniem Zadusznym, świętami mocno wrośniętymi w polską tradycję, po raz kolejny wybuchł spór o cmentarze – o miejsca spoczynku i charakter pogrzebu ludzi związanych z PRL w jej najczarniejszej i najokrutniejszej postaci. Utrwalaczy „władzy ludowej", ubeków z Koszykowej, śledczych z Rakowieckiej i Montelupich, partyjnych dygnitarzy, generałów z Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego, artystów fałszujących historię i opluwających jej bohaterów.

Pretekstem do dyskusji stał się pogrzeb wojskowego prokuratora, który w 1946 roku był oskarżycielem w procesie siedemnastoletniej Danuty Siedzikówny „Inki", bohaterskiej sanitariuszki i łączniczki 5 Wileńskiej Brygady Armii Krajowej, podkomendnej mjr. „Łupaszki". Poniżana, bita w śledztwie – nikogo nie wydała, do niczego się nie przyznała, bo do czego się miała przyznać? Że walczyła o wolną Polskę? Za to została skazana na śmierć, zabita i potajemnie pochowana. Prokurator Wacław Krzyżanowski zażądał dla niej kary śmierci i sąd taką karę wymierzył. „Niech żyje Polska!" – krzyknęła siedemnastoletnia dziewczyna tuż przed śmiercią. Piszę tak szczegółowo, by pokazać, jak czysta jest to sytuacja. Wiadomo, gdzie jest dobro, a gdzie zło, nie ma żadnych szarości.

I dzisiaj, w Koszalinie, ten były prokurator, absolwent szkoły UB w Łodzi, wielokrotnie nagradzany, pracujący w wymiarze sprawiedliwości do lat siedemdziesiątych XX wieku, pułkownik ludowego Wojska Polskiego, ma pogrzeb z kompanią honorową, z orderami niesionymi na ozdobnych poduszkach, ze sztandarami.

Pogrzeb z honorami na koszalińskim cmentarzu nie wziął się z niczego, nie był – niestety – wybrykiem kolegów pułkownika, którzy chcieli go „godnie" pożegnać. Był wynikiem całego ciągu zdarzeń, które wiszą nad nami od ćwierci wieku i nie dają sprawiedliwie ocenić takich przypadków, jak ten. Krzyżanowski dwukrotnie w latach dziewięćdziesiątych stawał przed sądem za udział w sądowym morderstwie. I dwa razy od tego zarzutu był uwalniany. Współcześni sędziowie nie znaleźli wystarczających dowodów winy swojego kolegi prawnika. Przy okazji można przypomnieć, jak niemal taśmowo sądy po 1989 roku odmawiały uchylania sędziowskich immunitetów sędziom z najgłośniejszych procesów politycznych, w których podstawowe zasady praworządności były łamane w sposób szczególnie jaskrawy. Dzisiaj ci sędziowie w stanie spoczynku pobierają wysokie emerytury i zapewne oczekują, że ich pogrzeby będą miały także uroczysty charakter.

Koszalin – mógłby też ktoś powiedzieć – prowincja, specyficzne stosunki. Nieprawda. Na miejscu najważniejszym z ważnych, na warszawskim cmentarzu wojskowym na Powązkach ciągle trwa pojedynek z historią. W ostatnim czasie skandal wywołały pogrzeby innych zaangażowanych w utrwalanie „władzy ludowej". Pochowani zostali, niektórzy z honorową asystą wojskową, kolejni generałowie, bezpieczniacy, partyjni dygnitarze zasłużeni w zwalczaniu wolności słowa od lat czterdziestych aż po schyłek PRL. Generałowie ludowego Wojska Polskiego: Sawczuk, Pietrzak, Siwicki; płk Garstka; odpowiedzialny za peerelowską prasę – Artur Starewicz. W maju na Powązkach Wojskowych został pochowany z najwyższymi honorami gen. Wojciech Jaruzelski.

Dyskusja o Powązkach Wojskowych ciągnie się od lat. Teoretycznie jest zgoda, że powinno to być miejsce wiecznego spoczynku dla ludzi najbardziej zasłużonych dla Rzeczypospolitej. I tutaj zgoda się kończy, bo ciągle nie udaje się ustalić, co to znaczy. Kto jest najbardziej zasłużony, na czym mają polegać zasługi dla Polski…

Po serii wiosennych i letnich pogrzebów peerelowskich generałów w honorowej oprawie – minister obrony narodowej pod koniec września wydał zarządzenie, które miało zamknąć drogę na Powązki Wojskowe ludziom, którzy w swojej działalności sprzeniewierzyli się wolnej Polsce. Miało też być wskazówką, jak postępować na innych nekropoliach. Okazało się, że nic z tego nie wyszło. Po pierwsze, wojsko jest gospodarzem tylko części warszawskiego cmentarza, a po drugie, ciągle otwarty jest udział honorowej asysty.

– W Koszalinie zabrakło zdrowego rozsądku – powiedział jeden z urzędników Ministerstwa Obrony. Myli się. Zabrakło czegoś znacznie ważniejszego. Klimatu, w którym podjęcie takiej decyzji byłoby niemożliwe.

Mam wrażenie, że po 1989 roku Wojsko Polskie – nie tylko ono zresztą – żyje w stanie pewnej schizofrenii. Z jednej strony, nie licząc oczywiście sojuszy, zmieniono ceremoniał, kalendarz obowiązujących świąt, bohaterów na sztandarach. Z drugiej zaś – mam nieodparte wrażenie, że to wszystko jest bardzo powierzchowne, nieprzyjęte do serc, nie ma solidnego fundamentu.

Spór o pogrzeby peerelowskich aparatczyków jest tylko częścią – ostatnią drogą, można by powiedzieć – generalnego sporu o lata 1944–1989. – Nie można dzielić żołnierzy na lepszych i gorszych – głośno wołają przeciwnicy racjonowania dostępu do Powązek Wojskowych, a właściwie obrońcy całej peerelowskiej tradycji. Powiem otwarcie – choć nie należę do ludzi, którzy przekreślają PRL w całości i widzą w niej jedną czarną dziurę – że nie tylko można, ale i trzeba. Więcej. Dawno należało to zrobić. Chowanie tam przez ćwierć wieku ludzi tego niegodnych, brak jasnego wskazania, co było dobre, a co złe, jakie wybory służyły Polsce, a jakie jej szkodziły – wszystko to doprowadziło do dzisiejszego całkowitego pomieszania pojęć. Bo nie jest to spór tylko – a nawet nie przede wszystkim – o historię. Pomyślmy: czy żołnierze, którzy towarzyszyli w ostatniej drodze płk. Wacławowi Krzyżanowskiemu i generałom Siwickiemu i Jaruzelskiemu, dobrze rozumieją współczesne zagrożenia?

Krzysztof Gottesman – dziennikarz, publicysta, pracownik Wydziału Komunikacji Społecznej IPN

Fot. AIPN/Julien Bryan

Rynek Starego Miasta we wrześniu 1939 roku

Kolor jesieni

Jacek Sawicki

W momencie napaści niemieckiej na Polskę we wrześniu 1939 roku Julien Bryan, amerykański filmowiec i podróżnik, przebywał ze sprzętem filmowym w Europie Zachodniej. Realizował filmy o dzieciach w Holandii i Szwajcarii. Znał już Polskę z wcześniejszej wizyty w roku 1936. Nabrał wtedy szacunku do jej mieszkańców – ludzi często ubogich, ciężko pracujących, budujących swoją odrodzoną po latach zaborów ojczyznę między rodzącymi się totalitaryzmami sowieckim i niemieckim. Na wieść o wybuchu wojny natychmiast wyruszył do Warszawy, by uwiecznić zmagania sojusznika Wielkiej Brytanii i Francji.

Będąc siedem miesięcy na froncie pod Verdun, nie spotkałem się nawet tam z tak godną postawą, z tak wielkim heroizmem i z tak wielkim samozaparciem się jak w Warszawie.

Julien Bryan

Do Warszawy Bryan przybył 7 września nad ranem, jednym z ostatnich pociągów, które dotarły do stolicy. Filmowiec nie znał języka polskiego. Od razu, jeszcze na dworcu kolejowym, został zatrzymany pod zarzutem szpiegostwa i musiał się tłumaczyć, kim jest. Gdyby próbował działać na własną rękę, groziłoby mu ogromne niebezpieczeństwo, wynikające głównie z panującej wówczas w mieście atmosfery strachu i zagrożenia ze strony niemieckiej dywersji. Na wstępie działalności w Warszawie postanowił uzyskać oficjalną zgodę władz. Dotarł z prośbą do prezydenta miasta Stefana Starzyńskiego, mianowanego 8 września Komisarzem Cywilnym przy Dowództwie Obrony Warszawy, i został bardzo przychylnie przyjęty. Co prawda, Starzyński powołał do życia ekipę filmową, której zadaniem było dokumentowanie obrony Warszawy, ale tylko materiał Bryana miał szansę przedostania się na Zachód i w związku z tym oddziaływania na światową opinię publiczną. Starzyński tłumaczył w rozmowie: „My musimy tu pozostać, ale pan musi w końcu wydostać się stąd, razem z pana filmami. Pana zdjęcia mogą się okazać naprawdę ważne – w ten sposób świat będzie mógł się dowiedzieć, co tu się stało”.

Początkowo Bryan nie zdawał sobie sprawy z powagi sytuacji. Powszechnie przecież spodziewano się, że walki będą podobne do tych z I wojny światowej. Jednak Niemcy nie tylko podjęli działania militarne wymierzone w siły zbrojne Rzeczypospolitej, ale w równym stopniu siali śmierć i zniszczenie na tyłach, wśród ludności

Fot. AIPN/Julien Bryan

Mieszkańcy warszawskiej Pragi wśród zniszczeń

Fot. AIPN/Julien Bryan

Fot. AIPN/Julien Bryan

Most Poniatowskiego – przejście ze strony praskiej na lewy brzeg Wisły

Fot. AIPN/Julien Bryan

Ambasada Stanów Zjednoczonych – budowa prowizorycznych zabezpieczeń i schronów

cywilnej. I ta opowieść o zwykłych ludziach w obliczu okrutnej wojny stała się przewodnim motywem zdjęć filmowych oraz fotografii Juliena Bryana. Wspominał później: „Najważniejsze w opowieści o oblężeniu Warszawy nie były zburzone budynki lub karabiny czy niemieckie bombowce nad głową. Najważniejsze w tej opowieści było to, co przydarzyło się zwykłym mieszkańcom Warszawy, starcom i staruszkom, matkom, małym dzieciom i tysiącom cywilnych pracowników, którzy robili swoje i nie porzucili pracy. Zrobiłem i inne zdjęcia, ale zdjęcia, z których jestem dumny i które długo będą prawdziwym dokumentem oblężenia tego wspaniałego miasta, to proste fotografie – zbliżenia odważnych ludzi w agonii”.

Bryan miał swobodę w doborze tematów zdjęć. Fotografował, co chciał, co wydawało się mu interesujące, ale w praktyce docierał wyłącznie tam, gdzie zawieźli go polscy przewodnicy. „Mieliśmy towarzyszyć wszędzie Bryanowi – wspominał po latach Stefan Radliński, tłumacz i kierowca Bryana – i udostępnić wszystko, co zostałoby uznane przez niego jako godne utrwalenia […]. Jest w stałej łączności zarówno z prezydentem Starzyńskim, jak z Dowództwem Obrony Warszawy, z gen. [Walerianem] Czumą. Od nich dostajemy bezpośrednie bądź telefoniczne rozkazy, gdzie jechać”.

Kiedy Bryan przybył do Warszawy, w swoim niewielkim bagażu miał kamerę filmową ze statywem, trochę taśmy filmowej oraz trzy aparaty fotograficzne: dwa firmy Leica produkcji niemieckiej i amerykański Speed Graphic. W związku z koniecznością szybkiego działania oraz uzyskania

zdjęć dobrych technicznie korzystał głównie z aparatów Leica. W jednym z nich miał założony film kolorowy Kodachrome. Była to jeszcze nowość. Wynaleziony w 1930 roku film został wprowadzony przez firmę Kodak na rynek masowej fotografii sześć lat później. W 1939 roku Bryan zaledwie testował slajdy Kodaka i nie był wystarczająco pewny rezultatu. Obawiał się, że użycie kliszy Kodachrome będzie wymagało bardzo dobrej ekspozycji, czyli czasu, światła i spokoju, a przecież musiał pracować szybko.

Kiedy jednak powrócił szczęśliwie do Ameryki i opublikował pierwsze zdjęcia z Warszawy (tygodnik „Life" z 23 października 1939 roku), wydawca magazynu „Look" zdecydował się odwołać do modnej już wówczas nowości i pokazać także kolorowe fotografie. Miały one wzmocnić przekaz, silniej oddziaływać na emocje, nawet szokować. Miały uwiarygodnić to, co wydawało się niewiarygodne. Wydarzenia tej odległej dla Amerykanów wojny potraktowano zatem nieco podobnie jak trudny do zbycia towar.

Opublikowane zdjęcia nie były tymi, które Bryan uwiecznił na testowanej przez siebie kliszy Kodachrome. Bryan wyselekcjonował 164 najlepsze fotografie czarno-białe i oddał je do pracowni Edwarda van Altena w Nowym Jorku. Tam wykonano odbitki pozytywowe na szkle. Następnie z pieczołowitością naniesiono na nie ręcznie od spodu kolorowe farby. Proces musiał odbywać się pod kontrolą Bryana, ponieważ zadziwiająco wiernie oddano wszelkie niuanse barwy.

Naprawdę we wrześniu 1939 roku Julien Bryan wykonał w Warszawie na kliszy Kodachrome jedynie kilkanaście zdjęć. Całość tego niewielkiego zbioru została odnaleziona przez syna, Sama Bryana, w latach 2003–2009 i przekazana do United States Holocaust Memorial Museum w Waszyngtonie. W grudniu 2009 roku archiwum IPN otrzymało kopie cyfrowe wszystkich kolorowych i kolorowanych zdjęć z kolekcji Juliena Bryana. Po raz pierwszy zobaczyliśmy kolorową twarz bohaterskiej stolicy.

dr hab. Jacek Sawicki – kierownik Sekcji Opracowywania Dokumentacji Audiowizualnej BUiAD IPN

Fot. AIPN/Julien Bryan

Ambasada USA – dolna szyba zabezpieczona przed skutkami bombardowania, górna już wybita...

Fot. AIPN/Julien Bryan

Julien Bryan filmuje szczątki niemieckiego bombowca Heinkel He 111, rozbitego na skarpie nad ulicą Dynasy

O pobycie Bryana w Warszawie oraz innych historiach będzie można usłyszeć i podyskutować na konferencji naukowej z cyklu „Warszawska jesień archiwalna" – *Warszawa ma wiele twarzy*, która odbędzie się 20 i 21 listopada 2014 roku w siedzibie PAN przy ul. Nowy Świat 72 w Warszawie. Postaramy się zarysować różnorodność stolicy i jej charakteru – rozproszoną w obrazie, dźwięku i dokumencie. Będziemy poszukiwać tego, co składa się na mozaikę zmian i ciągłości tradycji życia miejskiego, społeczeństwa, instytucji, obyczaju i kultury. Organizatorami konferencji są m.in. Instytut Historyczny Uniwersytetu Warszawskiego, Instytut Pamięci Narodowej, Naczelna Dyrekcja Archiwów Państwowych oraz Polska Akademia Nauk – Archiwum w Warszawie.

Załączniki do informacji dziennych MSW

Ministerstwo Spraw Wewnętrznych było w PRL ważnym źródłem informacji dla rządzących. W latach osiemdziesiątych przy Rakowieckiej opracowywano specjalne zestawienia informacji zarówno dla kierownictwa resortu, jak i dla przedstawicieli władz.

Zajmowały się tym – niezależnie od siebie – Komenda Główna Milicji Obywatelskiej i centrala MSW. O ile w pierwszym przypadku ograniczano się do spraw kryminalnych i zestawienia miały charakter wewnętrzny, o tyle w drugim informowano o najważniejszych wydarzeniach (w tym również, podobnie jak KG MO, o pospolitej przestępczości) w kraju i za granicą, a wśród odbiorców znajdowały się także osoby spoza resortu, na czele z I sekretarzem Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

W kolejnych latach zakres informacji zawartych w tych zestawieniach rozszerzano. Tak się działo zwłaszcza w momentach kryzysowych, np. od czerwca 1980 roku – wobec „zwiększenia zapotrzebowania ogniw decyzyjnych partii i rządu na informacje o sytuacji polityczno-operacyjnej" (planowane podwyżki cen, wzrost napięcia w kraju) – wydawaną sześć dni w tygodniu informację „K" rozbudowano o część dotyczącą konfliktów społecznych oraz strajki. Taka sytuacja miała miejsce do połowy sierpnia tego roku. Wówczas to – na podstawie zarządzenia ministra spraw wewnętrznych – został utworzony Sztab MSW „dla koordynowania zintensyfikowanych działań jednostek resortu spraw wewnętrznych w celu zapewnienia bezpieczeństwa, ładu i porządku publicznego w kraju" – operacji nadano kryptonim „Lato-80". Była to reakcja na strajk w Stoczni Gdańskiej. Sztab ten zaczął również wydawać codzienną informację sytuacyjną. Była ona przygotowywana przez ponad rok.

21 września 1981 roku zastąpiła ją informacja dzienna, którą przy Rakowieckiej opracowywano do roku 1989. Potrzebę jej wprowadzenia motywowano tak: „wiadomości z MSW są cenne i dobre, ale często zbyt ogólne, skąpe w ważne szczegóły". Prawdziwy powód był jednak, jak się zdaje, inny – przygotowania do wprowadzeniu stanu wojennego weszły w decydującą fazę i potrzeby informacyjne decydentów wzrosły. Postanowiono, że na wzór Szefostwa Wojskowej Służby Wewnętrznej (na czele resortu stał, wywodzący się z WSW, Czesław Kiszczak) zostaną utworzone trzy zespoły informacyjno-redakcyjne, z których każdy miał pracować dobę (w ciągu dnia zbierać dane, a redagować je w nocy) i dwie doby odpoczywać.

Informacje dzienne składały się z kilku stałych działów. Były to: „Ogólna sytuacja w kraju" (potem „Opinie, komentarze, wydarzenia"), „Sytuacja w zakładach pracy", „Polska w ocenach Zachodu", „Inne wydarzenia" (ewentualnie „Inne informacje"). Często uzupełniały je kolejne, np.: „Sytuacja na wsi", „Sytuacja w środowiskach twórczych".

Do informacji dziennych przygotowywano również załączniki. Zawierały one dane o wydarzeniach uznanych za szczególnie istotne. Pozwalały bardziej szczegółowo opisać te wydarzenia, a w razie potrzeby – ograniczyć krąg odbiorców, nawet do kilku osób. W załącznikach informowano np. w stanie wojennym zarówno o „przeciwdziałaniu wrogiej propagandzie i innym szkodliwym aktom" (np. o zatrzymaniach, aresztowaniach i wyrokach za działalność opozycyjną), jak i o publikacjach prasowych, audycjach radiowych i telewizyjnych powstałych przy udziale (a często wręcz z inicjatywy) resortu spraw wewnętrznych. Często też w załącznikach informowano o pospolitej przestępczości czy „działaniach i inicjatywach Kościoła/ kleru rzymskokatolickiego".

Zdarzały się również załączniki okolicznościowe związane z wydarzeniami jednorazowymi. Mogły to być manifestacje (np. z okazji rocznicy porozumienia gdańskiego z 31 sierpnia 1980 roku) czy inne inicjatywy opozycji, ale też sytuacja w poszczególnych związkach (np. sportowych) itp. Przykładowo w 1985 roku pojawił się załącznik zatytułowany „Zatrudnienie na etatach nauczycielskich osób należących do żeńskich zakonów kościelnych", a w 1986 roku – „Wzrost aktywności tzw. Koła Zaprzyjaźnionych Niemców w Polsce". Często zresztą załączniki te (o ile zamieszczono ich kilka naraz) były obszerniejsze (miały po kilkanaście, a nawet więcej stron) niż same informacje dzienne.

Obok przykład takiego właśnie załącznika. Zawiera on informację o dużym sukcesie Służby Bezpieczeństwa, którym było zatrzymanie na początku listopada 1987 roku Kornela Morawieckiego i Hanny Łukowskiej-Karniej. On był przywódcą Solidarności Walczącej, ona – członkinią Rady i Komitetu Wykonawczego SW. Zatrzymanie dwojga ważnych działaczy tej radykalnej antykomunistycznej organizacji utworzonej w 1982 roku było możliwe dzięki prowadzonym w 1987 roku intensywnym działaniom SB. O ich skali świadczy to, że w ich ramach obserwowano m.in. kilkaset mieszkań osób podejrzewanych o związki z SW. Do jednego z takich lokali – mimo posiadania informacji sprzed pół roku, że jest obserwowany – udali się Łukowska-Karniej i Morawiecki. „Dziesięć minut po ich wejściu do mieszkania ktoś zadzwonił do drzwi. »Listonosz« – rozległo się z korytarza. Po chwili Morawiecki leżał na podłodze z rękami skutymi na plecach kajdankami. Błyskawicznie ich przeszukano. Esbecy nie mogli uwierzyć, że [...] wódz groźnej organizacji opozycyjnej nie nosi przy sobie broni" – pisze Igor Janke w książce *Twierdza*. Błąd, który w przypadku osób zmęczonych długotrwałym ukrywaniem się nietrudno zrozumieć, okazał się bardzo kosztowny. Oboje stracili wolność.

dr Grzegorz Majchrzak – historyk, pracownik BEP IPN, zajmuje się m.in. badaniem dziejów aparatu represji i opozycji demokratycznej

Fot. AIPN

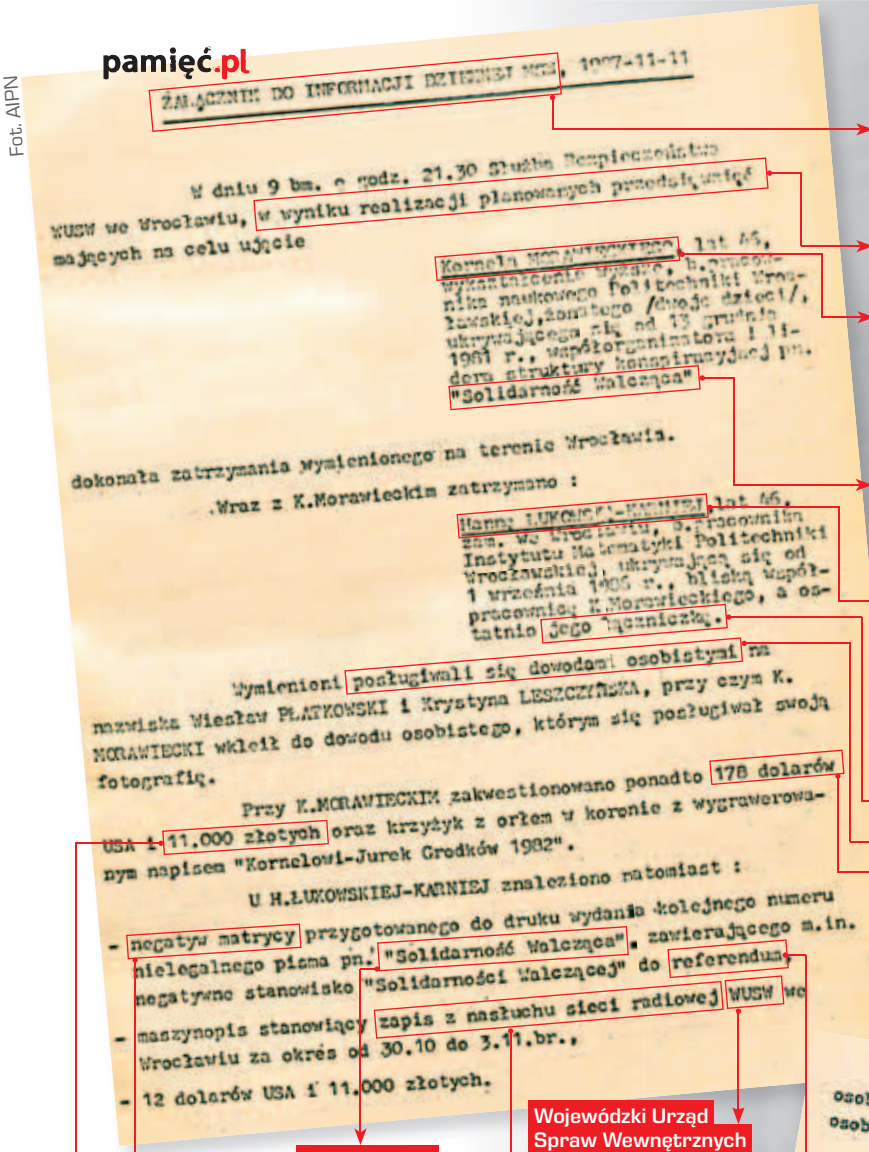

ZAŁĄCZNIK DO INFORMACJI DZIENNEJ MSW, 1987-11-11

W dniu 9 bm. o godz. 21.30 Służba Bezpieczeństwa WUSW we Wrocławiu, w wyniku realizacji planowanych przedsięwzięć mających na celu ujęcie

Kornela MORAWIECKIEGO, lat 46, wykształcenie wyższe, b. pracownika naukowego Politechniki Wrocławskiej, żonatego /żona dzieci/, ukrywającego się od 13 grudnia 1981 r., współorganizatora i lidera struktury konspiracyjnej pn. "Solidarność Walcząca"

dokonała zatrzymania wymienionego na terenie Wrocławia.

Wraz z K.Morawieckim zatrzymano :

Hannę ŁUKOWSKĄ-KARNIEJ, lat 46, zam. we Wrocławiu, b. pracownika Instytutu Matematyki Politechniki Wrocławskiej, ukrywającą się od 1 września 1986 r., bliską współpracownicę K.Morawieckiego, a ostatnio jego łączniczkę.

Wymienieni posługiwali się dowodami osobistymi na nazwiska Wiesław PŁATKOWSKI i Krystyna LESZCZYŃSKA, przy czym K. MORAWIECKI wkleił do dowodu osobistego, którym się posługiwał swoją fotografię.

Przy K.MORAWIECKIM zakwestionowano ponadto 178 dolarów USA i 11.000 złotych oraz krzyżyk z orłem w koronie z wygrawerowanym napisem "Kornelowi-Jurek Grodków 1982".

U H.ŁUKOWSKIEJ-KARNIEJ znaleziono natomiast :

- negatyw matrycy przygotowanego do druku wydania kolejnego numeru nielegalnego pisma pn. "Solidarność Walcząca", zawierającego m.in. negatywne stanowisko "Solidarności Walczącej" do referendum,
- maszynopis stanowiący zapis z nasłuchu sieci radiowej WUSW we Wrocławiu za okres od 30.10 do 3.11.br.,
- 12 dolarów USA i 11.000 złotych.

Dokument zawierający szczególnie ważne informacje, niezamieszczone w informacjach dziennych MSW; załączniki pozwalały w razie potrzeby na zawężenie kręgu wtajemniczonych

Chodzi o zatrzymanie Morawieckiego i Łukowskiej-Karniej w mieszkaniu znajdującym się pod obserwacją SB

Ur. w 1941 roku, do 1990 roku przewodniczący Solidarności Walczącej; po aresztowaniu 9 listopada 1987 roku podstępem został nakłoniony do opuszczenia kraju; powrócił po trzech dniach, ale został deportowany z lotniska w Warszawie do Wiednia, bez prawa powrotu; powrócił nielegalnie pod koniec sierpnia 1988 roku

Radykalna antykomunistyczna organizacja podziemna, utworzona w czerwcu 1982 roku w wyniku rozłamu (na tle taktyki walki z systemem) w Regionalnym Komitecie Strajkowym Dolny Śląsk; najważniejsze ośrodki: Wrocław, Trójmiasto, Katowice, Poznań, Warszawa, Łódź

Ur. w 1941 roku, od czerwca 1982 roku współorganizatorka Solidarności Walczącej, członek Rady i Komitetu Wykonawczego SW; od początku 1984 roku ukrywała się, w czerwcu 1984 roku aresztowana, w następnym miesiącu zwolniona na mocy amnestii; ponownie aresztowana 9 listopada 1987 roku, więziona do 20 kwietnia 1988 roku

Taką funkcję pełniła w 1982 roku

Dowody osobiste (prawdziwe lub fałszywe) zapewniały bezpieczeństwo w sytuacji przypadkowego wylegitymowania przez patrol milicyjny; posługiwało się nimi wiele osób zaangażowanych w działalność podziemną i ukrywających się

Czarnorynkowy kurs dolara (USD) w 1986 roku przekroczył 800 zł, w 1987 roku 1200 zł (przeciętna miesięczna płaca wynosiła w tym czasie około 24 USD), a w 1988 roku – już 2200 zł

„Solidarność Walczącą" wydawano techniką sitodruku

Przeciętne miesięczne wynagrodzenie w 1987 roku wynosiło niespełna 29 200 złotych

Główny organ prasowy Solidarności Walczącej wydawany od czerwca 1982 roku we Wrocławiu w nakładzie 10 tys. egzemplarzy; pod tym samym tytułem ukazywały się również biuletyny oddziałów terenowych

Wojewódzki Urząd Spraw Wewnętrznych

Drugie i ostatnie w dziejach Polski Ludowej referendum, planowane na 29 listopada 1987 roku, miało zapewnić władzom kredyt zaufania społecznego niezbędny do przeprowadzenia reformy gospodarczej, jednak zakończyło się ich porażką

Kontrwywiad Solidarności Walczącej prowadził nasłuch częstotliwości milicyjnych w celu ograniczenia ryzyka ewentualnych wpadek

Solidarność Walcząca korzystała z pomocy Mariana Kalety i Józefa Lebenbauma ze Szwecji, ten pierwszy kierował (do końca 1988 roku) przerzutami sprzętu na potrzeby opozycji w Polsce

Zatrzymany 30 września 1987 roku przed gdańskim hotelem Marina, gdzie miał odebrać przemycane z Zachodu materiały poligraficzne, broń gazową i materiały wybuchowe

Zaangażowanie Centralnej jednostki MSW w sprawę wrocławską świadczy o tym, że władze przywiązywały dużą wagę do zatrzymania Morawieckiego i Łukowskiej-Karniej

K.MORAWIECKI od chwili zatrzymania utrzymuje, iż jest osobą, na którą wystawiony został zakwestionowany przy nim dowód osobisty, mimo że rozpoznany został przez znające go osoby.

K.MORAWIECKI i H.ŁUKOWSKA-KARNIEJ przewiezieni zostali do Biura Śledczego MSW.

K.MORAWIECKI odmówił składania jakichkolwiek wyjaśnień i został zatrzymany do dyspozycji prokuratora.

H.ŁUKOWSKA-KARNIEJ wyjaśniła, iż będący w jej posiadaniu dowód osobisty, rzekomo znalazła w dniu 8 listopada br.

W dniu 11 bm. przewiduje się przedstawienie K.MORAWIECKIEMU zarzutu o współudział w organizowaniu przemytu ze szkodą dla Polski materiałów i urządzeń objętych ograniczeniem przywozu /czyn ten zagrożony jest karą pozbawienia wolności do lat 5/, a także o legitymowanie się przerobionym dokumentem tożsamości, należącym do innej osoby /występek zagrożony karą pozbawienia wolności do lat 3/.

W stosunku do H.ŁUKOWSKIEJ-KARNIEJ przewiduje się wszczęcie postępowania przygotowawczego w związku z posługiwaniem się przez nią dokumentem tożsamości, należącym do innej osoby. Postępowanie w tej sprawie prowadzić będzie Biuro Śledcze MSW, pod nadzorem Prokuratury Wojewódzkiej we Wrocławiu.

W dniu 11 bm. przewiduje się zastosowanie wobec wymienionych środka zapobiegawczego w postaci tymczasowego aresztowania.

x/ W sprawie tej Biuro Śledcze MSW prowadzi aktualnie śledztwo pod nadzorem Prokuratury Wojewódzkiej w Gdańsku, którym dotychczas objęto Krzysztofa Szymańskiego z Gdańska, bezpośrednio zaangażowanego w opisaną działalność przemytniczą.

Opracowano w Biurze Śledczym MSW

Niech każdy życiorys ujrzy światło dzienne

Film *Dzieci kwatery „Ł”* pokazuje historie ludzi, którzy przez lata nie mogli otrzymać od władzy żadnej informacji o tym, gdzie leżą ich ojcowie i bracia. Zrozumiałam teraz do końca, co czuły moja mama i babcia przez te wszystkie lata – mówi Anna Tasiemska, wnuczka Władysława Borowca zidentyfikowanego w wyniku prac ekshumacyjnych na warszawskiej „Łączce”, w rozmowie z Agnieszką Łuczak

Niedawno odzyskała Pani swojego dziadka. Podczas prac prowadzonych pod kierownictwem dr. hab. Krzysztofa Szwagrzyka udało się odnaleźć szczątki Władysława Borowca, a następnie zidentyfikować je dzięki badaniom genetycznym. Wiedziała Pani wcześniej o tragicznych losach dziadka?

Pierwszy raz dowiedziałam się o dziadku, kiedy byłam nastolatką. I to nie od mojej mamy, ale od kogoś z dalszej rodziny. Powiedziano mi, że dziadek, którego mam, nie jest moim prawdziwym dziadkiem, tylko drugim mężem mojej babci. A pierwszy mąż i mój prawdziwy dziadek już od dawna nie żyje. Zapytałam o to moją mamę, która wtedy pokazała mi album ze zdjęciami dziadka i zaczęła o nim opowiadać. Powiedziała, jak mówił, że „nie wolno bratać się z Ruskami” i że „Sowieci zrobią z Polski swoją republikę”. Mówiła też, że był bardzo inteligentny, bystry i znał pięć języków obcych. Wspominała jego ogromną miłość do rodziny i mówiła, że na pewno nie żyje, bo gdyby żył, to „z każdego krańca świata na pewno by ją odnalazł”. Babcia wiedziała o tym, że dziadek działa w konspiracji, ale nie była wciągnięta w jego działalność. Kiedy został aresztowany w 1947 roku, po prostu nagle zniknął z ich życia. Mama miała wtedy sześć lat.

Nieco później dowiedziałam się więcej o dziadku. W 1988 roku w „Głosie Wielkopolskim” ukazał się artykuł Kazimierza Brzezickiego *Jeden zarzut wobec pięciu osób*, który opisywał historię mojego dziadka i osób razem z nim skazanych. Mama zaczęła wspominać traumatyczne przeżycia z dzieciństwa, jak ubecy śledzili ją i babcię. Po jego aresztowaniu żyły w biedzie, bo babcia Antonina nie mogła znaleźć pracy – miała tzw. wilczy bilet. Mama powiedziała, że w szkole była postrzegana jako

Po wojnie Władysław Borowiec pracował w berlińskiej placówce polskiego Biura Rewindykacji i Odszkodowań Wojennych; na zdjęciu: z żoną Antoniną i córką Barbarą, Berlin, 1945 rok

Fot. ze zbiorów Anny Tasiemskiej

córka szpiega. Sąd, skazując dziadka na karę śmierci, zasądził także przepadek mienia, więc zostały wyrzucone na ulicę. Przetrwały tylko dzięki rodzinie.

Babcia Antonina nie pozbierała się do końca życia. Pisała do prezydenta Bolesława Bieruta w sprawie ułaskawienia męża, ale on nie skorzystał z prawa łaski. Nie wiedziała, co się ostatecznie z dziadkiem stało, czy wykonano na nim wyrok śmierci, a jeśli tak, to gdzie jest pochowany. Po tych przejściach zmarła w wieku 47 lat. Na jej grobie umieściłam 15 lat temu tabliczkę z imieniem i nazwiskiem dziadka. Taka symboliczna mogiła.

Po zmianach politycznych w Polsce po 1989 roku było już trochę łatwiej z uzyskaniem informacji o dziadku?

W 1990 roku koledzy Stefana Górskiego z Poznania wystąpili do władz sądowych z wnioskiem o rewizję nadzwyczajną wyroku, zwrócili się również do prof. Ewy Łętowskiej, ówczesnego Rzecznika Praw Obywatelskich. Mama wreszcie odetchnęła z ulgą, kiedy Sąd Warszawskiego Okręgu Wojskowego w Warszawie wydał w roku 1992 wyrok, według którego Zdzisław Eichler, Władysław Borowiec, Stefan Górski, Andrzej Wlekliński i Marian Witajewski prowadzili działalność na rzecz niepodległego bytu państwa polskiego. Dowiedziałam się, że dziadek został oskarżony o współpracę z obcym wywiadem i osadzony w więzieniu przy ul. Rakowieckiej w Warszawie. Tam został poddany śledztwu, które trwało dziewięć miesięcy, a potem skazany na karę śmierci.

Czy w Pani rodzinie ktoś podejrzewał, że dziadek został pochowany właśnie w powązkowskiej kwaterze „Ł”?

Po rehabilitacji dziadka starałyśmy się czegokolwiek dowiedzieć o jego miejscu pochówku, pisałyśmy do różnych instytucji, m.in. do Sądu Najwyższego, ale otrzymałyśmy jedynie odpowiedź, że miejsce to jest nieznane. Chciałyśmy też uzyskać dostęp do akt sprawy dziadka, żeby znaleźć więcej informacji o nim, ale stwarzano nam rozmaite trudności administracyjne. Mówiono, że część dokumentów jest ciągle w archiwum Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i nie została jeszcze odtajniona. Nie dostałyśmy tych akt.

W 1993 roku szukałyśmy jego mogiły na Służewie w Warszawie, bo takie pogłoski wtedy krążyły. Nie miałyśmy pojęcia o kwaterze „Ł” ani o tablicy umieszczonej na więzieniu mokotowskim, na której byli wymienieni wszyscy zamordowani tam więźniowie. Jest tam także nazwisko dziadka.

O tym, że może być pochowany w powązkowskiej „Łączce”, dowiedziałam się przypadkiem dopiero w 2010 roku, kiedy wyszukałam w Internecie nazwisko dziadka. Wówczas znalazłam informację o pomniku na kwaterze „Ł” na Powązkach. Wśród ok. 250 nazwisk zobaczyłam tabliczkę z napisem „Władysław Borowiec”. W Internecie znalazłam też życiorys dziadka, a także życiorysy straconych z nim kolegów. Potem, czytając książkę Małgorzaty Szejnert *Śród żywych duchów*, myślałam o moim dziadku.

Fot. Piotr Życieński

Anna Tasiemska odbiera notę identyfikacyjną dziadka; Warszawa, 22 sierpnia 2013 roku

Władysław Borowiec był jednym z pierwszych zidentyfikowanych. Stało się to możliwe dzięki dostarczeniu przez Panią materiału genetycznego. Jak wygląda pobieranie próbki?

W 2012 roku, przy okazji pierwszego etapu prac ekshumacyjnych na Powązkach, usłyszałam w telewizji komunikat wzywający rodziny do oddania materiału genetycznego. Zadzwoniłam do IPN, gdzie skierowano mnie do prof. Krzysztofa Szwagrzyka i dr. Andrzeja Ossowskiego, którzy błyskawicznie i bezpłatnie przesłali mi zestaw do samodzielnego pobrania materiału genetycznego. Czasu było niewiele, bo mama była ciężko chora. Od 17 lat zmagała się z chorobami Alzheimera i nowotworową. Niemal w ostatniej chwili, bo 26 dni przed jej śmiercią, pobrałam od niej materiał genetyczny do badań porównawczych. To bardzo prosta i bezbolesna sprawa. Specjalne patyczki zakończone wacikiem potarłam o wewnętrzną część policzka mamy, włożyłam do opakowania i wysłałam, załączając wypełnioną ankietę. Materiał ten został umieszczony w Polskiej Bazie Genetycznej Ofiar Totalitaryzmów Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego w Szczecinie. Potem czekałam na wynik. Po kilku miesiącach zadzwonił prof. Szwagrzyk z wiadomością, że dziadek został zidentyfikowany.

Podczas drugiego etapu prac, w 2013 roku, zostały znalezione szczątki dwóch, a potem czterech osób w jednym z dołów śmierci w kwaterze „Ł”. Jednym z tych czterech okazał się mój dziadek, który leżał na samym dole, pod innymi. Na razie tylko on został zidentyfikowany. Pozostali trzej to zapewne skazani z nim towarzysze, bo tego samego dnia wykonano na nich wszystkich wyrok. Zostali zamordowani metodą katyńską – strzałem w tył

głowy. Należę do grona tych szczęśliwców – obecnie 36 osób – którym się udało zidentyfikować krewnych. Ale chciałabym, żeby innych też to spotkało.

Czy odbierając notę identyfikacyjną, wiedziała już Pani więcej o sprawie dziadka?

Parę miesięcy wcześniej wystąpiłam do poznańskiego IPN o wgląd w akta dziadka. Dostałam kserokopie części z nich i czytałam w domu przez dwa tygodnie bez przerwy. Wyobrażałam sobie to śledztwo. Podczas przesłuchania dziadka jego zeznania były często przerywane, musieli go ciągle torturować. W pewnym momencie powiedział: „Tylko mnie już nie bijcie". I to jest napisane w protokole. Teraz już wiem, że wyrok wykonano 25 września 1948 roku o godzinie 20.10. Gdyby nie IPN, który udostępnił mi te wszystkie dokumenty, nigdy nie dowiedziałabym się tylu ważnych rzeczy.

W filmie Arkadiusza Gołębiewskiego *Dzieci kwatery „Ł"* jest pokazana historia Pani rodziny, która po latach na nowo odzyskuje kontakt dzięki pracom na „Łączce". To rzeczywiście historia zupełnie jak z filmu.

Gdy ogłoszono wyniki identyfikacji, zobaczyła to w telewizji moja ciocia, która zgłosiła się do IPN z prośbą o umożliwienie kontaktu ze mną. W ten sposób dowiedziałam się, że mój dziadek miał brata Feliksa i że mam w Polsce i USA rodzinę, o której istnieniu nie miałam pojęcia. Okazało się, że Feliks Borowiec odwiedził swojego brata w więzieniu przy ul. Rakowieckiej. Potem kontakty się urwały. Moje spotkanie z odnalezioną rodziną zostało pokazane w filmie.

Film *Dzieci kwatery „Ł"* był dla mnie bardzo poruszający. Pokazuje osoby, których bliscy leżeli na „Łączce", osoby, które przez lata nie mogły otrzymać od władz żadnej informacji o tym, gdzie pochowano ich ojców i braci. Zrozumiałam teraz do końca, co czuły moja mama i babcia przez te wszystkie lata.

Czy stara się Pani teraz dowiedzieć jeszcze więcej o losach dziadka?

Jestem spragniona każdego szczegółu. Trochę informacji przekazała mi moja ciocia, córka Edmunda Hetmana, której ojciec działał razem z moim dziadkiem, a potem został skazany na karę więzienia. Ale on też zmarł dosyć młodo (w latach siedemdziesiątych), bo miał zrujnowane zdrowie po przejściu przez więzienia przy Rakowieckiej, we Wronkach i w Rawiczu.

Teraz usiłuję sama uporządkować tamtą historię, żeby uzyskać możliwie pełen obraz. Udaje mi się zdobyć tylko strzępy informacji, zwłaszcza o jego zaangażowaniu w konspirację. Ciągle dowiaduję się czegoś nowego, np. że historia dziadka i skazanych z nim osób w czasach PRL została wytypowana przez MSW do sfilmowania jako kontynuacja popularnego wówczas serialu *Stawka większa niż życie*. Hans Kloss miał w tej nowej serii walczyć z polskim podziemiem antykomunistycznym. Jednak w końcu nie doszło do realizacji serialu.

Czy rodzina zdecyduje się pochować Pani dziadka w panteonie narodowym na Powązkach, kiedy dojdzie do jego powstania?

Za każdym razem, kiedy jest ogłoszenie kolejnych wyników identyfikacji, przyjeżdżam z Poznania do Warszawy i idę na Cmentarz Północny, gdzie odnalezione ofiary spoczywają w trumnach, i modlę się za nich wszystkich. Ci, którzy już zostali zidentyfikowani, powinni na trumnach mieć swoje fotografie i być okryci biało-czerwoną flagą.

Chciałabym, żeby dziadek został pochowany na „Łączce". Tam, gdzie został wrzucony po śmierci, powinien zostać oddany ziemi w sposób godny i już nie bezimienny, podczas katolickiego pogrzebu. To jest właściwe miejsce. Mam nadzieję, że stanie się to jak najszybciej. Ponadto uważam, że szybko powinien się odbyć trzeci etap prac na „Łączce", a to może ruszyć dopiero po zmianie prawa. Liczę na to tym bardziej, że obiecał to rodzinom – dzieciom kwatery „Ł" – prezydent RP Bronisław Komorowski. Uważam, że najpierw wszystkie szczątki powinny zostać wydobyte, a dopiero potem wszyscy powinni zostać uroczyście pochowani. W końcu razem tam leżeli przez kilkadziesiąt lat i razem powinni w to miejsce wrócić.

Chciałabym poznać losy wszystkich rodzin, których bliscy leżą w kwaterze „Ł". To dla mnie niesamowita lekcja historii. Staram się też być w różnych miejscach i przekazywać innym to, co już sama wiem. Niestety, ciągle mało osób, nie tylko młodych, ale i dorosłych, wie o tamtych czasach, o takich rodzinach i o „Łączce".

Fot. Piotr Życieński

Anna Tasiemska (w środku) odwiedza kwaterę „Ł" z bratanicą dziadka, Marią Borowiec-Korpysz, i jej córką, Alicją Korpysz

Łączniczki i drukarze

Nasza książka jest dowodem na to, że stosowanie w nauce kategorii *gender* nie musi być związane z ideologizacją historii. Dzięki wprowadzeniu tego narzędzia odkrywamy nowe sfery rzeczywistości – mówią Natalia Jarska i Jan Olaszek, redaktorzy tomu *Płeć buntu*, w rozmowie z Andrzejem Brzozowskim

dr Natalia Jarska – historyczka, pracowniczka Biura Edukacji Publicznej IPN, przygotowuje do druku książkę o robotnicach w PRL

Fot. Przemysław Skrzek

Jan Olaszek – historyk, pracownik Biura Edukacji Publicznej IPN, przygotowuje książkę o podziemnym dziennikarstwie w latach osiemdziesiątych

„Kobiety często pozostawały w cieniu. Kiedy mężczyzna konspirował, one zajmowały się codziennym życiem". To wyrwane z kontekstu zdanie odzwierciedla funkcjonujący dość powszechnie stereotyp. Jak wyglądała struktura opozycji w PRL pod względem płci? Czy panna „S" była mężczyzną?

Jan Olaszek: Nie jestem zwolennikiem tak jednoznacznego stawiania sprawy. Podziemna Solidarność nie była jednolita. W Warszawie kobiety stanowiły około połowy szeregowych działaczy. Nie było ich jednak w kierownictwie regionu. W mniejszych miejscowościach, np. w Rzeszowie, odsetek kobiet był znacznie mniejszy. W książce publikujemy badania socjologa Adama Mielczarka na ten temat. W skali całego kraju mężczyźni na pewno stanowili większość. Czyli faktycznie: kiedy mężczyzna działał w podziemiu, kobieta brała na siebie sprawy domowe. Ale bywało też inaczej. Na przykład Zofia i Zbigniew Romaszewscy przez cały czas działali razem. W podziemnym piśmie „Amazonka" (jedynym, które deklarowało się jako kobiece) opisano właśnie perspektywę kobiety, która wraca z pracy, musi się zająć domem, mąż konspiruje, a kiedy wraca, to jeszcze jej zleca, żeby zaniosła bibułę do kolegi. Małgorzata Zalewska, żona jednego z czołowych opozycjonistów warszawskich, Macieja, opowiadała mi, że był to dla nich podział naturalny. On działa w podziemiu, drukuje, a ona go wspomaga, ale przede wszystkim zajmuje się domem. Z działalnością wiązały się też represje. Kiedy mężczyzna trafiał do aresztu, wszystkie obowiązki spadały na kobietę.

Natalia Jarska: Dość powszechny był taki model: mężczyzna działa w opozycji, kobieta niby nie, ale tu coś przepisze, tu coś przeniesie, a jak męża aresztują, to musi zorganizować sieć kontaktów, wyciąga go z aresztu, to ona jest w domu podczas rewizji, bo mąż się ukrywa itd. To też jest działalność, tylko że kobiety nie chcą dziś mówić o tym w takich kategoriach. W wywiadach, które przeprowadziłam, żony internowanych w stanie wojennym często początkowo podkreślały, że ich rolą było zajmowanie się domem. Dopiero po bardziej pogłębionej rozmowie okazywało się, że też były wciągnięte w konspirację, choć ważniejsza dla nich była troska o rodzinę.

JO: Bywało jednak, że cała rodzina angażowała się w opozycję. Podam inny przykład. We wszystkich publikacjach poświęconych podziemnemu pismu „KOS" pojawiał się plastyk Leszek Kost. Kiedy poszedłem z nim porozmawiać, powiedział, żebym porozmawiał też z jego żoną, Joanną, bo ona także była członkiem redakcji – wszystko robili razem. A w dotychczasowym spojrzeniu na jego historię ona w ogóle się nie pojawiała.

Historia Małgorzaty Zalewskiej to chyba dobry przykład potwierdzający zjawisko, o którym wspomina się w kilku miejscach w *Płci buntu*, a mianowicie dobrowolną abdykację kobiet.

JO: Pisze o tym Łukasz Kamiński, ale przede wszystkim w kontekście braku udziału kobiet we władzach Solidarności – legalnej i podziemnej. Elementem tej „abdykacji" był też brak postulatów kobiecych w programie Solidarności. Tu rzeczywiście można mówić o dobrowolnej rezygnacji. Zresztą nie tylko kobiet, bo wiele innych grup zrezygnowało ze swoich postulatów, uznając, że walka o demokrację i prawa pracownicze jest w danym momencie najważniejsza.

NJ: Wydawało się, że jak się załatwi te najważniejsze sprawy, to wszystko inne też zostanie załatwione. W innych krajach bloku socjalistycznego opozycjonistki również nie zgłaszały typowo kobiecych postulatów.

To wydaje się logiczne: najpierw załatwmy sobie demokrację, a potem poszczególne grupy będą mogły walczyć o swoje interesy.

JO: Nie wszystkim kobietom były bliskie postulaty, które dziś kojarzymy z feminizmem. Wiele z nich miało inne poglądy – chciały uczestniczyć w ruchu Solidarności, a niekoniecznie podpisywać się pod wszystkimi postulatami kobiecymi. Te, które się pojawiały, dotyczyły przede wszystkim prawa pracy kobiet, urlopów macierzyńskich itp.

NJ: Warto popatrzeć na tamtą rzeczywistość oczami tamtych ludzi – także na ówczesny porządek płci. Z tego punktu widzenia termin „abdykacja" nie jest dobry, bo oznacza rezygnację z czegoś, co się już ma. W tym przypadku nie można o tym mówić, kobiety nie miały władzy, więc nie mogły z niej zrezygnować. Należy też spojrzeć oczami ówczesnych kobiet: do czego aspirowały, jak się realizowały. To, że było ich bardzo mało w zarządach regionów, nie znaczy, że się nie angażowały.

JO: Takie kwestie, jak motywacje, w źródłach pisanych są trudne do uchwycenia. Z kolei korzystając ze zbieranych po latach relacji, trzeba brać pod uwagę przemiany w światopoglądzie osób, z którymi rozmawiamy. Są przykłady tego, że motyw chęci realizowania się w roli przywódcy związku wypłynął w relacjach dopiero po latach – kiedy pojawił się temat parytetów w dyskusji publicznej. Trzeba też odróżnić okres legalnej Solidarności od konspiracji w stanie wojennym. W pierwszym przypadku władze związku wybierano demokratycznie – wówczas w żadnym zarządzie regionu szefową nie była kobieta, żadna też nie kandydowała do tego stanowiska. W Komisji Krajowej była jedna. Być może kultura tego czasu czy poglądy tych kobiet powodowały, że one nie aspirowały do robienia karier w związku. Choć niekiedy bywały wybierane, jak Helena Łuczywo, która kierowała Agencją Prasową Solidarności i nikt nie robił problemu z tego, że kobieta zajmowała tak ważne stanowisko. Ale to jeden z wyjątków. Sytuacja zmieniła się w podziemiu. Nadal nie było pań w ogólnopolskiej Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej, ale w wielu strukturach odgrywały bardzo ważne role. Solidarnością Walczącą po aresztowaniu Kornela Morawieckiego i Andrzeja Kołodzieja kierowała Jadwiga Chmielowska. „Tygodnik Mazowsze", najważniejsze pismo podziemia, redagowały głównie kobiety; one też pełniły funkcje organizatorek – pracę Zbigniewa Bujaka organizowała Ewa Kulik. W Warszawie lekarka Ewa Choromańska kierowała Międzyzakładowym Komitetem Koordynacyjnym, największą strukturą grupującą działaczy z zakładów pracy. W podziemiu o tym, kto jaką odgrywał rolę, nie decydował już proces demokratyczny, tylko gotowość, czas, odwaga, czasem przypadek. Jeśli kobieta zaczęła budować struktury, stała się liderem, to nikt nie miał powodu tego kwestionować.

Czyli to, że kobiety były słabo reprezentowane we władzach czy strukturach związku i konspiracji, nie wynikało z dyskryminacji płciowej, z jakichś uprzedzeń?

NJ: Ważne są wzorce kulturowe, tradycje. Kobiet we władzach politycznych prawie nie było – ani przed wojną, ani w PRL. W związku zawodowym, gdzie dużą rolę odgrywa polityka, kobiety się odsuwały na dalszy plan. Natomiast bardzo dobrze są w tradycji polskiej zakorzenione wzorce działania konspiracyjnego kobiet. Nie możemy też mówić o kobietach jako jednej zbiorowości, która ma tę samą świadomość. W środowisku robotniczym powszechny był model, w którym to kobieta zajmuje się domem – i jest z tego dumna, z tym się identyfikuje, nie z przepisywaniem jakichś tekstów po nocach. Nieuczciwe byłoby narzucanie jej takiej narracji. Z drugiej strony – w środowiskach inteligenckich było naturalne, że kobiety działają, angażują się, nie muszą prosić męża o zgodę na to, że będą działały i się narażały. Miały większą autonomię.

W drugiej połowie XX wieku emancypacja kobiet przybiera na sile, także w bloku socjalistycznym. Równouprawnienie było jednym z flagowych postulatów komunistycznych. Był to chwyt propagandowy i ekonomiczny (brakowało rąk do pracy), ale czy miał też wpływ – paradoksalnie – na zaangażowanie kobiet w działalność związkową czy opozycyjną?

NJ: Na pewno. W 1980 roku kobiety stanowiły ok. 48 proc. pracujących. Działały w komisjach zakładowych, wcześniej też w strukturach związków komunistycznych. To jest rezultat masowego zatrudnienia kobiet, ale też wykształcenia – jeśli spojrzeć na statystyki, to jego poziom wśród kobiet był dobry.

JO: Wpływ emancypacji głoszonej przez komunistów jest może trochę niedoceniany, ale znaczenie miał także wpływ kultury zachodniej. Strajkujący z generacji '68 niewiele różnią się od rówieśników na Zachodzie, do nich dociera kultura zachodnia, niecałkiem swobodnie, ale jednak.

A czy postulat równouprawnienia nie był kojarzony z propagandą komunistyczną i w związku z tym traktowany z dystansem?

NJ: Odwołam się do wywiadu z Elżbietą Potrykus, który również znalazł się w książce. Kiedy dziennikarz, Krzysztof Wyszkowski, zapytał, czy nie byłaby potrzebna jakaś kobieca reprezentacja Solidarności, żeby formułować kobiece postulaty, to ona oburzona odpowiedziała pytaniem, czy ma on na myśli tworzenie Ligi Kobiet w Solidarności. Liga Kobiet była organizacją reżimową, pasem transmisyjnym partii. Dlatego już na wstępie był to dla niej pomysł odrzucający. Z jednej więc strony kobiety dostały od władzy komunistycznej narzędzia emancypacji, z drugiej nie bardzo chciały się identyfikować z jej hasłami. Tym bardziej że hasła te uważano za puste – nie nastąpiła bowiem żadna redefinicja ról w sferze prywatnej, tzn. większość kobiet miała na głowie nie tylko zajmowanie się dziećmi, ale też zakupy, pranie – sprawy, które w PRL stawały się coraz trudniejsze, coraz bardziej czasochłonne. Nie można oczywiście uogólniać, ale robot-

nicom najbardziej zależało na tym, żeby nie musiały stać po trzy godziny w kolejce. Kryzys gospodarczy powodował minimalizację postulatów.

W jaki sposób kobiety wykorzystywały cechy i umiejętności właściwe ich płci w działalności opozycyjnej i konspiracyjnej?

NJ: Uściślijmy, że chodzi o cechy kulturowe płci. W *Płci buntu* są dwa teksty, w których widać to szczególnie wyraźnie. Pierwszy opowiada o strajku włókniarek w Żyrardowie, drugi o sprzeciwie kobiet wobec kolektywizacji. Trzydniowy strajk w Żyrardowie w 1951 roku włókniarki wywołały, przeprowadziły i wygrały. W zasadzie nie spotkały ich za to represje. Pytanie: dlaczego? W końcu wówczas surowe sankcje groziły nawet za spóźnienie. Autorka, Małgorzata Fidelis, udowadnia, że miało to związek z płcią. Przede wszystkim kobiety nie były postrzegane w kategoriach wroga politycznego. System komunistyczny często bywał paradoksalny: z jednej strony chciał kobiety emancypować, ale z drugiej uważał je za z natury zacofane, które dopiero trzeba uświadomić politycznie.

Topos „zacofanej baby" z radzieckiej propagandy.

NJ: Właśnie. Tymczasem chłopka, którą aresztowano za opór przeciw kolektywizacji, doskonale wiedziała, z czym walczy, ale gdy ją milicja aresztowała, to zaraz została wypuszczona, bo przecież „na pewno była pod wpływem męża" i to nie ona jest winna. W stalinizmie przeważnie nie wykonywano wyroków śmierci na kobietach. Norma niestosowania przemocy wobec kobiety jakoś działała. Zwłaszcza wobec ciężarnej. W Żyrardowie podczas strajku jedna z robotnic w widocznej ciąży zablokowała sobą drzwi. Milicjanci byli bezradni, nieprzygotowani na takie sytuacje – przecież nie użyją siły! Oprócz tego organizatorki żyrardowskiego strajku spotykały się w damskiej toalecie. Funkcjonariusze wysłani do stłumienia protestu nie weszli tam, bo... nie wypada. Dzięki takim sytuacjom strajk mógł po prostu trwać.

Funkcjonariusze relacjonowali też, że kobiety piszczą, histeryzują i trudno się z nimi porozumieć.

NJ: Tak było też podczas kolektywizacji: zaczynało się od zebrań, na których aktywiści mieli przekonywać ludność chłopską do założenia spółdzielni. Kobiety nie przychodziły rozmawiać ani walczyć na argumenty, tylko śpiewać pieśni religijne, płakać, najlepiej jeszcze było przyprowadzić dzieci, żeby pokrzyczały. Chciano w ten sposób rozbroić sytuację. Podobnie podczas strajków. To nie było działanie do końca wyrachowane.

Wygląda jednak na to, że kobiety miały świadomość tego, że stereotyp płci może zadziałać na ich korzyść, i to wykorzystywały. Na przykład – że kobieta budzi mniej podejrzeń o nielegalną działalność.

JO: Rzeczywiście szeregowi funkcjonariusze mniej podejrzewali kobiety. Ale nie dotyczy to czołówki opozycji – władza doskonale wiedziała o ich zaangażowaniu i z pewnością ich nie lekceważyła. W niektórych sytuacjach rzeczywiście kobiety z powodzeniem i świadomie wykorzystywały stereotyp „słodkiej idiotki" nierozumiejącej sytuacji. Podobnie ludzie starsi zaangażowani w nielegalną działalność opozycyjną wykorzystywali stereotypy przypisywane wiekowi: udawali dezorientację, a milicjant nieświadomie pomagał im w przeniesieniu torby z ukrytą bibułą, odprowadzając „babcię".

Ciekawym przykładem dla naszych rozważań będzie też „Tygodnik Mazowsze", ponieważ pokazuje różne role kobiet i mężczyzn w podziemiu. Mówi się, że tygodnik tworzyły kobiety. To niezupełnie prawda. Owszem, w dużej części kobiety pisały i redagowały teksty, ale drukiem zajmowali się już

Pałki przeciwko parasolkom – pacyfikacja kobiet protestujących przeciwko rozbiórce dobudówki do kościoła w Szklarach koło Olkusza; sierpień 1947 roku

Fot. AIPN

Wsparcie moralne: kobiety zgromadzone przed gmachem Sądu Rejonowego w Rzeszowie przed rozprawą przeciwko ks. Franciszkowi Kołodziejowi, oskarżonemu o nielegalną budowę kościoła; 1987 rok

Fot. AIPN

głównie mężczyźni. Drukowanie to pierwsza linia frontu. Nie dało się przy złapaniu na gorącym uczynku przy powielaczu wytłumaczyć, jak np. ze znalezionej przez milicjanta bibuły – nie wiem, co to jest, ktoś mi dał przed chwilą. Poza tym to była ciężka i brudna praca, najczęściej nocna. A więc uznawano, że nie jest dla kobiet.

Czy zatem można powiedzieć, że bunt ma płeć?

JO: Tytuł publikacji ma charakter nieco marketingowy, ale jest też uzasadniony merytorycznie. Były formy zaangażowania opozycyjnego bądź oporu specyficzne dla kobiet – inaczej strajkowały one, a inaczej mężczyźni. To jest dopiero początek badań. Chcieliśmy najpierw pokazać te sfery działania opozycyjnego, w których były kobiety, i zastanowić się, czy płeć – płeć kulturowa – miała znaczenie.

NJ: Bywało, że bunt kobiecy był skuteczniejszy – właśnie ze względu na to, że wszczynały go kobiety, a nie mężczyźni. Tak było w Żyrardowie w 1951 roku, choć w 1981 – już nie.

Być może władza nabyła już doświadczenie, jak postępować w takich sytuacjach? Kiedy zakład okupują mężczyźni, sprawa jest prosta: przyjeżdża ZOMO, może dać w zęby i wyprowadzić protestujących. A w przypadku kobiet – uderzyć? Niepolitycznie...

NJ: W latach osiemdziesiątych władze poza tym zabiegały o poparcie kobiet, odwoływały się do ich natury: że kobiety pragną spokoju dla dzieci, nie walczą. Generał Jaruzelski odwiedzał zakłady włókiennicze, pokazywał się z włókniarkami, właśnie dlatego, że zależało mu na ich poparciu.

JO: Nieprzypadkowo do strajków okupacyjnych władze dopuszczały kobiety, licząc właśnie na to, że wyciągną mężów do domów. W propagandzie kreowano taki wizerunek kobiety – częściej matki niż żony – która czeka samotna w drzwiach, a jej syn gdzieś tam „ogłupiony przez ekstremistów z Solidarności" rzuca kamieniem w ZOMO. Kobieta jest tu jednocześnie przedmiotem i podmiotem propagandy – przekaz jest o niej, a zarazem do niej. W latach osiemdziesiątych było to już jednak mało skuteczne.

NJ: Żony internowanych namawiano, by skłoniły swych mężów do podpisania lojalki.

JO: To, że nadaliśmy książce tytuł *Płeć buntu*, nie znaczy, że chcemy udowodnić, że we wszystkich opisanych sferach buntu właśnie kategoria płci jest kluczowa. Tylko w niektórych ma znaczenie, coś zmienia w interpretacji historyka. Drukowanie nie było „kobiece", ale kolportaż czy łączność już bardziej. Nawet mówi się raczej o „łączniczkach" niż o „łącznikach" – co też jest kontynuacją tradycji z II wojny światowej. Wiele kobiet – zazwyczaj starszych i samotnych – udostępniało mieszkania na potrzeby podziemia. Interpretacje, czy płeć ma znaczenie czy nie, są w tej książce bardzo różne. Nie próbujemy dopasować rzeczywistości historycznej do gotowej ramy interpretacyjnej, tylko staramy się pokazać: tu mogło mieć znaczenie, tu nie miało, a w innym przypadku potrzeba jeszcze badań, by to stwierdzić.

Często pojawia się stwierdzenie, że w opisie historii opozycji kobietom nie oddaje się należnego miejsca.

NJ: Warto się zastanowić, czym właściwie ma być to należne miejsce.

JO: Historia polityczna zazwyczaj jest historią władców i liderów. Z Solidarnością właśnie tak jest – patrzymy na nią przez pryzmat jej przywódców i autorów programów politycznych. Dlatego znamy Kuronia, Frasyniuka, Mazowieckiego czy Wałęsę. Mniej wiemy o redaktorach i redaktorkach pism, kolporterach i kolporterkach czy osobach drukujących bibułę. W tej sytuacji w pamięci giną i kobiety, i mężczyźni. Ale mam wrażenie, że w ostatnich latach to się zmienia. Przypominane są postaci kobiet, ale nadal tych najbardziej znanych, jak Anna Walentynowicz, Henryka Krzywonos, Alina Pienkowska, Halina Mikołajska…

...Danuta Wałęsa.

JO: Ona jest akurat przykładem żony opozycjonisty, ale też przez to uczestniczki ruchu.

To chyba przykład na wychodzenie kobiet z cienia – o ile bowiem o wymienionych kobietach można powiedzieć, że mają znaczący dorobek opozycyjny, o tyle o żonie przewodniczącego Solidarności trudniej byłoby to powiedzieć, a jej rola wszak jest znacząca.

JO: Pamiętajmy, że to ona odebrała Nagrodę Nobla w imieniu Lecha Wałęsy. Podobnie jest z przykładem Kuroniów. Wpraw-

dzie oboje działali, ale stopień zaangażowania Jacka Kuronia był nieporównywalnie większy niż jego żony Gajki. Dla niego polityka była całym życiem, dla niej – to, co robił mąż, miało znaczenie, ale najważniejsze było to, żeby miejsce, w którym mieszkali, choć trochę przypominało dom.

Metoda badań, którą zastosowali autorzy artykułów zawartych w *Płci buntu*, budzi skrajne emocje. Czym są *gender studies* i czego o przeszłości można się dowiedzieć, używając tej kategorii?

NJ: *Gender studies* są kierunkiem uniwersyteckim, który oznacza interdyscyplinarne (historyczne, antropologiczne, socjologiczne, literaturoznawcze) studia nad płcią kulturowo-społeczną. Zajmują się postrzeganiem ról kobiet i mężczyzn, tym, jak ich zmieniające się definicje wpływają na kształt społeczeństw, na relacje władzy, na dyskryminację – ale nie tylko, bo stereotyp płciowy nie zawsze prowadzi do dyskryminacji, czasem jest odwrotnie. *Gender*, płeć kulturowa, to zestaw przypisywanych przez społeczeństwo w danym okresie i kulturze kobietom i mężczyznom cech, zachowań (np. „chłopaki nie płaczą"), ról społecznych (mężczyzna ma zarabiać, a kobieta ma zajmować się dziećmi). *Gender studies* badają to w różnych naukach, a w historii m.in. to, jak zmienia się bądź trwa w czasie. (W PRL model „tradycyjny" – mężczyzny-żywiciela i kobiety-opiekunki domu – trwał). I jaki był wpływ tego stanu rzeczy na rzeczywistość. Kolejna badana sfera to tożsamość: jak ludzie się identyfikują ze swoimi rolami płciowymi, z obowiązującymi wzorcami. Wspominaliśmy o kobietach, które nie uważały się za działaczki, lecz były dumne ze swojej roli żony i matki. Nie wszyscy autorzy w *Płci buntu* korzystają z pojęcia płci kulturowej, niektórzy wręcz bronią się przed jego zastosowaniem. Co nie znaczy, że nie można z ich badań wyciągnąć wniosków, które później można wykorzystać w *gender studies*.

JO: Dla mnie jako badacza Solidarności płeć kulturowa jest kolejną kategorią, za której pomocą analizuję uwarunkowania poszczególnych działaczy czy grup osób zaangażowanych w ruch opozycyjny. Od dawna obecna jest w polskiej historiografii dotyczącej opozycji w PRL kwestia wieku opozycjonistów. Rozważa się, jaką rolę w tej działalności odgrywał ich wiek, wzajemne postrzeganie się ludzi z różnych pokoleń. Tu też wchodzą w grę stereotypy: że młody to niedoświadczony i nierozsądny, a stary to umiarkowany i nic mu się już nie chce. Podobnie w spojrzeniu na Solidarność możemy wykorzystać kategorie płci i płci kulturowej: jakie z nimi wiązały się uwarunkowania, jakie były relacje kobiet i mężczyzn, jak wzajemnie się postrzegali podczas pracy w opozycji. Takie narzędzie było dla mnie bardzo użyteczne i otworzyło mi oczy na pewne sfery w działalności opozycyjnej, pomogło dostrzec np. to, że żona opozycjonisty też jest bohaterką historii – niepierwszoplanową, ale ważną dla zrozumienia wydarzeń. Wykorzystanie kategorii *gender* pozwala zrozumieć, dlaczego kobiety zajmowały takie, a nie inne miejsce w ruchu opozycyjnym.

Uważam jednak, że obawy i wątpliwości wielu historyków odnośnie do *gender* nie są zupełnie nieuzasadnione. W tym nurcie bowiem, obok wielu cennych pozycji, są też książki, które zawierają ahistoryczne interpretacje wynikające nie z analizy źródeł, ale założeń ideologicznych. Moim zdaniem, nasza książka jest dowodem na to, że można inaczej, że stosowanie w nauce kategorii *gender* nie musi być związane z ideologią.

NJ: Jest to jednak w jakimś stopniu historiografia rewizjonistyczna, która stara się wybić nas z utartego schematu badania i opisywania historii oporu i opozycji tylko jako walki społeczeństwa z władzą. Przez wprowadzenie tej kategorii nagle odkrywamy nowe sfery rzeczywistości. Ale wciąż pozostajemy w kręgu sporów naukowych i nie ma to wiele wspólnego z *gender* jako kategorią używaną czasami do celów politycznych. Wykorzystujemy cały warsztat historyczny, opieramy się na analizie źródeł. Pod tym względem książka jest „konserwatywna".

JO: Jest rewizjonistyczna o tyle, że wprowadza nowe kategorie, natomiast nie wywraca do góry nogami dotychczasowej historiografii. Absolutnie nie chodzi o to, aby pokazać, że historia opozycji była kolejnym etapem odwiecznej „walki płci".

współpraca:
Karolina Wichowska

Fot. AIPN

Matki zatroskane o wyżywienie dzieci: marsz głodowy w Łodzi, 30 lipca 1981 roku

Wykonane w Starobielsku zdjęcia sygnalityczne Mieczysława Ewerta, Stanisława Kwolka i Józefa Rytla, przekazane polskiemu IPN przez Ukraiński Instytut Pamięci Narodowej

Fot. UINP

Święto Niepodległości za drutami

Sławomir Kalbarczyk

O Święcie Niepodległości Polacy pamiętali także w skrajnie ciężkich warunkach niewoli jenieckiej w Związku Sowieckim. W 1939 roku 11 Listopada obchodzono m.in. w obozie w Starobielsku.

Starobielsk, jak wynika z opisów tej miejscowości sporządzonych przez jeńców, był typowo sowiecką, czyli brudną, biedną i zaniedbaną mieściną, położoną na Ukrainie (w odległości około 250 km na południowy wschód od Charkowa). Był też pierwszym obozem utworzonym przez władze sowieckie dla polskich oficerów wziętych do niewoli przez Armię Czerwoną po agresji 17 września 1939 roku. W końcu listopada (po odesłaniu szeregowych) znajdowało się tam się blisko 4 tys. oficerów różnych stopni, w tym dziewięciu generałów (jeden z nich, Czesław Jarnuszkiewicz, w grudniu 1939 roku został wywieziony do Moskwy).

Jeńcy osadzeni w Starobielsku zostali pojmani do niewoli w różnych miejscach i okolicznościach, ale warto pamiętać, że blisko połowę „starobielszczan" stanowili obrońcy Lwowa. Zgodnie z umową kapitulacyjną mieli oni wolno opuścić miasto, którego tak bohatersko i skutecznie bronili. Zamiast tego po złożeniu broni zostali otoczeni przez czerwonoarmistów, a następnie wywiezieni transportem kolejowym do Starobielska; Sowieci bowiem od początku traktowali umowę jako podstęp i nic nieznaczący świstek papieru. Jeńcy niemal w połowie byli oficerami rezerwy; nie brakowało wśród nich lekarzy, inżynierów, prawników, dziennikarzy, nauczycieli i pracowników nauki.

Obóz urządzono na terenie byłego klasztoru. Generałów i pułkowników umieszczono osobno – w dwóch budynkach. Pozostałych jeńców ulokowano w przylegającym do cerkwi pomieszczeniu, znajdującym się na terenie obozu. Komendantem tej wielkiej sali, co zapamiętał jeden z najbardziej znanych jeńców Starobielska, malarz Józef Czapski, został „cichy, chory na płuca por. [Stanisław] Kwolek, wysoki, bardzo chudy, o łagodnym za okularami spojrzeniu i ciemnej brodzie". Po ukończeniu Politechniki Lwowskiej w 1928 roku Kwolek przez dziesięć lat pracował w lwowskim urzędzie wojewódzkim. Wyłączony z życia zawodowego przez gruźlicę, leczył się

we Lwowie, potem brał udział w obronie miasta przed wojskami niemieckimi, tu też, we wrześniu 1939 roku, dostał się do niewoli sowieckiej.

Przeciw upadkowi ducha

Klęska wojenna, oderwanie od domów i rodzin, trudne, obozowe warunki, wpływały na wielu jeńców przygnębiająco. „Cały ten tłum – wspominał Czapski – nurtowała rozpacz i dławiło upokorzenie. Każdy z początku czuł się samotny i zamknięty w swoim bólu". Stan ten okazał się przejściowy. Jeńcy szybko otrząsnęli się z ponurych rozmyślań i zaczęli się organizować. Powstały kółka odczytowe, a jednym z pierwszych, którzy zaczęli wygłaszać referaty, był kapitan piechoty rezerwy Mieczysław Ewert. W latach 1926–1932 Ewert był był redaktorem gazety „Polska Zbrojna", nieoficjalnego organu Ministerstwa Spraw Wojskowych; potem pracował jako nauczyciel w jednym z warszawskich gimnazjów. „Wykłady jego – pisał Czapski – przesiąknięte gorącym optymizmem, zbierały wielu słuchaczy". Konkretniej o treści wykładów Ewerta mówią materiały śledcze NKWD. Wynika z nich, że kapitan nazywał Związek Sowiecki „więzieniem narodów", wzywał, by nie zważając na niewolę, dotrzymać wierności narodowi, a także do walki o Polskę, która „nie zginęła i nie zginie" – do ostatniej kropli krwi.

Swego rodzaju zwieńczeniem tego typu działań było powołanie 22 października 1939 roku przez jeńców Komisji Kulturalno-Oświatowej. Stawiała sobie ona za cel podtrzymywanie żołnierskiego morale oraz organizowanie i kierowanie życiem duchowym jeńców w obozie. Na przewodniczącego komisji wybrano znanego działacza Obozu Zjednoczenia Narodowego ze Lwowa – mjr. Ludwika Domonia. Sekretarzem komisji – pierwszym, bo był jeszcze drugi – został kpt. Józef Rytel. Z wykształcenia inżynier agronom, uczestniczył w wojnie 1920 roku. Potem przez kilkanaście lat służył zawodowo w wojsku, następnie – aż do mobilizacji – pracował jako urzędnik w banku. W skład komisji wchodziło osiem referatów: kursów, propagandowo-prasowy, odczytów i pogadanek, teatrów, chórów i orkiestr, sportowy, sanitarny, biblioteczny i gospodarczy. Kierownictwo drugiego z wymienionych referatów objął kpt. Ewert.

W specjalnym okólniku, wydanym z okazji swego powstania, komisja wzywała jeńców do współpracy „w duchu podniesienia naszego samopoczucia wewnętrznego, tudzież zwartości narodowej, żołnierskiej i koleżeńskiej". Temu celowi miał też służyć apel, by jeńcy wstrzymali się od wszelkich dyskusji politycznych i przesadnej krytyki ostatnich wydarzeń, a także doprowadzili w miarę możności swój wygląd do porządku; zalecano np. naszyć białymi nićmi na ubranie dystynkcje oficerskie.

Wkrótce komisji udało się nawiązać kontakt z przetrzymywanymi poza obozem pułkownikami. Opracowali oni i przesłali komisji wytyczne, zatytułowane *Stanowisko obowiązujące żołnierzy polskich w niewoli*. Była to deklaracja żołnierskiej i obywatelskiej wierności Rzeczypospolitej, jej władzom i prawom. „Jesteśmy nadal obywatelami i żołnierzami polskimi i jako takich obowiązują nas nadal wszystkie przepisy regulaminów i ustaw polskich. Nie możemy przyjmować żadnych ofert odnośnie [do] funkcji

Fot. Aleksander Zaleski

Pudełko wykonane przez jednego z jeńców z niedokończoną datą końcową pobytu w obozie

Fot. AIPN

Żołnierze polscy w sowieckiej niewoli, 1939 rok

czy posad w ramach innego państwa czy pod komendą niepolskich władz" – głosił punkt pierwszy owego dokumentu. Równie jednoznacznie wszelkie możliwe wątpliwości rozstrzygał punkt drugi: „Jeżeli postawi ktokolwiek sprawę tak, że nie ma Polski, nie ma polskich władz, nasza odpowiedź brzmi: obowiązuje nas, żołnierzy polskich, przysięga, a dotąd nas z niej polskie władze nie zwolniły". Dalej stwierdzano, że przyjmowanie obcego obywatelstwa jest sprzeczne z obowiązkami żołnierza polskiego. Przypominano, że władze sowieckie internowały polskich żołnierzy. Jeńcy – wskazywano – winni odnosić się do Sowietów z chłodną uprzejmością, a ich polecenia wykonywać pod przymusem.

Obchody Święta Niepodległości

Jednym z przedsięwzięć, które miały służyć realizacji założonych przez komisję celów, było zorganizowanie Święta Niepodległości Polski, przypadającego 11 listopada.

Przygotowania do uroczystości rozpoczęły się dwa dni wcześniej, a prowadzili je głównie majorowie Domoń i Sobiesław Zaleski; wciągnięto w nie również por. Kwolka. Plan przewidywał modlitwę, po której Kwolek, jako komendant bloku, miał wygłosić przemówienie. Na koniec miał wystąpić chór.

Już od rana 11 listopada 1939 roku, a była to sobota, w obozie szykowano się do Święta Niepodległości. Obozowa starszyzna, zwana przez młodszych oficerów „seniorami" (generałowie i pułkownicy), przesyłała tajne instrukcje, w których dobitnie podkreślano, że bez względu na wszelkie zakazy Święto Niepodległości musi być obchodzone. Jeńcy mieli powstrzymywać się od pracy, wygłaszać okolicznościowe przemówienia i odśpiewać hymn narodowy. Najwyżsi stopniem oficerowie wzywali do solidarnej, niezłomnej postawy, tylko ona bowiem mogła odsunąć groźbę ewentualnych represji.

O dalszym przebiegu wydarzeń traktuje notatka komendanta obozu, kapitana bezpieczeństwa państwowego Aleksandra Bieriežkowa, który w pierwszych dniach grudnia 1939 roku raportował do Moskwy: „W dniu polskiego święta ogólnonarodowego miała miejsce próba zorganizowania na terenie obozu nabożeństwa. Siłami aparatu part[yjnego] do próby tej nie dopuszczono, jednakże w jednym z bloków odbyło się nabożeństwo trwające 15 minut, po upływie których nabożeństwo przerwano. Były próby zawieszania krzyży i ikon w pomieszczeniach; fakty takie zostały przez nas kategorycznie zabronione".

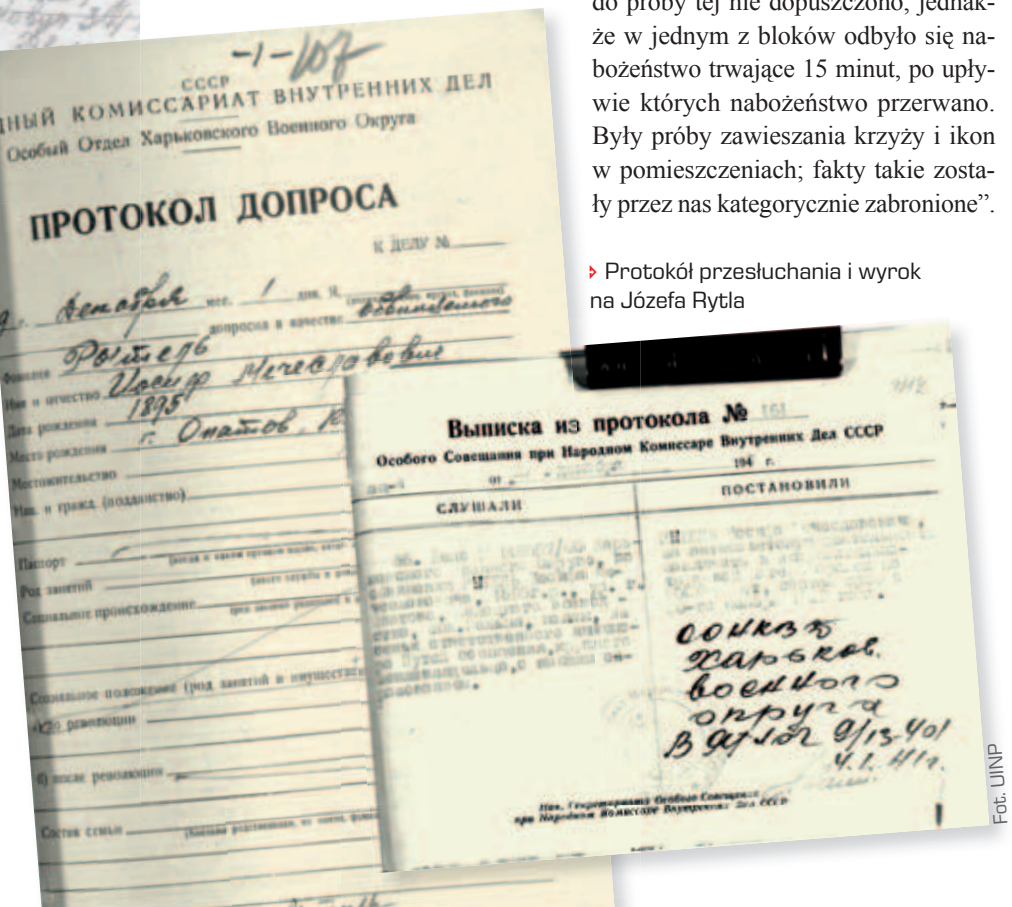

Протокół przesłuchania i wyrok na Józefa Rytla

Fot. UINP

Bardzo to lakoniczne, nie do końca logiczne („do próby tej nie dopuszczono, jednakże…") i w znacznej mierze nieprawdziwe. Zapewne komendant bagatelizował sprawę, żeby nie narazić się wszechwładnej centrali za dopuszczenie do czegoś więcej niż „próba" zorganizowania nabożeństwa. „Zapomniał" bowiem napisać, że tego dnia żaden jeniec nie podjął pracy. I że obchody Święta Niepodległosci odbywały się we wszystkich pomieszczeniach obozu. Z największym rozmachem świętowano w głównym pomieszczeniu, nazywanym przez jeńców „cyrkiem" lub „Szanghajem". Uroczystość przygotował por. Kwolek, m.in. wieszając w widocznym miejscu zbity z ciemnych desek duży krzyż.

Obchody rozpoczęła msza, odprawiana przez starszego kapelana, ks. Antoniego Aleksandrowicza. Odczytał on fragment Ewangelii mówiący o wskrzeszeniu przez Chrystysa dwunastolatki uznanej przez rodzinę za zmarłą. Wszyscy jeńcy natychmiast pojęli, że w ten aluzyjny sposób kapłan mówi im, by nie upadali na duchu – bo także Polska, jak owa powstała z martwych dziewczynka, zmartwychwstanie – i zareagowali na to silnym wzruszeniem. Następnie z przemówieniem wystąpił por. Kwolek. Mówił, że Polska pokona swych odwiecznych wrogów i będzie taka, jak była. Zadaniem jeńców w obozie jest zjednoczenie wszystkich klas dla narodowego wyzwolenia. Po przemówieniu jeńcy odśpiewali hymn narodowy i inne pieśni patriotyczne. Na koniec deklamowali wiersze. Recytowano *Koncert Jankiela* z *Pana Tadeusza* Adama Mickiewicza i niektóre wiersze narodowego wieszcza, wiersz Artura Oppmana (Or-Ota) *List z Sybiru*, a także *Karmazynowy poemat* Jana Lechonia.

Wstrząsające wrażenie na jeńcach wywarł zwłaszcza wiersz Oppmana jako najbardziej przystający do ich własnej sytuacji. Przypomnijmy, że wiersz ów pisany był w formie listu zesłanego na Sybir Polaka do matki i wyrażał ból z powodu oderwania od kraju i bliskich. Zawierał m.in. taki *passus*:

„Ach, Mamo! Jak mi tęskno! A śnię, co noc prawie,

Żem w kraju: nasz pokoik widzę jak na jawie".

Z kolei opublikowany w 1920 roku *Karmazynowy poemat* (w istocie zbiorek siedmiu wierszy napisanych w latach I wojny światowej) Lechonia był utworem wielowymiarowym, ale pojawił się w nim także wątek nadziei na powstanie niepodległej Polski (np. jeden z utworów, *Polonez artyleryjski*, nawiązywał do bitwy Legionów Piłsudskiego z wojskami rosyjskimi pod Kostiuchnówką).

Święto Niepodległości Czapski nazwał „pierwszym zbiorowym zrywem patriotycznym i moralnym" jeńców Starobielska. Pomogło ono w skonsolidowaniu się polskich żołnierzy i podniosło ich nastroje.

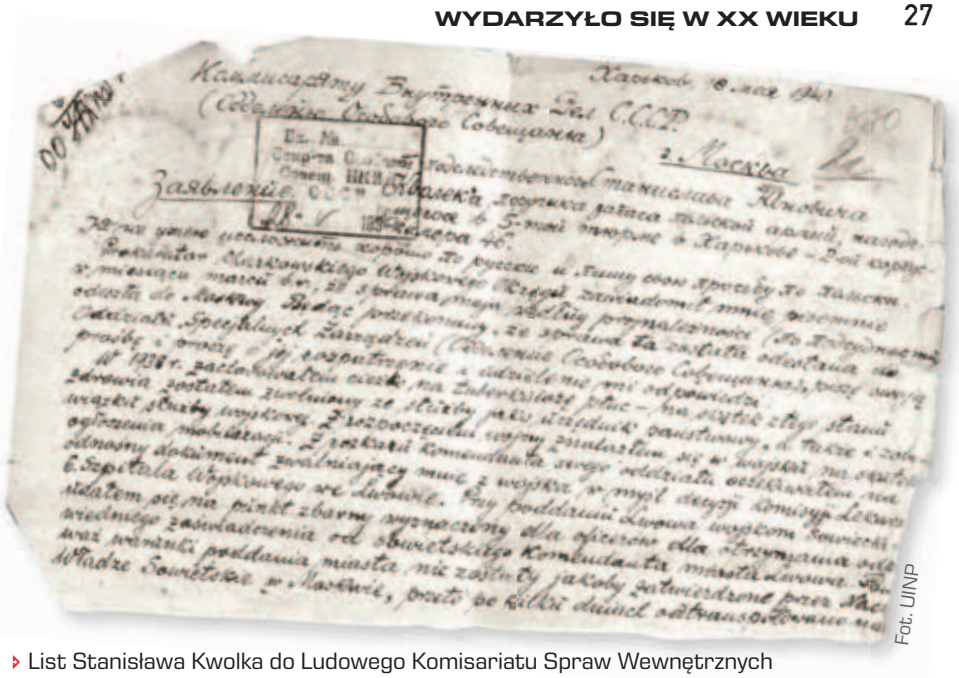

Fot. UINP

List Stanisława Kwolka do Ludowego Komisariatu Spraw Wewnętrznych z prośbą o przyspieszenie rozpatrzenia jego sprawy

Kara i „ślepy los"

Już w listopadzie 1939 roku władze obozowe wpadły na trop istnienia komisji i z miejsca uznały ją za organizację, która pod pozorem działalności kulturalno-oświatowej prowadzi wśród jeńców akcję o charakterze antysowieckim. Zmierzała ona – diagnozowano – do stworzenia z oficerów jednego „bloku", którego zadaniem miała być walka o odbudowanie państwa polskiego. Za organizatorów komisji uznano Ewerta, Kwolka oraz Domonia. Choć znano pełen jej skład, w trakcie przeprowadzonej rewizji odnaleziono bowiem listę członków, zdecydowano się aresztować trzy osoby: Ewerta, Rytla i Kwolka. W obozie nie trzymano ich długo: już w drugiej połowie listopada zapadła decyzja, by przenieść ich do więzienia wewnętrznego w Charkowie. Uzasadnienie było kuriozalne: obawa, że mogą oni próbować uchylić się od śledztwa i sądu! Jednocześnie przygotowywano akty oskarżenia, przy czym tylko w akcie oskarżenia Kwolka został uwzględniony wątek jego udziału w listopadowej uroczystości. W grudniu 1939 roku NKWD postanowił oskarżyć aresztowanych o udział w organizacji kontrrewolucyjnej i prowadzenie działalności antysowieckiej.

W drugiej połowie lutego 1940 roku materiały śledcze przesłano do Moskwy, gdzie miała je rozpatrzyć i na ich podstawie wydać wyrok Narada Specjalna przy NKWD. Trzeba przyznać, że sprawy mogły potoczyć się gorzej. Narada, będąca pewnego rodzaju pseudosądem (wyroki zapadały w trybie zaocznym), nie mogła bowiem wydawać wyroków śmierci; oskażony groziło maksimum 8 lat obozów pracy przymusowej. W tym samym niemal czasie towarzyszy aresztowanej trójki ze Starobielska spotkał tragiczny los: 5 marca 1940 roku sowieckie Politbiuro podjęło decyzję o ich rozstrzelaniu. Została ona wykonana wiosną tego samego roku, i to tam, gdzie przetrzymywano Ewerta, Rytla i Kwolka – w więzieniu wewnętrznym NKWD w Charkowie. W maju 1940 roku ich materiały śledcze odesłano z Moskwy do Kijowa – do dyspozycji Iwana Sierowa, Ludowego Komisarza Spraw Wewnętrznych Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej. Jednocześnie zapadła decyzja, by więźniów przenieść do kijowskiego więzienia, po to, by również ich samych Sierow miał pod ręką. W grudniu 1940 roku Ewert, Rytel i Kwolek „doczekali się" wreszcie wyroków Narady Specjalnej, zgodnie z którymi mieli spędzić po 8 lat w obozach pracy poprawczej.

Groźni z punktu widzenia władz sowieckich i z tego tytułu pociągnięci do odpowiedzialności karnej „kontrrewolucjoniści" zatem ocaleli – zdumiewający to i trudny do zrozumienia paradoks. Gdyby nie to, że weszli w konflikt z sowieckim „prawem", zapewne podzieliliby los swych zamordowanych na podstawie politycznej decyzji współtowarzyszy niewoli. Ocaleli, choć z jednym wyjątkiem – pobytu w łagrze sowieckim nie przetrwał ciężko chory na gruźlicę Kwolek. Już z więzienia w Charkowie w specjalnym liście alarmował Moskwę, że jego stan zdrowia jest zły. Prosił o przyspieszenie rozpatrzenia jego sprawy, licząc naiwnie, że zostanie zwolniony – przecież, jak pisał, jego wina jest niewielka.

Dwaj jego wysłani do łagrów koledzy mieli więcej szczęścia. W czerwcu 1941 roku rozpadł się sojusz sowiecko-niemiecki, a w lipcu Związek Sowiecki zawarł sojuszniczy układ z rządem polskim, w wyniku którego obywateli polskich przetrzymywanych w obozach objęła „amnestia". Ewert i Rytel dotrwali do niej i już po raz drugi wyszli poza obozowe druty. Tym razem na wolność.

Habent sua fata libelli – książki mają swoje losy – powiada przysłowie. Chciałoby się dopowiedzieć – a co dopiero ludzie.

dr Sławomir Kalbarczyk – historyk, naczelnik Wydziału Badań Naukowych BEP IPN, m.in. redaktor naukowy tomu *Zbrodnia katyńska: w kręgu prawdy i kłamstwa* (2010)

Tekst powstał m.in. na podstawie dokumentów przekazanych przez Ukraiński Instytut Pamięci Narodowej

Spitfire'em do Polski

Wojtek Matusiak

Fot. ze zbiorów Petera Arnolda

23 czerwca 2014 roku polski pilot przyleciał do kraju za sterami samolotu Spitfire, kończąc w ten symboliczny sposób historię polskich dywizjonów biorących udział w Bitwie o Anglię.

Supermarine Spitfire to jedna z najbardziej znanych konstrukcji lotniczych w historii. W Wielkiej Brytanii, ale nie tylko tam, samolot ten ma status prawdziwie kultowy. Również w Polsce cieszy się ogromnym zainteresowaniem miłośników lotnictwa, ale nawet oni często nie zdają sobie sprawy z wyjątkowej roli tego myśliwca w naszej historii.

W latach 1941–1946 przez dywizjony Polskich Sił Powietrznych na Zachodzie przewinęło się ponad półtora tysiąca samolotów Spitfire różnych wersji. Oznacza to, że był najliczniej używanym typem samolotu w historii polskiego lotnictwa, a także to, że PSP były największym użytkownikiem tych maszyn poza Royal Air Force (RAF)!

Polacy za sterami spitfire'ów

Pierwsze loty Polaków na spitfire'ach odbywały się już przed wojną. Po raz pierwszy czterej polscy piloci doświadczalni – ppłk Jerzy Bajan, mjr Bolesław Orliński, kpt. Roland Kalpas i kpt. Andrzej Włodarkiewicz – mieli okazję zasiąść za sterami tych samolotów w lipcu 1939 roku. Było to związane z polsko-brytyjskimi pertraktacjami w sprawie zakupu nowego sprzętu dla naszych sił zbrojnych w przededniu spodziewanej wojny z Niemcami. Najprawdopodobniej pilotowali samolot nr K9791, jeden z pierwszych seryjnych egzemplarzy Spitfire'a. (Dziwnym zrządzeniem losu właśnie ten samolot został zestrzelony w sierpniu 1940 roku i trafił na wystawę zdobycznego sprzętu alianckiego, urządzoną przez Niemców na krakowskim rynku latem 1942 roku. Tym samym był to zapewne pierwszy spitfire, który znalazł się na polskiej ziemi!).

Fot. ze zbiorów autora

Wśród myśliwców pożądanych przez Polskę u progu wojny na pierwszym miejscu był właśnie Spitfire. Jednak w tamtym czasie Brytyjczycy sami cierpieli na ich niedobór, więc po trudnych negocjacjach zgodzili się ostatecznie sprzedać Polsce jeden egzemplarz do celów doświadczalnych. Został on wyekspediowany drogą morską we wrześniu 1939 roku, ale z oczywistych powodów nie zdążył dotrzeć do miejsca przeznaczenia. Ostatecznie trafił do Turcji.

Polscy piloci następną okazję do pilotowania spitfire'ów mieli dopiero rok później, podczas Bitwy o Anglię. W czasie tej batalii – stoczonej pod niebem Wielkiej Brytanii, nad Morzem Północnym i kanałem La Manche od lipca do października 1940 roku – polskie dywizjony 302 i 303 latały na nieco gorszych myśliwcach Hawker Hurricane. Natomiast kilkunastu polskich pilotów przydzielono do jednostek RAF wyposażonych w spitfire'y.

Spitfire'y Polskich Sił Powietrznych

Z początkiem 1941 roku w samoloty tego typu zaczęto wyposażać polskie dywizjony myśliwskie, które stały się pierwszymi niebrytyjskimi użytkownikami spitfire'ów. Trzeba tu podkreślić, że – wbrew rozpowszechnionemu błędnemu mniemaniu – przez cały okres bojowego użytkowania spitfire'ów Polskie Siły Powietrzne miały status niezależnej formacji wojskowej Rzeczypospolitej Polskiej, a nie były częścią RAF. Oczywiście pod względem logistycznym i operacyjnym polskie jednostki były zintegrowane z systemem wojsk sojuszniczych, podobnie jak to ma miejsce obecnie podczas międzynarodowych operacji wojskowych.

Do końca 1941 roku wszystkie polskie dywizjony myśliwskie: 302 „Poznański", 303 „Warszawski" im. Tadeusza Kościuszki, 306 „Toruński", 308 „Krakowski", 315 „Dęblíński", 316 „Warszawski" i 317 „Wileński" były już wyposażone w spitfire'y. Przez następne trzy lata całe polskie lotnictwo myśliwskie w Wielkiej Brytanii używało tych samolotów w kolejnych wersjach rozwojowych: Mk II, V i IX. W latach 1944–1945 dywizjony 303, 306, 315 i 316 przezbrojono w inne samoloty, natomiast 302, 308 i 317 korzystały ze spitfire'ów aż do gorzkiego końca istnienia polskiego lotnictwa na Zachodzie.

W 1943 roku przez kilka miesięcy właśnie na spitfire'ach odnosił sukcesy w Afryce Północnej tzw. „Cyrk Skalskiego" – polska eskadra przydzielona do 145 Dywizjonu RAF. W 1944 roku w samoloty tego typu wyposażono jeszcze jedną polską jednostkę: 318 Dywizjon Myśliwsko-Rozpoznawczy „Gdański", walczący na froncie włoskim.

Gorzki koniec

Przez całą wojnę Polacy walczyli z nadzieją na powrót do wolnej ojczyzny. Lotnicy wierzyli, że w swoich samolotach wylądują w kraju, jak przystało zwycięzcom. Nadziejom tym nie dane było się spełnić. Co prawda, jesienią 1945 roku przyleciały do Warszawy dwa spitfire'y z polskich dywizjonów (302 i 317), które następnie

Fot. ze zbiorów autora

trafiły jako eksponaty do Muzeum Wojska Polskiego, ale w tym ostatnim locie za ich sterami zasiadali Brytyjczycy, ponieważ lotnikom w czynnej służbie w Polskich Sił Powietrznych w Wielkiej Brytanii nie było wolno znaleźć się na polskiej ziemi kontrolowanej przez komunistów.

Polskie dywizjony lotnicze w Wielkiej Brytanii zostały ostatecznie rozformowane na przełomie 1946 i 1947 roku. Wielu lotników pozostało na obczyźnie, mniej liczni wrócili do kraju, gdzie z punktu widzenia ówczesnych władz nie byli bohaterami godnymi chwały, tylko podejrzanymi osobnikami, których wojenne czyny i osiągnięcia nie były „politycznie

Fot. Krzysztof Chaloniewski

Fot. ze zbiorów autora

Mechanicy Dywizjonu 303 podczas Bitwy o Anglię; w dolnym rzędzie pierwszy z prawej st. szer. Ryszard Kwiatkowski, dziadek Jacka Mainki; jesień 1940 roku

poprawne". Wielu z tych, którzy wrócili, zostało aresztowanych i poddanych bestialskim metodom śledczym, najczęściej pod absurdalnymi zarzutami. Wśród skazanych na śmierć nie zabrakło pilotów spitfire'ów. Najsławniejszy z nich, Stanisław Skalski, został ostatecznie ułaskawiony, ale dwóch innych: Władysław Śliwiński i Wacław Korwel zostało zamordowanych w majestacie komunistycznego prawa. Również spitfire'y w Muzeum Wojska Polskiego nie były mile widziane przez komunistów, więc zniszczono je na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych w ramach ogólnego zacierania wszelkich śladów polskiego czynu zbrojnego na Zachodzie.

Po zakończeniu wojny spore grono polskich lotników nadal latało na spitfire'ach – byli to piloci, którzy przyjąwszy brytyjskie paszporty, zaciągnęli się do służby w RAF. Nie da się wykluczyć, że kilku z nich mogło w tym czasie zawitać nad Polskę. Stacjonujący w brytyjskiej strefie okupacyjnej Niemiec (a okresowo również w Berlinie Zachodnim) 2 Dywizjon RAF był jednostką rozpoznawczą, wyposażoną w wersje spitfire'a przeznaczone do fotografowania powierzchni ziemi z ogromnych wysokości. Historycy podejrzewają, że samoloty tej jednostki (w której latało m.in. kilku polskich pilotów) brały udział w lotach szpiegowskich nad Europą Wschodnią. Czy tak było, dowiemy się w następnej dekadzie, bo brytyjskie dokumenty w tej sprawie są objęte siedemdziesięciopięcioletnią klauzulą tajności.

Latające zabytki

Chociaż spitfire'y dawno już wycofano z użycia wojskowego, to liczba sprawnych egzemplarzy nie tylko nie maleje, ale wręcz rośnie. Samolot ten jest jedną z legend światowego lotnictwa i dlatego nie brakuje bogatych kolekcjonerów, gotowych wyłożyć równowartość kilkunastu milionów złotych, aby mieć taki samolot do dyspozycji. Z tego powodu na Wyspach Brytyjskich, a także np. w Nowej Zelandii nie brak firm wyspecjalizowanych w rekonstrukcji i obsłudze samolotów tego typu. W rezultacie spitfire'y są właściwie codziennym widokiem na pokazach lotniczych w Anglii czy Szkocji; dość często można je też zobaczyć na zlotach zabytkowych samolotów we Francji i innych krajach Europy Zachodniej.

Inaczej w naszej części kontynentu. Przylot spitfire'a na pokazy do Polski jest wyzwaniem nie tyle technicznym, ile organizacyjno-finansowym. Wyku-

Fot. Adam Ginalski/za „Orlik"

Zespół Akrobacyjny „Orlik" Sił Powietrznych RP

pienie odpowiedniego (kosztownego!) ubezpieczenia i zapewnienie właściwego zaplecza technicznego na czas pobytu w Polsce stanowią główne utrudnienie. Również paliwo – nie tyle to zużywane w trakcie pokazu przed publicznością, ile to potrzebne na przelot np. z Wielkiej Brytanii do Polski – jest poważną pozycją w budżecie takiej imprezy.

Z tych właśnie względów spitfire'y zaledwie kilkakrotnie zagościły na pokazach lotniczych w naszym kraju. Po raz pierwszy miało to miejsce w sierpniu 1995 roku w Częstochowie, potem kilkakrotnie w podwarszawskiej Góraszce (ostatnio w 2010 roku), a także m.in. w Bydgoszczy, Mielcu i Dęblinie. Co ciekawe, choć spitfire'y kilkakrotnie lądowały na lotniskach w Warszawie (Okęcie, Babice) i okolicach (Góraszka, Konstancin-Obory, Modlin), to nigdy jeszcze nie dawały pokazów nad stolicą.

Dziecięce marzenia...

Jak dotąd żaden z najbogatszych Polaków nie sprawił sobie takiego samolotu. Ale jak mówi stare porzekadło (dotyczące co prawda nieco innego obszaru męskich zainteresowań), nie trzeba kupować browaru, żeby napić się piwa. Tą właśnie drogą poszedł pierwszy pilot spitfire'a III RP – Jacek Mainka, wnuk nieżyjącego już Ryszarda Kwiatkowskiego (mechanika w 1. Pułku Lotniczym w Warszawie, który z eskadrą tego pułku wyruszył do walki we wrześniu 1939 roku, potem przez Rumunię dotarł do Francji, a stamtąd do Wielkiej Brytanii i był mechanikiem w Dywizjonie 303 podczas Bitwy o Anglię, a później w 308 Dywizjonie „Krakowskim").

W chłopięcych latach Mainka nierzadko towarzyszył dziadkowi podczas spotkań z jego kolegami – weteranami lotnictwa. Jako kilkulatek poznał m.in. wybitnych pilotów myśliwskich PSP: Stefana Witorzeńcia, Jana Zumbacha, Stanisława Skalskiego, Tadeusza Sawicza i Eugeniusza Szaposznikowa. I właśnie wobec nich złożył solenną obietnicę, że „jak dorośnie, to też będzie latał spitfire'em". Były to czasy głębokiego peerelu, więc możemy sobie wyobrazić, co starsi panowie pomyśleli o tej deklaracji.

Fot. ze zbiorów autora

Upadł system komunistyczny, a wraz z nim żelazna kurtyna. Mały Jacek wyrósł na inżyniera lotniczego i doświadczonego kapitana samolotów pasażerskich. W tej sytuacji owa deklaracja kilkuletniego chłopca przestała być nierealna – stała się trudnym, ale możliwym do spełnienia wyzwaniem. Mainka nauczył się pilotażu i obsługi samolotów z bardzo odległej epoki. Wszedł w elitarne środowisko właścicieli i pilotów latających zabytków. W tym gronie ważne jest nie tyle jego kilkanaście tysięcy godzin wylatanych na boeingach i airbusach, ile kilkaset godzin na tiger mothach, austerach i podobnych samolotach z okresu II wojny światowej. W ostatnich latach udało mu się też trochę polatać dwumiejscowym spitfire'em – zawsze pod czujnym okiem bardzo doświadczonych pilotów.

...spełniają się, choć wymaga to wysiłku!

I wreszcie stało się: 26 października 2013 roku Jacek Mainka po raz pierwszy samodzielnie wystartował za sterami jednomiejscowego myśliwskiego spitfire'a! Długa jest lista ludzi, którzy mu w tym pomogli, ale w tym kluczowym momencie najważniejszy był oczywiście właściciel tego konkretnego samolotu: Stephen Stead. Ten bynajmniej nie sztywny, zimny ani

flegmatyczny Anglik miał wystarczająco dużo zaufania do kwalifikacji Polaka, by powierzyć mu swoją najcenniejszą „zabawkę".

Osiem miesięcy później ten sam właściciel zgodził się na zrobienie kolejnego historycznego użytku ze swojego spitfire'a. 23 czerwca 2014 roku Mainka jako pierwszy Polak w historii wylądował spitfire'em na polskim lotnisku. Cztery dni później, podczas przelotu do Lublina, leciał w wyjątkowym szyku – towarzyszył mu Zespół Akrobacyjny „Orlik" Sił Powietrznych RP.

Fot. Wojtek Matusiak

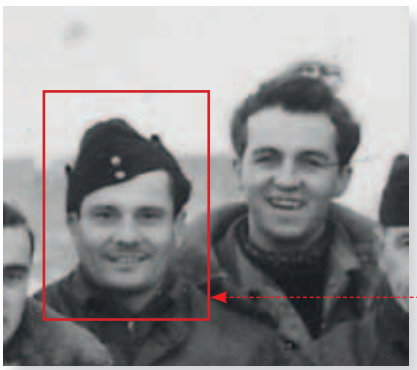

27 czerwca w siedzibie Muzeum Sił Powietrznych w Dęblinie doszło do wzruszającego wydarzenia. Przy samolocie Spitfire, noszącym na tę okazję oznaczenia 308 Dywizjonu Myśliwskiego „Krakowskiego", Jacek Mainka spotkał się z dziewięćdziesięciodwuletnim Jerzym Główczewskim, przybyłym z USA. Pan Jerzy był w latach 1944–1945 pilotem spitfire'a w Dywizjonie 308, a obsługą techniczną jego samolotu zajmował się Ryszard Kwiatkowski. Tak oto historia zatoczyła koło.

Fot. Wojtek Matusiak

Tego samego dnia Główczewski miał jeszcze jedną okazję do wzruszeń. Mainka przeleciał spitfire'em do Krakowa, na organizowany przez Muzeum Lotnictwa Polskiego piknik lotniczy. Wylądował na wojskowym lotnisku Balice, gdzie obecnie stacjonuje 8. Baza Lotnictwa Transportowego Sił Powietrznych RP. Gdyby historia potoczyła się dla Polski łaskawiej, samoloty 308 Dywizjonu „Krakowskiego" już w 1945 roku wylądowałyby na krakowskim lotnisku. Teraz, z sześćdziesięciodziewięcioletnim opóźnieniem, Jerzy Główczewski miał okazję stanąć do zdjęcia na krakowskim lotnisku obok „swojego" spitfire'a w towarzystwie dowódcy 8. Bazy i jej młodych pilotów – jego następców.

Wojtek Matusiak – historyk, autor wielu publikacji na temat historii Polskich Sił Powietrznych w czasie II wojny światowej

Fot. Wojtek Matusiak

Przemilczane gwałty

Andrea Pető

Fot. East News

Żołnierze Armii Czerwonej w zdobytym Budapeszcie, luty 1945 roku

Masowe gwałty dokonane pod koniec wojny na terenie Węgier przez żołnierzy Armii Czerwonej przyniosły trojakie konsekwencje: psychiczną traumę u zgwałconych kobiet, wzrost zachorowań na choroby weneryczne oraz ustanowienie prawa do darmowej aborcji. Wyjątkowy charakter tej kwestii oraz trwająca kilkadziesiąt lat zmowa milczenia sprawiły, że dopiero w ostatnich latach na Węgrzech zaczęto się żywiej interesować tematem sowieckiej przemocy seksualnej.

Okrucieństwa czerwonoarmistów względem węgierskiej ludności cywilnej długo stanowiły temat tabu. Po II wojnie światowej zachowało się niewiele źródeł bezpośrednich, dlatego konkretne wnioski można wysnuć jedynie dzięki źródłom pośrednim. Z różnych powodów milczeli: ofiary gwałtów oraz urzędnicy, policja i sprawcy. Brakuje dokumentów dotyczących sowieckich napaści lub są one bardzo niepewne. Aby porównać przypadki przemocy seksualnej, należałoby sięgnąć po pisane źródła wojskowe, medyczne, kryminalne, administracyjne i dyplomatyczne. Niestety, znajdujące się w Moskwie sowieckie materiały wojskowe i medyczne nie są udostępniane do badań. W ówczesnej dokumentacji węgierskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych można odnaleźć pochodzące z całego kraju skargi na prześladowania, które dotykały ludność cywilną. Sprawozdania węgierskiej administracji na poziomie krajowym wspominają o pojedynczych przypadkach, te jednak nie wystarczają do nakreślenia pełnego obrazu sytuacji. Na terenach, które w czasie wojny przechodziły z rąk do rąk, sympatycy narodowosocjalistycznej Partii Strzałokrzyżowców – która jesienią 1944 roku przejęła władzę dzięki poparciu III Rzeszy – donosili o szczególnym okrucieństwie stacjonujących tam wcześniej sowieckich oddziałów, chcąc tym samym zagrzać Węgrów do walki. Źródła te mają jednak znikomą wartość. Z podobną ostrożnością należy podchodzić do wyroków sądów ludowych po wojnie, które bardzo surowo karały wszystkich stawiających opór grabiącym i gwałcącym sowieckim żołnierzom. Znajdująca się w Archiwum m.st. Budapesztu dokumentacja inspektorów sanitarnych i szpitali także dostarcza bardzo niekompletnej wiedzy.

Między marcem a listopadem 1945 roku doszło w Niemczech do 1,9 mln gwałtów, z czego ok. 100 tys. popełniono w Berlinie między 24 kwietnia a 3 maja. Na Węgrzech liczbę gwałtów szacuje się na od 50 tys. aż do 200–800 tys.: badacze opierają te szacunki na wiarygodnych, jak się wydaje, choć niepełnych informacjach poradni chorób wenerycznych oraz inspektorów sanitarnych.

Historia nieopisana

Węgierska opinia publiczna ma świadomość tego, że żołnierze wojsk sowieckich dopuszczali się przemocy seksualnej: według powszechnych przypuszczeń liczba przypadków w Budapeszcie wynosiła ok. 100 tys., ale w literaturze

przedmiotu pojawiają się także wyższe liczby. Wiedza na temat gwałtów popełnionych przez czerwonoarmistów rozprzestrzeniała się głównie w rodzinnych opowieściach o losach innych kobiet, o ukrywaniu dziewcząt, przebieraniu ich za staruszki czy brudzeniu im twarzy (co niekiedy mogło uchronić je przed gwałtem). Kobiety, które zakładały męskie ubrania, ryzykowały jednak, że zostaną zatrzymane jako dezerterzy. Niektóre się chowały lub udawały chore: wstrzyknięty jod wywoływał objawy sugerujące kiłę, a zafarbowana na czerwono plwocina pomagała symulować gruźlicę. Symulowanie menstruacji czy świadome zaniedbanie i brud nie zawsze ratowały je przed napaścią. Połączeni w grupy sąsiedzi, krewni i znajomi – nie w każdy wypadku, choć często – potrafili ocalić kobiety. Jeśli zaś doszło już do gwałtu, znajdujący się w pobliżu bliscy mieli duży udział w natychmiastowym przepracowywaniu traumy. Zbrojny opór kusił swoją natychmiastowością i skutecznością, lecz był najbardziej ryzykowny. Sowieckie sądy wojskowe nie uznawały obrony osobistej przy użyciu broni – osobę, która w ten sposób próbowała się ustrzec przed gwałtem, bez oglądania się na cokolwiek rozstrzeliwano na miejscu lub skazywano na 30 lat więzienia. Węgierskie sądy ludowe karały obronę osobistą równie surowo.

Literatura i film także poruszały kwestię przemocy seksualnej. Alaine Polcz opisuje własne doświadczenia w książce pt. *Asszony a fronton* (*Kobieta na froncie*, 1991), dostępnej również w języku angielskim, a w przypadku literatury pięknej na uwagę zasługuje *A cinkos* (*Wspólnik*, 1982) autorstwa Györgya Konráda. Obie książki konfrontują świadectwo osobistych przeżyć z „oficjalną" historią, podobnie zresztą jak film Sándora Sáry pt. *A vád* (*Oskarżenie*, 1996). Z nowszych dzieł – powieść dokumentalna Judit Kováts *Megtagadva* (*Zaprzeczenie*, 2012) i film *Elhallgatott gyalázat* (*Przemilczana hańba*, 2013) Fruzsiny Skrabski uczyniły z tej ciemnej karty historii przedmiot publicznego dyskursu, co umożliwiło wgląd w pamięć werbalną, dotychczas pomijaną milczeniem.

Z braku źródeł pisanych to *oral history* (historia mówiona) daje możliwość zbadania przemocy seksualnej żołnierzy sowieckich. W przypadku gwałtu ofiara musi być w stanie opowiedzieć, co jej się przydarzyło. Przy czym należy pamiętać, kto i z jakich powodów opowiada lub zataja swoją historię. Utrwalenie zniekształconej wielokrotnym przemilczaniem pamięci – która zmaga się z problemem niewypowiadalności i narzuconymi sposobami narracji – jest niezwykle ważne, ponieważ zamknięte w kobiecym ciele informacje są naszym jedynym źródłem wiedzy. Gwałt wpływa na sytuację kobiety w rodzinie i najbliższym otoczeniu, jeśli dowiedzieli się o nim inni. Nieprzypadkowo w filmie *Przemilczana hańba* wywiadu nie udzieliła żadna ofiara gwałtu, lecz tylko jego świadkowie. W sądzie kobieta musiałaby opowiedzieć o gwałcie jako o osobistym doświadczeniu, przypomnieć sobie to, co wydarzyło się naprawdę. Kiedy więc mówi o swoich przeżyciach, to najwyżej mężowi, lekarzowi, pielęgniarce, ewentualnie reżyserowi filmu dokumentalnego, lecz nigdy policjantowi czy śledczemu. Ofiary muszą przeżyć gwałt na nowo, ze swoich wspomnień stworzyć zrozumiałą dla świata zewnętrznego opowieść wyrażoną za pomocą stosownego słownictwa. Sowieckie gwałty nie zostały zdefiniowane w prawie ani nie zastosowano konsekwencji prawnych wobec ich sprawców. Przeciwnie – obraz winy i kary został wypaczony, ponieważ sądy ludowe skazywały nie gwałcicieli, lecz ofiary gwałtu, co zdeterminowało węgierskie myślenie o wojennej przemocy seksualnej.

Zwiększone zapotrzebowanie w Budapeszcie na aborcję przeprowadzaną w warunkach szpitalnych, czyli mniej ryzykowną dla zdrowia, jest niewątpliwym następstwem fali sowieckich gwałtów. (Z braku wiarygodnych danych, musimy oprzeć się na analogicznej sytuacji w Berlinie. Według wyników tamtejszych badań, aż 20 proc. zgwałconych kobiet zaszło w ciążę). W rezultacie w 1945 roku na Węgrzech po raz pierwszy w historii umożliwiono kobietom skorzystanie z bezpłatnej i legalnej aborcji, co w istotny sposób zmieniło praktyki regulacji narodzin na Węgrzech.

Komitet Narodowy w Budapeszcie zawiesił 14 lutego 1945 roku przepis węgierskiego Kodeksu karnego zakazujący spędzanie płodu i zobowiązał lekarzy do wykonywania bezpłatnej aborcji, choć wyłącznie w placówkach służby zdrowia i tylko u kobiet, które uzyskają stosowne pozwolenia. Zawieszenie miało obowiązywać jedynie przez cztery miesiące, stało się jednak inaczej. Rozporządzenie z 1945 roku stworzyło precedens, który unieważniał pochodzący z 1878 roku zakaz przerywania ciąży, jak również próbujące go obejść praktyki służące regulacji narodzin. Na podstawie rejestrów (prowadzonych przez głównych inspektorów sanitarnych) wykonywano aborcję, która była ogólnodostępna i darmowa, co zasadniczo zmieniało stosunek Węgierek do tych kwestii.

Dlaczego gwałcili?

Przemocy seksualnej nie motywuje popęd seksualny. Nie tylko ofiary, lecz także co trzeci skazany na więzienie gwałciciel, przyznają się do dysfunk-

Luty 1945 roku, powrót cywilów do Budapesztu: znowu w domu, ale czy bezpiecznym?

cji seksualnych, zatem gwałt nie wiąże się z przyjemnością z obcowania płciowego. Sprawcą powoduje nienawiść do kobiet, pragnienie władzy. Jednocześnie w czasie wojny i zaraz po niej, kiedy brakowało mężczyzn, kobieca fantazja seksualna działała ze wzmożoną siłą. Wcześniej tłumiona, ograniczana surowymi normami obyczajowymi seksualność kobiet często realizowała się w opowieściach o gwałtach, których same może nawet nie doświadczyły. Przytłaczający brak innych mężczyzn zastąpiła jednak niepozbawiona ryzyka obecność żołnierzy. Rozluźnienie obyczajów dawnego świata uczyniło kontakty damsko-męskie swobodniejszymi, ale też dużo bardziej niebezpiecznymi. Wiele kobiet świadomie wybierało partnerów spośród okupujących kraj czerwonoarmistów nie tylko dlatego, że brakowało Węgrów. Te kobiety wybierały Rosjan także jako wyraz buntu przeciwko własnej niskiej pozycji społecznej lub jako demonstracyjne podtrzymanie rodzinnych tradycji lewicowych.

Najpowszechniejszym, archaiczno-patriarchalnym wytłumaczeniem przemocy seksualnej jest powiedzenie „wojna to wojna". Zwycięski żołnierz drogą obcowania seksualnego bierze w posiadanie kobietę uznawaną za własność zwyciężonego wroga. Na wojnie kobieta staje się obiektem strategicznym, o który zabijają się walczący. Gwałcąc kobiety wroga, mężczyźni próbują obniżyć wartość własności przeciwnika. Pokrzywdzone kobiety muszą milczeć o doznanym cierpieniu, ponieważ docelowymi ofiarami są nie one, lecz rządzący nimi mężczyźni, i każda wzmianka o gwałcie wzmaga triumf zwycięzcy.

Według innej argumentacji, przemoc seksualna ma podłoże ideologiczno-narodowe, wojsko jest bowiem uosobieniem męskiej siły. Przy opisywaniu wydarzeń militarnych często sięga się po słownictwo związane z seksualnością. W czasie I wojny światowej Francuzi oskarżali Niemców o „gwałt" na Belgii. Nie oznacza to, że każdy żołnierz dopuścił się przemocy seksualnej, ale mógł tak uczynić, ponieważ męskość, która jest tożsama z wojskiem, w skrajnych przypadkach w taki właśnie sposób uzyskuje ostateczne potwierdzenie. W nadzwyczajnym stanie, jakim jest wojna, wojsko daje pole do dowiedzenia jednostkowej odwagi. Kobiece ciało wyraża daną wspólnotę, a popełniona na nim przemoc oznacza pokonanie całego narodu. W takich kategoriach wypowiadali się także rozmówcy Fruzsiny Skrabski, tworząc dychotomię „węgierskich kobiet" i „rosyjskich żołnierzy".

Nikt, kto czytał zagrzewający czerwonoarmistów do walki apel Ilii Erenburga z 1942 roku, nie może mieć wątpliwości co do sowieckiego pragnienia odwetu. Literat szczegółowo opisuje, jak niemieccy żołnierze zhańbili Rosjanki: „Ci brudni wszetecznicy […] gwałcą i zarażają nasze kobiety". „Zabijajcie, zabijajcie! […] Złamcie siłą rasową dumę Niemek! Weźcie je sobie jako pełnoprawny łup!". Poza odezwą Erenburga powstało jeszcze kilkaset podobnych pamfletów. Pytanie brzmi natomiast, czy apel Erenburga stałby się najczęściej cytowanym w literaturze przedmiotu tekstem, za pomocą którego tłumaczono sowiecką przemoc, gdyby nazistowska propaganda nie potrzebowała wszystkich dostępnych środków, w tym również odezwy Erenburga, aby pobudzić do walki słabnących żołnierzy niemieckich. Samo zachowanie czerwonoarmistów wpisywało się w międzywojenną propagandę systemu regenta Miklósa Horthyego na Węgrzech, który chrześcijańską klasę średnią straszył wizją, że w Związku Sowieckim kobiety są wspólne. Jak wspominała w wywiadzie jedna z ofiar gwałtu w Berlinie: „Goebbels powiedział, że Rosjanie nas zgwałcą. […] Nie mogliśmy znieść

Fot. East News

myśli, jak bardzo miał rację". Jednym z najbardziej skutecznych posunięć goebbelsowskiej propagandy były kroniki filmowe pokazujące, że jeśli niemieccy żołnierze nie podejmą walki z rosyjskim wojskiem, ubrani w mundury i kamasze prymitywni „mongolscy" żołnierze wtargną nieproszeni do spokojnych niemieckich domostw. Kiedy wizja pokazywana w kronikach się ziściła, efekt był szokujący. Rasizm, sugerujący, że sowieccy żołnierze byli „Azjatami", a nie „Europejczykami", do dziś jest widoczny w powszechnej opinii i tym samym kontynuowana jest retoryka nazistowska.

Kiedy rozpoczęła się niemiecka inwazja na Związek Radziecki, stojący na czele dyplomacji ZSRR Wiaczesław Mołotow poinformował aliantów o przemocy, której wobec rosyjskich kobiet dopuszczają się niemieckie oddziały. Ta tzw. nota Mołotowa została dołączona do materiału dowodowego przy procesach norymberskich. W ten sposób kwestia przemocy seksualnej trafiła do wielkiej polityki. „Wrogiem są faszyści, a nie lud niemiecki" – pouczał Stalin, ale nie miało to żadnego przełożenia na postawę walczących oddziałów. Kiedy Armia Czerwona dotarła do granic III Rzeszy i napotkała ludność niemieckojęzyczną, Austrię już oficjalnie uznawano za ofiarę hitlerowskiej agresji, ale nie wpłynęło to na zachowanie żołnierzy i ich dowódców wobec tamtejszych cywilów.

Według oficjalnej propagandy sowieckiej, problem przemocy seksualnej czerwonoarmistów w zasadzie nie istniał. Akcentowano argument „osobistej zemsty", według którego sowieccy żołnierze, napotkawszy u Węgrów wyższy poziom życia albo mając krewnych, którzy padli ofiarą węgierskich oddziałów, chcieli pomścić krzywdy doznane przez Związek Radziecki. W nawiązaniu do filmu *Przemilczana hańba* pojawiły się na Węgrzech artykuły, których autorzy twierdzą, że badanie sowieckiej przemocy seksualnej ma na celu odwrócenie uwagi od zbrodni węgierskich wojsk na Ukrainie. Takie stanowisko traktuje pamięć historyczną jako rozgrywkę „zero do zera": jedna pamięć automatycznie eliminuje drugą bez analizowania ścisłych związków między militaryzmem a przemocą seksualną.

Charakter sowieckiego wojska także może posłużyć jako wytłumaczenie dla częstych gwałtów. Według niektórych, najgroźniejsza dla kobiet była linia frontu, ponieważ nacierający na wroga żołnierze, którzy czuli na karku oddech śmierci, chcieli natychmiast zebrać owoce zwycięstwa. Inni natomiast za najniebezpieczniejsze uznawali oderwane od swoich jednostek samowolne bandy, które nadchodziły za zdyscyplinowanymi oddziałami z pierwszej linii frontu. Komunistyczny burmistrz Budapesztu Zoltán Vas, którego łączyły z Moskwą dobre stosunki, uspokajał w 1945 roku przychodzących ze skargą ludzi, że po walczących na czele oddziałach bojowych nadejdą jednostki elitarne. To prawda, że poszczególne oddziały różniły się pod względem postępowania, nawet na jednym odcinku frontu trafiały się

Fizyczna obrona cywilów przed przemocą ze strony sowieckich „wyzwolicieli" mogła się skończyć karą śmierci lub więzienia; Berlin, 1945 rok

Fot. East News

Fot. East News

Czerwonoarmiści na ulicach Budapesztu: postrach mieszkanek miasta; przełom lat 1944 i 1945

bardziej karne lub bardziej niesubordynowane oddziały tej walczącej od wielu lat wielkiej armii.

Konsekwencje

Węgierskich kobiet, które zostały zgwałcone przez żołnierzy zwycięskiej armii sowieckiej, aż do tej pory oficjalnie nie uznano za ofiary wojenne. Ominęła je sprawiedliwość prawna. Upublicznienie przemocy seksualnej, której dopuścili się sowieccy żołnierze (czyli uznanie gwałtów za fakt historyczny bądź zaprzeczanie im), stało się kwestią polityczną wraz z wybuchem zimnej wojny: lewicowcy kwestionowali gwałty lub uporczywie milczeli. Natomiast konserwatyści, sympatycy Zachodu, przydając im czasem dodatkowego znaczenia, wykorzystywali je do propagandy, która miała podważyć chlubną legendę zwycięskiej Armii Czerwonej. Chodziło o to, by ukazując Węgry jako ofiarę sowieckiej agresji, przemilczeć przyczyny, które umieściły ten kraj w strefie wpływów sowieckich. Z traumą po przemocy seksualnej należało poradzić sobie indywidualnie i z pomocą rodzin, tymczasem pomijano ją milczeniem. Solidarność kobiet względem mężczyzn uniemożliwiła im przepracowanie własnych doświadczeń i zadanie pytania: kto jest odpowiedzialny? Niewiele kobiet zdobyło się na to, by opowiedzieć o swoim gwałcie, przecież – rozumowano – wartość kobiety spada, gdy fakt ten zostaje ujawniony. Jednakże sytuacja na Węgrzech powoli się zmienia, w czym udział miała też *Przemilczana hańba*, która wraz z innymi inicjatywami tego typu zmienia sposób, w jaki można i należy mówić na Węgrzech o tych tragicznych wydarzeniach sprzed kilkudziesięciu lat.

Andrea Pető – profesorka nadzwyczajna na Wydziale Gender Studies w Central European University w Budapeszcie

Przekład z języka węgierskiego: Karolina Wilamowska; tłumaczenie w ramach współpracy Węgierskiego Instytutu Kultury w Warszawie z Instytutem Pamięci Narodowej

Fot. PAP

Radziecki żołnierz gwałcący ciężarną kobietę – rzeźba *Komm Frau* („Chodź, kobieto") Jerzego Bohdana Szumczyka, postawiona w Gdańsku obok stojącego tam od lat radzieckiego czołgu-pomnika w al. Zwycięstwa, wywołała skandal i szybko została usunięta

„Dosyć już tego *Mazurka*”, czyli jak Bierut chciał orłowi głowę urwać

Dawid Zagził

Niewiele brakowało, by w czasach stalinowskich *Mazurek Dąbrowskiego* został zastąpiony nowym hymnem.

Maj 1952 roku. Na przyjęciu w ambasadzie Czechosłowacji tłum gości. Wśród zaproszonych elita władzy oraz czołowe postaci ówczesnego salonu. Gościem honorowym był sam Bolesław Bierut. Gdy na miejsce dotarli poeta Władysław Broniewski i jego żona Wanda, towarzysz „Tomasz” – jak nazywano Bieruta w kręgach partyjnych – już przy powitaniu wszedł w dysputę z autorem *Słowa o Stalinie*. Temat okazał się szokujący nawet dla Broniewskiego, aprobującego powojenny ład w Polsce. Żona pisarza po latach wspominała: „Z odległości kilku kroków zauważyłam, że Mąż silnie zmienił się na twarzy. Powiedział mi chwilę potem, że Bierut zwrócił się do niego, żeby napisał nowy hymn narodowy [...]. Mąż odparł, że da odpowiedź za dwa dni. Był wzburzony. Dał odpowiedź negatywną”. Tak miała wyglądać próba zastąpienia *Mazurka Dąbrowskiego* nowym hymnem, odpowiednim dla państwa robotniczo-chłopskiego. Próba na szczęście nieudana.

Na sowiecką modłę

Po zakończeniu II wojny światowej obszar Związku Sowieckiego powiększył się do ponad 22 mln km kw. Zachodnich granic imperium strzegł mur

Komuniści pozbawili polskiego orła korony, ale na szczęście próby zmiany hymnu narodowego spełzły na niczym; na zdjęciu: Bolesław Bierut odbiera przysięgę poselską od Franciszka Trąbalskiego z PPS; 4 lutego 1947 roku

Fot. PAP/Jerzy Baranowski

państw ościennych, zwanych potocznie „demoludami" (KDL). Zachowując pozory niepodległości (brak członu „Socjalistyczna Republika Sowiecka" w nazwie), pełniły one rolę państw satelickich, bytowo zależnych od woli Stalina. Poplecznicy dyktatora nie liczyli się z pielęgnacją narodowej tradycji. I tak np. Święto Niepodległości w Polsce zastąpiono Dniem Zwycięstwa (9 maja), a Boże Narodzenie stanowiło jedynie preludium do karnawału. Zmiany nie ominęły też najważniejszego (oprócz flagi) symbolu – godła. O ile polskiemu orłowi ujęto „jedynie" koronę, o tyle w innych KDL nie obyło się bez czerwonej gwiazdy czy łanów zboża w herbie. Wyjątek stanowiła Czechosłowacja; tam jednak o „bratnim sojuszu" przypominano w inny sposób. Antoni Zambrowski (syn Romana Zambrowskiego, członka Biura Politycznego KC PPR/PZPR), wspominając okres studiów z lat pięćdziesiątych, opowiadał: „Pewnego dnia w stołówce zagadnął mnie doktorant z Czech, pytając, czy u nas w Polsce obok hymnu państwowego grają hymn sowiecki. Odpowiedziałem, że gdy mamy mecz międzypaństwowy z Sowietami, to obok hymnu polskiego orkiestra gra hymn ZSRR. Czechowi chodziło jednak o coś innego. U nich w Czechosłowacji za każdym razem, gdy grano *Kde domov můj*, grano również *Sojuz nieruszymyj*. Władze partyjne w Pradze w ten sposób uprzytamniały Czechom i Słowakom, że są częścią większej wspólnoty międzypaństwowej ze Związkiem Sowieckim na czele".

Komuniści znad Wisły zdawali sobie sprawę z tego, czym dla Polaków była tradycja narodowa. Biało-czerwone barwy i orzeł w koronie krzepiły serca w okresie zaborów, dając wiarę w odrodzenie niepodległego kraju. Podobnie było w latach II wojny światowej. Z godłem na piersi i *Mazurkiem Dąbrowskiego* na ustach, żołnierze i cywile przelewali krew w imię wolnej Polski. Niestety, rzeczywistość powojenna ich rozczarowała. Co się zaś tyczy symboli – zmiany dotknęły godła, ale nie flagi. Słowa *Mazurka Dąbrowskiego*, oficjalnego hymnu Rzeczypospolitej od 1927 roku, również akceptowano w kręgach nowej władzy. Do czasu…

Fot. PAP

Władysław Broniewski w trakcie akademii ku czci komunistycznej partyzantki w Grecji; Warszawa, 29 października 1948 roku

Bierut posłany do wszystkich diabłów

Pogłoski o nowym hymnie pojawiły się na początku lat pięćdziesiątych. Według Antoniego Zambrowskiego, który informacje czerpał z „pewnego źródła", inicjatorem miał być sowiecki wojskowy polskiego pochodzenia. „W swoim czasie zapytałem swego ojca – wybitnego działacza komunistycznego – jak to było z projektem zmiany polskiego hymnu – pisał po latach Zambrowski junior. – Ojciec potwierdził fakt i dorzucił wiele szczegółów sprawy. Otóż pomysłodawcą był sowiecki generał narodowości polskiej, przekazany z Armii Sowieckiej do ludowego Wojska Polskiego po mianowaniu marszałka Konstantego Rokossowskiego ministrem obrony narodowej i dokooptowaniu go do Biura Politycznego KC PZPR. [...] Pełnił on funkcję komendanta Wojskowej Akademii Politycznej bądź jego zastępcy [...]. Choć ojciec wymienił jego nazwisko, nie jestem w stanie go odtworzyć".

Prawdopodobnie chodziło o gen. Michała Stankiewicza, szefa Wojskowej Akademii Politycznej w latach 1951––1954. Rzeczony generał miał nadto wnioskować o zmianę godła i kroju mundurów! Trudno stwierdzić, czy była to prywata, czy też inicjatywa wyszła prosto z Kremla. Ostatecznie – a było to w czasie prac nad projektem konstytucji – wieści trafiły do Belwederu. Pomysł znalazł pełne uznanie Bieruta. To mogło być coś – nowa konstytucja wsparta muzyką nowego hymnu! Pozostała tylko kwestia wyboru „właściwego" autora słów. Apologetów nowego ustroju wszak nie brakowało: Gałczyński, Tuwim, Broniewski – to ci najgłośniejsi, lecz niejedyni. Po namyśle Bierut zdecydował się na tego ostatniego.

Władysław Broniewski urodził się 17 grudnia 1897 roku w Płocku. Rodzice, Antoni i Zofia, wywodzili się z inteligencji o szlacheckich korzeniach. Tradycja patriotyczna wywarła duży wpływ na młodego Broniewskiego. W wieku siedemnastu lat wstąpił do Legionów; później brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej. Z przekonania socjalista, po zamachu na prezydenta Gabriela Narutowicza zbliżył się do Komunistycznej Partii Robotniczej Polski. Był świadkiem wkroczenia Armii Czerwonej do Lwowa we wrześniu 1939 roku. W 1940 roku aresztowany (m.in. z Aleksandrem Watem) przez NKWD i osadzony na

Łubiance. Na mocy „amnestii" wynikającej z układu Sikorski–Majski przewieziony do kazachskiej Ałma-Aty. Zwolniony, wstąpił do armii gen. Władysława Andersa, z którą przedostał się przez Iran i Irak do Palestyny.

Po długich wahaniach powrócił do kraju pod koniec 1945 roku i od razu stał się poetą zaangażowanym w budowę nowej rzeczywistości. Marek Hłasko, w pewnym momencie sekretarz Broniewskiego, wspominał: „Dziwny to był człowiek; oficer legionów, komunista nienależący do partii, więzień naszych kapryśnych braci, najbardziej polski poeta, jakiego można sobie wyobrazić – a komunizm potrzebny mu był tylko z jednego powodu; ponieważ on, Broniewski, najbardziej lubił pisać o komunizmie. Żadne inne względy nie mogły tu wchodzić w rachubę i nie interesowały go zupełnie. Był przy tym zadziornym szlachciurą". Broniewski obracał się w kręgach prominentów i ludzi kultury. Często był zapraszany do Belwederu, zwłaszcza na zakrapiane alkoholem przyjęcia, na które zresztą przychodził już pijany.

Jedną z takich imprez zapamiętała dobrze Maria Dąbrowska. Okazją do świętowania był zjazd Związku Literatów Polskich w czerwcu 1954 roku. W swoich *Dziennikach* pod datą 23 lipca 1955 roku pisarka odniosła się do wydarzeń sprzed roku: „Jakoś tak wyszło, że siedziałam przy stole z Bierutem […]. Broniewski przyszedł już pijany i zataczał się, chodząc po salonach Belwederu. Dziwne, że nie wygłaszał peanów na cześć Piłsudskiego, bo ma ten zwyczaj, kiedy się znajdzie w Belwederze. Tym razem inną sztukę wódka z niego dobyła. Jego zapijaczona mazurska gęba była czerwona i obrzmiała, dziecięce niebieskie oczka zapłynięte alkoholowymi łzami. Już nie mógł trafić do gęby i wylewał na siebie wino. […] Potem zaczął dyskurs z Bierutem, nazywając go: »towarzysz Bolesław« z akcentem, po rosyjsku, na ostatniej sylabie. W jakiejś chwili zaczął wołać z uporem na cały stół: »Wy chcecie, towarzysz Bolesław, żebym ja napisał nowy tekst do hymnu narodowego. Ja to potrafię. Ja jeden! Ale ja hymnu narodowego nie będę zmieniał. Nie będę, bo nie mogę! Bo nie chcę!«. Po chwili [zaś dodał]: »Bo to tak, jakbym orłowi polskiemu urwał głowę«".

Cała sytuacja miała być pokłosiem wspomnianego już zajścia w ambasadzie czechosłowackiej. Taką wersję podawała Wanda Broniewska, która pod koniec lat osiemdziesiątych wracała pamięcią do rozmowy męża z prezydentem. W trakcie przyjęcia w ambasadzie Bierut miał też powiedzieć: „dosyć już tego *Mazurka*". Z biegiem lat pojawiło się wiele opowieści traktujących o reakcji pisarza na te słowa. Według Hłaski, „Broniewski wysłał go [Bieruta] do wszystkich diabłów"; pisarz Andrzej Braun wspominał gniew i odzew poety: „Orła bez korony jeszcze mogę znieść, ale nowego hymnu nigdy". Według jeszcze innej wersji, Broniewski miał wręczyć Bierutowi kartkę ze zdaniem: „Jeszcze Polska nie zginęła…".

Gust Stalina

Wśród przytoczonych anegdot nie mogło zabraknąć tych iście sensacyjnych. Mówiło się, że zapędy Bieruta ukrócił… Stalin! Generalissimus miał przyjąć polską delegację na Kremlu i rozwiać jej wątpliwości. W wywiadzie dla Teresy Torańskiej Jakub Berman, na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych osoba numer dwa w partii, enigmatycznie odniósł się do kwestii zmiany hymnu:

„– Miały być zmienione hymn i godło kraju?

– Nieprawda.

– Zmieniono w krajach ościennych.

– Może mnie pamięć zawodzi, ale nie pamiętam, byśmy się tym zajmowali. Nie wykluczam jednak, że ktoś mógł taki pomysł wysunąć, a my jako kierownictwo zdecydowanie go odrzuciliśmy.

– Podobno sam Stalin, kiedy Bierut z tym do niego pojechał.

– Niewykluczone. A mało to jest rozmaitych lizusów? W ich głowach rodziły się różne pomysły, kiedy chcieli się przypodobać".

Z kolei według relacji Antoniego Zambrowskiego, Stalin uciął dyskusję szybko, acz dobitnie: „A po co macie je [godło i hymn] zmieniać? Mnie się wasze mundury oraz herb i hymn podobają". Jeśli wierzyć owym słowom, polskie symbole narodowe ocalił ten, który zniewalał pod egidą sierpa i młota. Czyż to nie ironia losu?

Dawid Zagził – historyk, absolwent Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie, pracownik administracji publicznej

Próba zmiany hymnu zza biurka; Bolesław Bierut w gabinecie w Belwederze, marzec 1947 roku

Fot. PAP

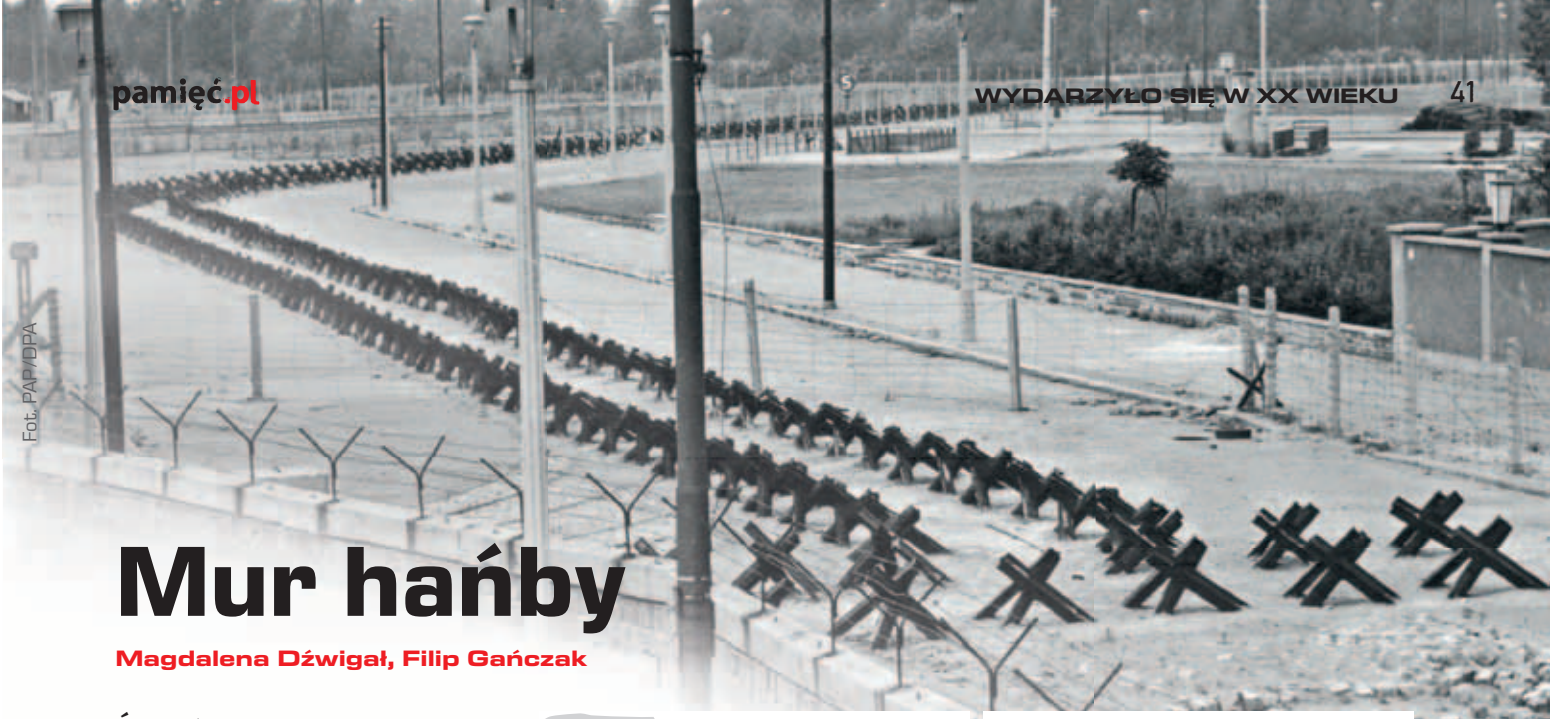

Fot. PAP/DPA

Mur hańby

Magdalena Dźwigał, Filip Gańczak

Ćwierć wieku temu upadł mur berliński – najbardziej wyrazisty symbol zimnowojennego podziału świata.

Było wczesne piątkowe popołudnie 17 sierpnia 1962 roku, gdy w okolicy Zimmerstraße rozległy się strzały. Jeden, dwa, ponad trzydzieści… To Helmut Kulbeik i Peter Fechter, młodzi murarze z Niemieckiej Republiki Demokratycznej, próbowali ucieczki do Berlina Zachodniego. Kulbeik poradził sobie z drutem kolczastym i niewysokim jeszcze wówczas murem. Fechter miał mniej szczęścia. Trafiony kulą enerdowskiego pogranicznika, osunął się na ziemię jeszcze po stronie wschodnioniemieckiej. Leżał tam przez prawie godzinę, rozpaczliwie wzywając pomocy. Ani zachodnioberlińscy policjanci, ani znajdujący się w pobliżu amerykańscy żołnierze nie chcieli ryzykować przejścia na stronę NRD. Wschodnioniemieccy pogranicznicy również bezczynnie patrzyli, jak osiemnastolatek się wykrwawia. Gdy w końcu zabrali go do szpitala, było już za późno.

Peter Fechter nie był ani pierwszą, ani ostatnią ofiarą muru berlińskiego. Umierał jednak na oczach licznych gapiów i fotoreporterów. Zdjęcia z miejsca tragedii szybko obiegły zachodni świat, wywołując powszechne oburzenie. Amerykański tygodnik „Time" pisał o „murze hańby". Musiało jednak minąć jeszcze ponad 27 lat, by ten mur runął.

Fot. PAP/DPA

Peter Fechter (na zdjęciu niesiony przez wschodnioniemieckich pograniczników) to jedna z najbardziej znanych ofiar muru berlińskiego

„Antyfaszystowski wał ochronny"

Po II wojnie światowej zwycięskie mocarstwa podzieliły Berlin – tak jak całe Niemcy – na cztery sektory okupacyjne. Trzy z nich – amerykański, brytyjski i francuski – dały początek Berlinowi Zachodniemu, blisko związanemu z Republiką Federalną Niemiec. Sektor sowiecki stał się zaś stolicą komunistycznej Niemieckiej Republiki Demokratycznej, utworzonej w 1949 roku.

Z punktu widzenia mieszkańców granice dzielące sektory istniały początkowo głównie na papierze. Miasto – formalnie podzielone – łączyła nadal wspólna infrastruktura. Berlińczycy z NRD pracowali, uczyli się oraz robili zakupy po zachodniej stronie – i odwrotnie. Bez przeszkód kursowały między sektorami metro oraz szybka kolej miejska.

Nie znaczy to, że po obu stronach żyło się tak samo. Z czasem zaznaczył się podział na bogaty Zachód i biedniejszy Wschód. Mówiło się też, że w Berlinie Zachodnim można „swobodnie oddychać". W NRD komunistyczny reżim ograniczał wolności obywatelskie. W 1953 roku sowieckie czołgi brutalnie stłumiły powstanie ludowe w Berlinie Wschodnim i innych miastach.

Obywatele Niemieckiej Republiki Demokratycznej wciąż jednak mogli „głosować nogami". W latach 1945–1961 z terenu sowieckiej strefy okupacyjnej, a później NRD uciekło na Zachód 2,65 mln osób. Wśród nich byli głównie ludzie młodzi, często dobrze wykształceni. Gospodarce wschodnioniemieckiej groziła katastrofa. Komunistyczni dygnitarze z Socjalistycznej Partii Jedności Niemiec (SED) za wszelką cenę chcieli więc zatrzymać exodus.

Już w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych władze NRD zamknęły granicę z Republiką Federalną Niemiec. W pilnie strzeżonej strefie przygranicznej pojawiły się z czasem pola minowe, a nawet urządzenia samostrzelające. Ostatnią uchyloną furtką dla mieszkańców NRD pozostawał Berlin. Poruszanie się między wschodnią częścią miasta a zachodnimi sektorami nadal – mimo wprowadzenia pewnych utrudnień – było możliwe. Jeszcze 15 czerwca 1961 roku Walter Ulbricht, przewodniczący Rady Państwa NRD, zarzekał się na konferencji prasowej: „Nikt nie ma zamiaru wznosić muru". Dwa miesiące później było już jasne, że kłamał.

W nocy z 12 na 13 sierpnia drogi prowadzące do Berlina Zachodniego zostały zablokowane. Nad przebiegiem operacji – zaaprobowanej przez przywódcę ZSRR Nikitę Chruszczowa – czuwał Erich Honecker, późniejszy następca Ulbrichta na najważniejszych stanowiskach w partii i państwie. W pierwszej chwili trudno jeszcze było mówić o murze. Wzdłuż granicy pojawiły się głównie zasieki z drutu kolczastego.

Komunistyczna propaganda tłumaczyła, że powstaje „antyfaszystowski wał ochronny", mający utrudnić życie zachodnim „agentom, rewanżystom i militarystom". W rzeczywistości mur stanął po to, by zapobiec wyludnieniu NRD i upadkowi komunistycznego reżimu. Zachód ograniczył się do protestów dyplomatycznych. Nie chciano ryzykować otwartego konfliktu, który mógł się przerodzić w wojnę atomową.

Mur się pnie

Berlin Zachodni stał się więc – jak czasem mówili jego mieszkańcy – „złotą klatką" albo „wyspą w czerwonym morzu". Wokół tej części miasta zamknął się pierścień umocnień granicznych, ciągnących się przez ponad 156 kilometrów. Niespełna jedna trzecia przypadała na odcinek miejski. Od północy, zachodu i południa Berlin Zachodni graniczył bowiem ze wschodnioniemieckim Okręgiem Poczdam. Linia podziału biegła tu często przez lasy, jeziora i kanały. Jeśli izolacja miała być skuteczna, komunistyczny reżim musiał zabezpieczyć także te odcinki.

Z biegiem lat mur berliński był nieustannie doskonalony. Mur pierwszej generacji – powstający od 15 sierpnia 1961 roku – zastępował prowizoryczne zasieki z drutu kolczastego. Wznoszony był z cegieł i pustaków na dwa, trzy metry wysokości. W tym czasie wysiedlano mieszkańców przygranicznych kamienic, których okna i drzwi zamurowywano.

Od połowy lat siedemdziesiątych (na niektórych odcinkach nieco później) można już było mówić o rozbudowanym systemie barier i zapór. Wschodnioniemiecki reżim położył duży nacisk na zabezpieczenie przedpola granicy – powstał w ten sposób tzw. pas śmierci. Od strony enerdowskiej pierwszą przeszkodę stanowiły dwu-, trzymetrowy mur lub siatka stalowa. Tuż nad ziemią instalowano urządzenia sygnalizacyjne wywołujące alarm przy dotknięciu. Dalej znajdowała się zapora ze stalowych jeży przeciwpancernych. Pośrodku pasa wznoszono wieże strażnicze i mocne reflektory. Wytyczano też drogę dla patroli rowerowych i pieszych oraz psów – agresywnych owczarków alzackich. Za drogą był jeszcze rów, mający zatrzymać samochody lub

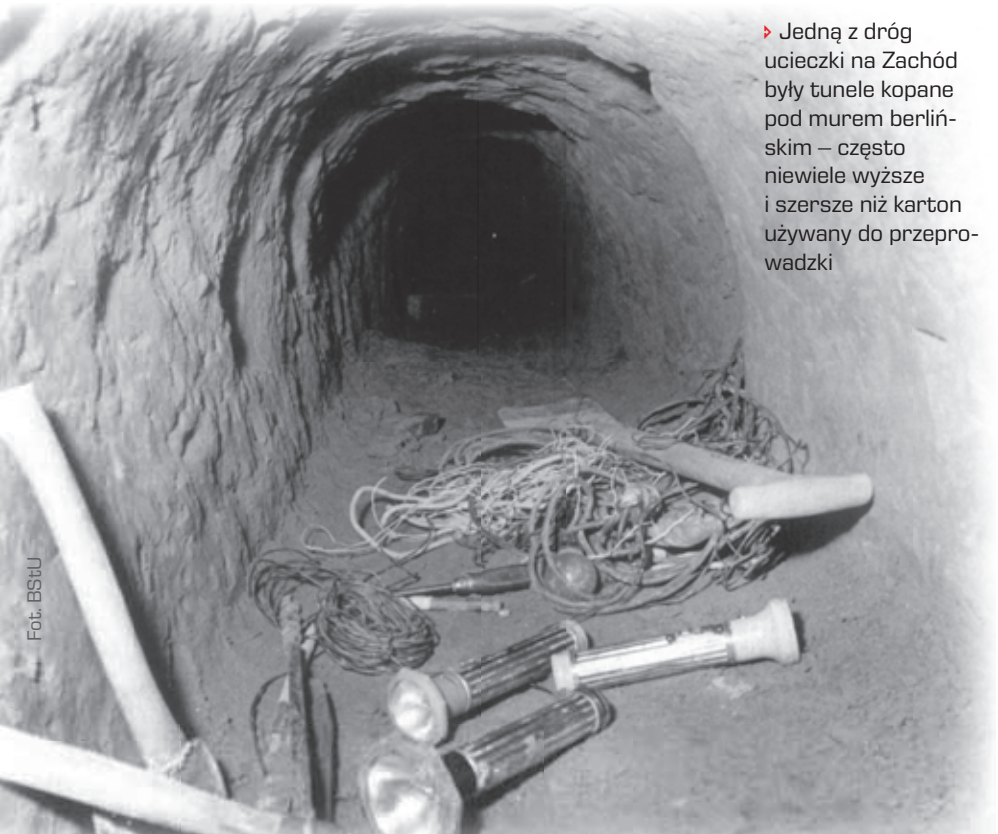

Jedną z dróg ucieczki na Zachód były tunele kopane pod murem berlińskim – często niewiele wyższe i szersze niż karton używany do przeprowadzki

Fot. BStU

Fot. PAP/Jerzy Undro

Spektakularne burzenie muru berlińskiego świat pamięta dziś lepiej niż wcześniejsze o kilka miesięcy przemiany demokratyczne w Polsce

PARADOKSY MURU BERLIŃSKIEGO

• Jest rok 1945. Osiedle Steinstücken formalnie należy do Berlina, ale *de facto* znajduje się na terenie pobliskiego Poczdamu. W czasach III Rzeszy te zawiłości niewiele obchodzą mieszkańców; w trakcie zimnej wojny nabierają jednak kolosalnego znaczenia. Steinstücken staje się częścią amerykańskiego sektora Berlina Zachodniego, Poczdam zaś – częścią sowieckiego sektora okupacyjnego, a od 1949 roku – nowo powstałej NRD. W latach sześćdziesiątych komunistyczny reżim otacza osiedle murem. Amerykańscy żołnierze mogą tu dotrzeć tylko helikopterem. Dekadę później – w ramach wymiany terytoriów – do Steinstücken zostaje wreszcie poprowadzona asfaltowa droga, dając osiedlu swobodne połączenie z resztą Berlina Zachodniego. Wąski korytarz jest z obu stron otoczony murem. Dziś muru nie ma, a dawna granica jest już tylko granicą dwóch niemieckich landów.

• Na terenie leżącym obecnie w berlińskiej dzielnicy Kreuzberg, na skrawku ziemi uznanej za niczyją, turecki imigrant Osman Kalin buduje w latach osiemdziesiątych prymitywny parterowy domek z ogródkiem. Działka formalnie należy do Berlina Wschodniego, znajduje się jednak po zachodniej stronie muru, który ze względów oszczędnościowych poprowadzono w tym miejscu w linii prostej. Po upadku NRD Kalin rozbudowuje domek, wciąż jednak nie ma tam prądu ani bieżącej wody. Osobliwa budowla przyciąga za to rzesze turystów.

inne pojazdy. Do tego dochodził pas kontrolny – codziennie bronowany, by widać było ślady stóp. Dopiero na końcu znajdował się właściwy mur z betonowych płyt, wysoki na ponad 3,5 metra. Od strony wschodniej mur był malowany białą farbą, by zwiększyć widoczność dla strzelców rozmieszczonych w wieżach.

Od Berlina Zachodniego dostęp do muru był w zasadzie nieograniczony, co skrzętnie wykorzystywali grafficiarze. W pobliżu pojawiły się nawet platformy widokowe. Dzięki nim zachodni turyści mogli zobaczyć, jak wyglądają pas śmierci i życie codzienne w NRD.

Inwencja bez granic

Granica dzieląca Berlin zyskała opinię najlepiej strzeżonej na świecie. Nic dziwnego, że z czasem prób ucieczki było coraz mniej. Ale zdarzały się także w późnych latach osiemdziesiątych. 8 marca 1989 roku trzydziestodwuletni Winfried Freudenberg przeleciał nad murem balonem własnej konstrukcji. Rozbił się jednak po zachodniej stronie i zginął.

Przypadek Freudenberga pokazuje, jak nieprawdopodobną inwencją potrafili się wykazać zdesperowani mieszkańcy NRD, chcąc uciec na Zachód. Próbowano taranować mur ciężarówkami, konstruowano szybowce, a nawet miniaturowy okręt podwodny. Budowano skrytki w pociągach oraz samochodach. W latach 1964–1966 Kurt Wordel z Berlina Zachodniego w specjalnie skonstruowanych skrytkach w trzech volkswagenach garbusach zdołał przeszmuglować przez granicę 55 osób. Pomógł też innym uciekinierom, dostarczając im fałszywych paszportów.

W pierwszych miesiącach istnienia muru berlińskiego bramą do wolności były jeszcze kanały ściekowe. Tylko pod Gleimstraße przedostało się w ten sposób na Zachód 150–200 osób, a pod Alte Jakobstraße – nawet 200–250. W kanałach szybko jednak pojawiły się kraty, a nawet mikrofony i urządzenia alarmowe. Ostatnia grupa uciekinierów przeszła tą drogą w połowie października 1961 roku. Później, jak napisał dziennik „Der Tagesspiegel", prześliznąć kanałami mogły już tylko szczury.

Miejsce kanałów szybko zajęły podziemne tunele – kopane pod murem tak, by wychodziły np. do nieużywanej piwnicy. Najdłuższy miał 145 m. Łącznie powstało ich kilkadziesiąt. W ten sposób udało się ewakuować na Zachód ok. 250 osób. Ale i ta droga ucieczki z czasem stawała się coraz bardziej ryzykowna. W ziemi pojawiły się sondy, domy w sąsiedztwie muru były zaś wyburzane.

Fot. Filip Gańczak

Niekiedy wystarczał banalny pomysł, by ośmieszyć kosztowny system umocnień i zabezpieczeń. W maju 1987 roku Anneliese Trauzettel, mieszkanka NRD, która miała zezwolenie na krótki pobyt w Berlinie Zachodnim, przemyciła w torbie na zakupy czteroletniego syna. Zapach perfum skutecznie zmylił psy pograniczników.

Nie wszyscy mieli tyle szczęścia. W strefie granicznej wokół muru berlińskiego zginęło w czasie zimnej wojny co najmniej 138 osób, w tym młody Polak Franciszek Piesik (pisaliśmy o nim w poprzednim numerze „Pamięci.pl"). Wschodnioniemieckie władze starały się – w miarę możliwości – ukrywać każdy przypadek śmierci uciekiniera. Czuwało nad tym Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwowego, bardziej znane jako Stasi. Ciała osób, które zginęły w sąsiedztwie muru, były potajemnie kremowane i niekiedy grzebane anonimowo. Często przesyłano rodzinie urnę z prochami, podając jednak nieprawdziwą przyczynę śmierci. Bliskich ofiary inwigilowano. Chciano wiedzieć, czy byli wtajemniczeni w plany ucieczki, a jeśli tak – czy będą milczeć w tej sprawie. Wiele rodzin o losie swoich bliskich dowiedziało się dopiero po upadku muru berlińskiego i otwarciu wschodnioniemieckich archiwów.

Włoski wkład w zjednoczenie Niemiec

W styczniu 1989 roku Erich Honecker dawał do zrozumienia, że „za 50 i również za 100 lat" mur berliński będzie nadal stał. Kilka miesięcy później, 6 i 7 października, hucznie obchodzono czterdziestolecie NRD. Komunistyczny reżim trzymał się jednak coraz słabiej. Reformy w Związku Radzieckim, a także przemiany demokratyczne w Polsce i na Węgrzech sprawiły, że również mieszkańcy Niemieckiej Republiki Demokratycznej zapragnęli wolności.

Tysiące obywateli NRD oblegały ambasady RFN w Pradze, Budapeszcie i Warszawie, walcząc o prawo wyjazdu na Zachód. Gdy 11 września 1989 roku rząd Węgier otworzył dla uchodźców z Niemieckiej Republiki Demokratycznej granicę z Austrią, rozpoczęła się masowa emigracja. W tym czasie na ulicach wschodnioniemieckich miast zaczynały się protesty. Powstawały niezależne ugrupowania, jak chociażby Nowe Forum. Pod wpływem tych wydarzeń 18 października w kierownictwie SED doszło do przesilenia. Z funkcji sekretarza generalnego odwołano Ericha Honeckera, którego zastąpił bezbarwny aparatczyk Egon Krenz.

Podczas wieczornej konferencji prasowej 9 listopada 1989 roku nowe kierownictwo partii miało poinformować o swoich politycznych planach. Nudne spotkanie z dziennikarzami przybrało zaskakujący przebieg, gdy włoski korespondent Riccardo Ehrman zapytał o szykowane zmiany zasad podróżowania za granicę. Günter Schabowski, rzecznik Komitetu Centralnego SED, oświadczył, że uzyskanie zezwolenia na prywatny wyjazd – do tej pory niesłychanie trudne – teraz będzie już tylko formalnością. Dopytywany przez dziennikarzy, kiedy te zmiany wejdą w życie, odpowiedział: „natychmiast, niezwłocznie". Sensacyjna informacja błyskawicznie obiegła agencje prasowe i była na bieżąco komentowana w stacjach telewizyjnych.

Mieszkańcy Berlina Wschodniego chcieli się przekonać o prawdziwości tych doniesień. Stopniowo przed przejściami granicznymi w mieście zebrały się tłumy. Zdezorientowani pogranicznicy nie wiedzieli, co robić – nie dostawali rozkazów, kierownictwo partii milczało. W końcu ulegli i otworzyli przejścia. Tysiące mieszkańców Berlina Wschodniego, często po raz pierwszy w życiu, przeszły tej nocy na drugą stronę muru. Miasto opanowała niesamowita euforia, feta trwała do białego rana. Rozpoczął się żywiołowy, spontaniczny demontaż muru berlińskiego. Osoby biorące w nim udział szybko przezwano dzięciołami.

1 lipca 1990 roku zniesiono kontrolę na granicy NRD i RFN. Trzy miesiące później doszło do zjednoczenia Niemiec.

Fot. Margret Nissen, Stiftung Berliner Mauer

Ostatni rosyjscy żołnierze opuścili terytorium Republiki Federalnej latem 1994 roku. W berlińskiej dzielnicy Tiergarten – nieopodal Bramy Brandenburskiej – do dziś stoi jednak monumentalny pomnik ku czci poległych czerwonoarmistów…

Dwaj pogranicznicy, którzy w sierpniu 1962 roku strzelali do Petera Fechtera, stanęli w latach dziewięćdziesiątych przed sądem. Wyroki nie były surowe: 21 i 20 miesięcy więzienia w zawieszeniu.

Korzystaliśmy m.in. z artykułu Filipa Gańczaka *Tunelem do wolności* („Newsweek Historia", nr 1/2011).

Magdalena Dźwigał – archiwistka, historyczka, pracowniczka Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Szczecinie

Filip Gańczak – redaktor miesięcznika „Pamięć.pl", autor książek *Erika Steinbach. Piękna czy bestia?* (2008) i *Filmowcy w matni bezpieki* (2011)

Fot. Filip Gańczak

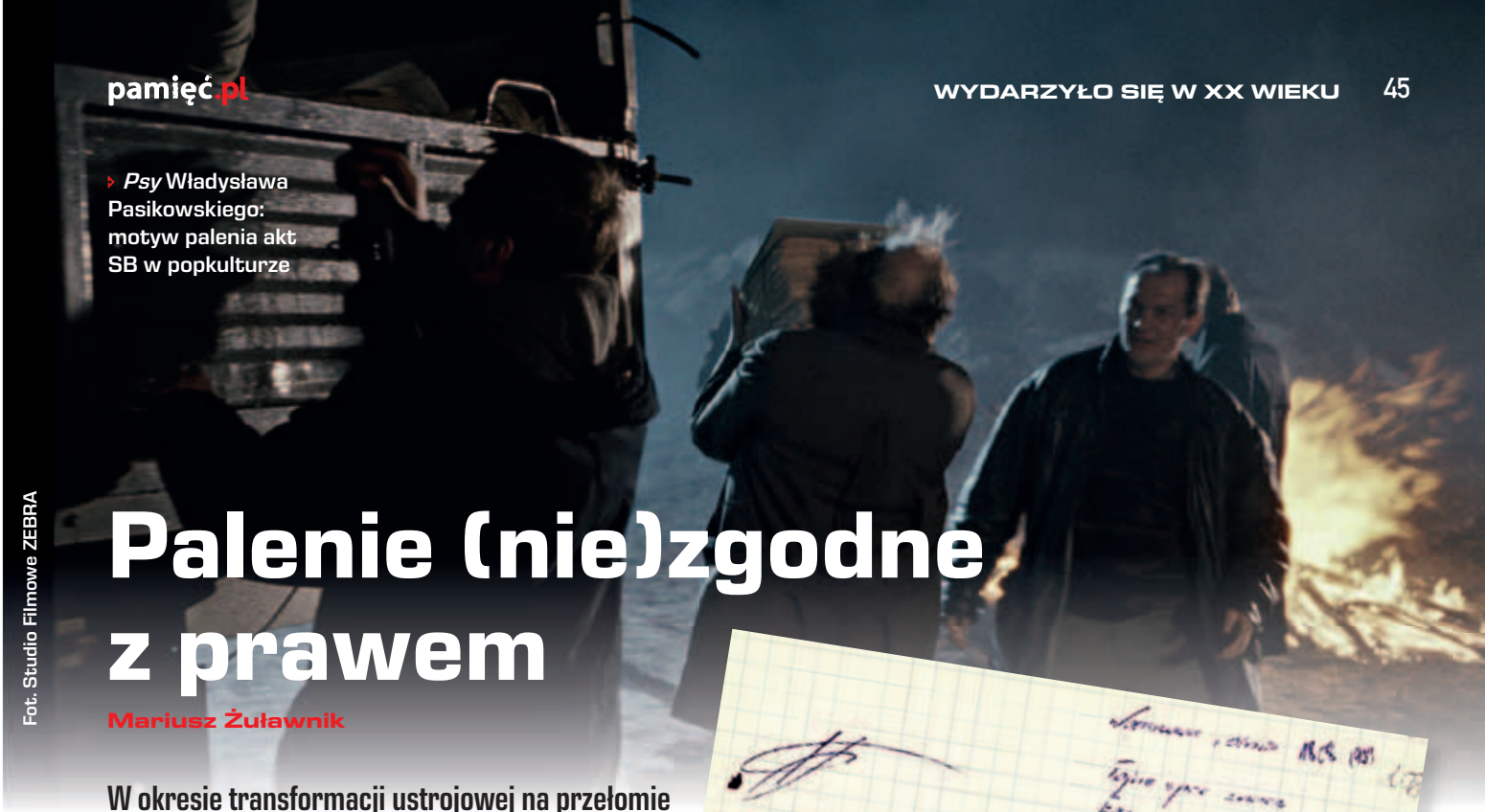

Psy Władysława Pasikowskiego: motyw palenia akt SB w popkulturze

Fot. Studio Filmowe ZEBRA

Palenie (nie)zgodne z prawem

Mariusz Żuławnik

W okresie transformacji ustrojowej na przełomie 1989 i 1990 roku doszło do bezprawnego zniszczenia części dokumentów cywilnych organów bezpieczeństwa PRL. Do dziś główni sprawcy tego zdarzenia nie zostali pociągnięci do odpowiedzialności.

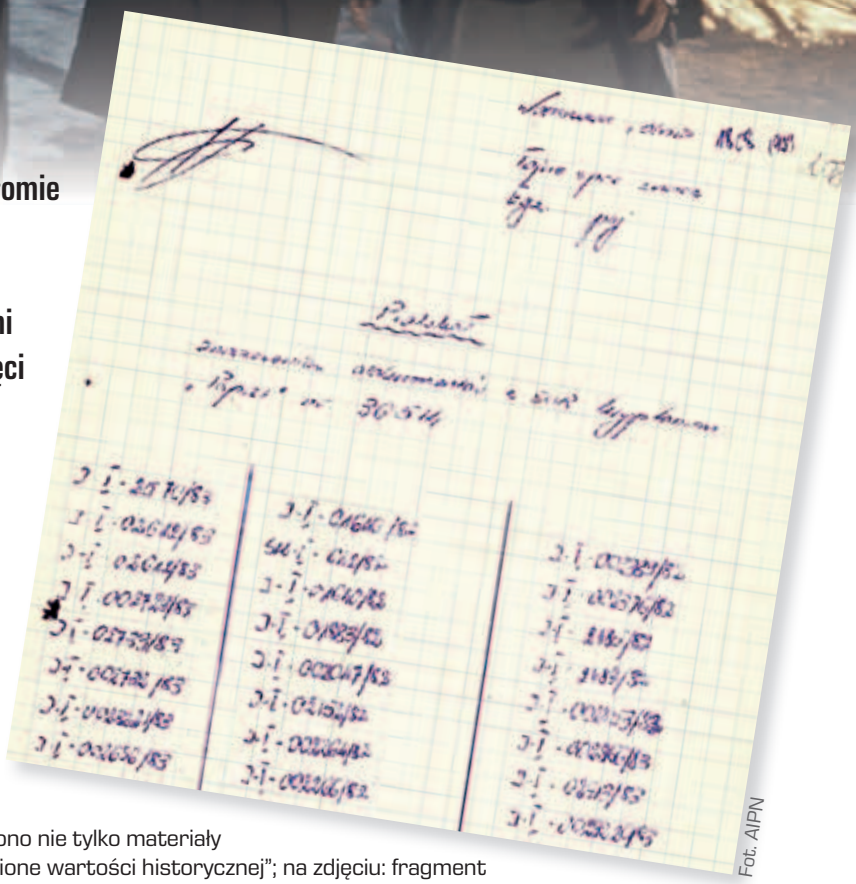

Fot. AIPN

Niszczono nie tylko materiały „pozbawione wartości historycznej"; na zdjęciu: fragment protokołu brakowania dokumentów inwigilacji ks. Jerzego Popiełuszki

Rok 1990, budynek Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, gabinet mjr. Walendy. „– Stopczyk, co wy tam palicie? – Ja? Radomskie... Ale jak pan major woli, to Franz ma camele" – odpowiada kpt. Tadeusz Stopczyk, były funkcjonariusz Służby Bezpieczeństwa, który po weryfikacji rozpoczął służbę w policji. „– Na wysypisku, co palicie po nocach? – A... takie tam szpargały... – Stopczyk… Panowie mówią, że akta palicie" – stwierdza Walenda, wskazując na przebywających w gabinecie przedstawicieli dawnej opozycji.

Przytoczona powyżej rozmowa pochodzi z kultowego filmu *Psy* w reżyserii Władysława Pasikowskiego (1992). Dialog jest, co prawda, wytworem scenarzysty filmu (był nim także Pasikowski), niemniej doskonale oddaje klimat wydarzeń związanych z niszczeniem na skalę przemysłową różnego rodzaju dokumentów wytworzonych i przechowywanych przez SB. Dokumentów, które – gdyby nie zostały wówczas zniszczone – znacznie poszerzyłyby naszą dzisiejszą wiedzę na temat rzeczywistego funkcjonowania komunistycznej policji politycznej.

Lista Dankowskiego

Głównymi przyczynami masowego niszczenia materiałów – zarówno będących w służbowym wykorzystaniu, jak i złożonych w archiwum, tj. w Biurze „C" MSW i wydziałach „C" wojewódzkich urzędów spraw wewnętrznych – były zmieniająca się po wyborach czerwcowych 1989 roku sytuacja społeczno-polityczna i reorganizacja resortu spraw wewnętrznych. W jej wyniku zlikwidowano komórki odpowiedzialne za rozpracowywanie opozycji politycznej, w tym m.in. departamenty III (działalność antypaństwowa), IV (Kościół katolicki) i V (sfera przemysłowa) oraz Biuro Studiów zajmujące się „operacyjną kontrolą" czołowych działaczy podziemia. Pretekst do niszczenia dało

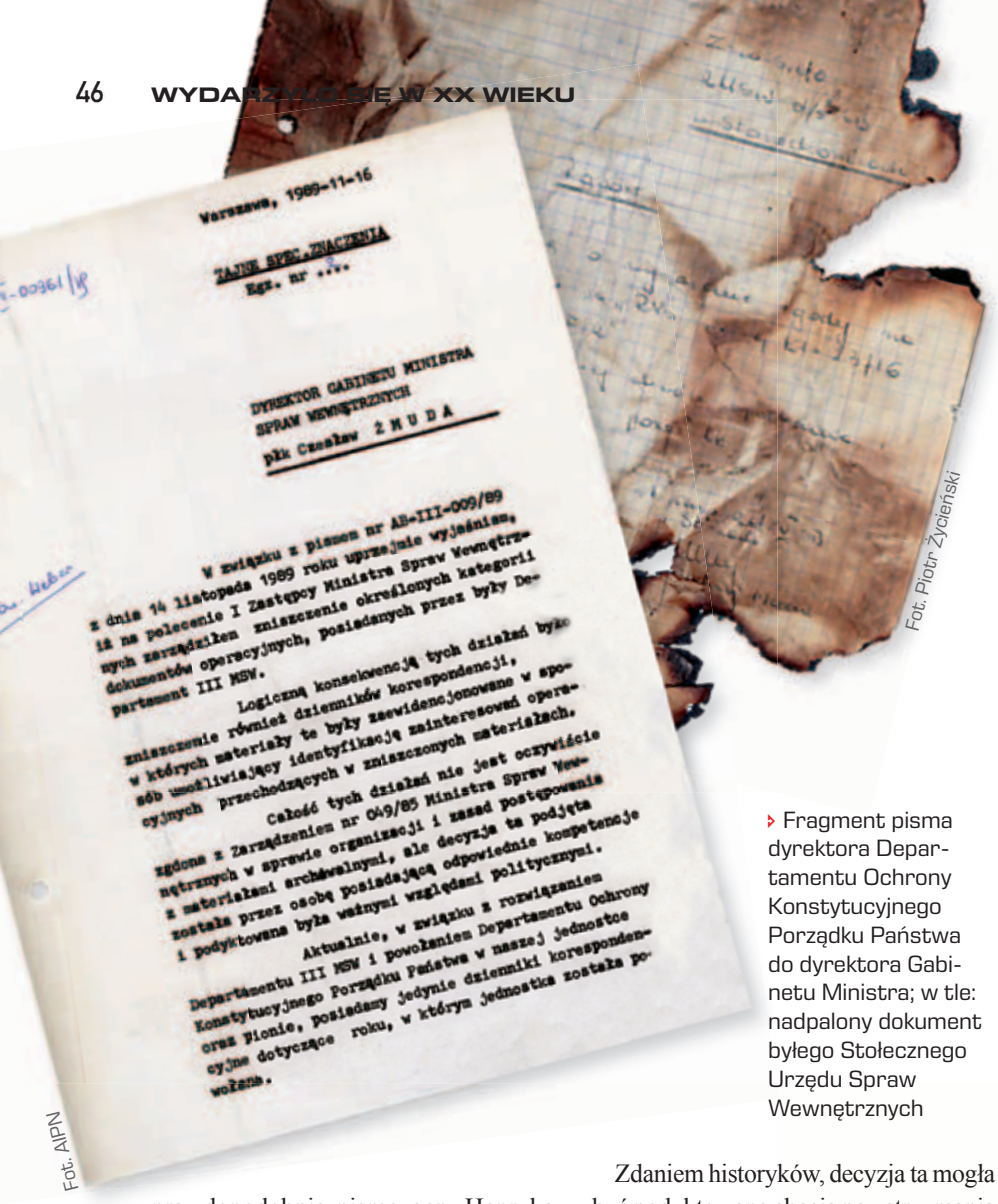
Warszawa, 1989-11-16

TAJNE SZCZ. ZNACZENIA
Egz. nr ...

DYREKTOR GABINETU MINISTRA
SPRAW WEWNĘTRZNYCH
płk Czesław Z M U D A

W związku z pismem nr AB-III-009/89 z dnia 14 listopada 1989 roku uprzejmie wyjaśniam, iż na polecenie I Zastępcy Ministra Spraw Wewnętrznych zarządziłem zniszczenie określonych kategorii dokumentów operacyjnych, posiadanych przez były Departament III MSW.

Logiczną konsekwencją tych działań było zniszczenie również dzienników korespondencji, w których materiały te były zewidencjonowane w sposób uwidaczniający identyfikację zainteresowed operacyjnych przechodzących w zniszczonych materiałach.

Całość tych działań nie jest oczywiście zgodna z Zarządzeniem nr 049/85 Ministra Spraw Wewnętrznych w sprawie organizacji i zasad postępowania z materiałami archiwalnymi, ale decyzja ta podjęta została przez osobę posiadającą odpowiednie kompetencje i podyktowana była ważnymi względami politycznymi.

Aktualnie, w związku z rozwiązaniem Departamentu III MSW i powołaniem Departamentu Ochrony Konstytucyjnego Porządku Państwa w naszej jednostce oraz Pionie, posiadamy jedynie dzienniki korespondencyjne dotyczące roku, w którym jednostka została powołana.

Fot. AIPN

Fragment pisma dyrektora Departamentu Ochrony Konstytucyjnego Porządku Państwa do dyrektora Gabinetu Ministra; w tle: nadpalony dokument byłego Stołecznego Urzędu Spraw Wewnętrznych

Fot. Piotr Życieński

prawdopodobnie pismo gen. Henryka Dankowskiego z 26 czerwca. Wiceminister spraw wewnętrznych nakazał w nim szefom wszystkich wojewódzkich urzędów spraw wewnętrznych sporządzenie charakterystyk nowo wybranych posłów i senatorów, którzy byli tajnymi współpracownikami bezpieki, a następnie wycofanie ich z ewidencji operacyjnej. „Zdjęcie z ewidencji nie powinno oczywiście oznaczać przerwania kontaktu operacyjnego. Przeciwnie, należy podejmować różnorodne działania, by osoby te były coraz silniej związane z nami, coraz bardziej dyspozycyjne w realizacji zadań” – podkreślał Dankowski.

Zdaniem historyków, decyzja ta mogła być podyktowana chęcią powstrzymania zapoczątkowanego obradami Okrągłego Stołu demontażu władzy komunistycznej, np. przez unieważnienie tzw. wyborów kontraktowych lub wprowadzenie stanu wyjątkowego. Dzięki zebranym w jednym miejscu informacjom można było np. wpływać na prace parlamentarzystów. Z czasem tzw. kartoteka 560 (od sumy liczby posłów i senatorów) została przeznaczona do zniszczenia. Wbrew powszechnie przyjętej opinii karty z tej kartoteki nie uległy jednak fizycznej likwidacji i obecnie część z nich znajduje się w zasobie archiwalnym IPN.

Bezwartościowa makulatura

Najważniejsze decyzje dotyczące niszczenia dokumentów zapadały w pierwszych powyborczych miesiącach. Podejmowało je kierownictwo na szczeblu centralnym MSW podczas kilku odbytych wówczas telekonferencji. Jedna z nich, z udziałem gen. Dankowskiego i gen. Zenona Trzcińskiego, komendanta głównego MO, odbyła się 31 lipca 1989 roku. Wiceminister podjął wówczas decyzję o zniszczeniu materiałów, które nie wchodziły w zakres nowo tworzonych jednostek organizacyjnych resortu. Wśród dokumentów przeznaczonych do likwidacji znalazły się zarówno akta dotyczące opozycji politycznej, w tym przede wszystkim Solidarności, jak i materiały związane z Kościołem katolickim i innymi związkami wyznaniowymi. Miały zostać zniszczone także materiały dotyczące organizacji społeczno-politycznych, stowarzyszeń i instytucji państwowych mających bezpośrednio związki z zadaniami SB, a także instytucji gospodarczych i zakładów pracy.

Niecałe trzy tygodnie później, 18 sierpnia, odbyła się kolejna telekonferencja, tym razem z udziałem gen. Zbigniewa Pudysza, dyrektora Biura Śledczego MSW. Dankowski powiedział wówczas: „W związku z powołaniem Nadzwyczajnej Komisji Sejmowej do zbadania działalności resortu spraw wewnętrznych należy dokonać analiz wydarzeń i spraw mogących być przedmiotem zainteresowania tej komisji za okres od wprowadzenia stanu wojennego. Informuję, iż Komisja interesować się może takimi zdarzeniami, które interpretowane będą jako stanowiące naruszenie przez funkcjonariuszy prawa w okresie stanu wojennego i późniejszym. Wszelkie materiały z tym związane nieprzydatne operacyjnie, procesowe czy z punktu widzenia poznawczego lub ocenno-analitycznego winny być zniszczone, zlikwidowane”. Podobne dyspozycje wydał gen. Tadeusz Szczygieł, dyrektor Departamentu IV MSW. Kropkę nad i postawił gen. Krzysztof Majchrowski, dyrektor Departamentu Ochrony Konstytucyjnego Porządku Państwa, który podczas telekonferencji odbytej 9 stycznia 1990 roku stwierdził: „Wszystkie osoby wykorzystywane przed 4 czerwca 1989 roku wyrejestrować, a materiały zniszczyć. Sprawy operacyjne poddać analizie tak, aby nie było dokumentów tajnych współpracowników”.

Fot. AIPN

Polecenia gen. Dankowskiego, gen. Szczygła i gen. Majchrowskiego zostały potraktowane przez szefów wojewódzkich urzędów spraw wewnętrznych jako rozkaz do rozpoczęcia akcji niszczenia dokumentów stojących na archiwalnych półkach, jak i znajdujących się w dyspozycji funkcjonariuszy pionów operacyjnych. Proceder ten trwał równolegle. Ustalenia z Warszawy przekazywano naczelnikom wydziałów „C" w formie ustnej – osobiście lub telefonicznie. Wszystkim przyświecał bowiem jeden cel – żadnych śladów na papierze. Także stenogramy z telekonferencji, na których zapadały decyzje o rozpoczęciu akcji niszczenia archiwaliów, miały zostać… zniszczone. Na szczęście zachowały się dokumenty (notatki służbowe, stenogramy z odbytych spotkań i telekonferencji, adnotacje w materiałach archiwalnych), które rzucają nieco światła na ten proces, za którym nie stały żadne oficjalne wytyczne ani przepisy.

Dezyderat nr 1

Mimo że bezpieka dokładała wszelkich starań, by fakt niszczenia dokumentów nie ujrzał światła dziennego, opinia publiczna poznała prawdę w grudniu 1989 roku. W Konstancinie-Jeziornie koło Warszawy odnaleziono wówczas mocno podniszczone materiały operacyjne Departamentu IV. Doniesieniami prasowymi zainteresowała się Sejmowa Nadzwyczajna Komisja do Zbadania Działalności MSW, na której czele stał Jan Rokita, poseł Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego. 19 stycznia 1990 roku komisja uchwaliła słynny dezyderat nr 1, nakazujący szefowi MSW, gen. Czesławowi Kiszczakowi, bezzwłoczne zbadanie sprawy. Stawiała przy tym ministrowi spraw wewnętrznych wiele pytań: „1. czy wydany został rozkaz niszczenia tych dokumentów, a jeżeli tak, to kto go wydał?; 2. czy rozkaz ten został wydany po powstaniu Sejmowej Komisji Nadzwyczajnej?; 3. jakie powody skłoniły resort spraw wewnętrznych do niszczenia akt operacyjnych?; 4. kiedy dokładnie i jakie akta poddano zniszczeniu?; 5. czy niszczenie akt operacyjnych MSW jest nadal kontynuowane?".

Odpowiedzią MSW na zarzuty była konferencja prasowa zorganizowana 30 stycznia. Na pytania dziennikarzy odpowiadali płk Kazimierz Piotrowski, dyrektor Biura „C", występujący wówczas jako dyrektor Centralnego Archiwum MSW, a także jego zastępca, płk Janusz Czubacki, i płk Zbigniew Jabłoński, pełniący funkcję zastępcy szefa Służby Zabezpieczenia Operacyjnego. Piotrowski poinformował dziennikarzy, że brakowanie (czyli likwidowanie według procedur) dokumentów jest związane z reorganizacją aparatu bezpieczeństwa i odbywa się zgodnie z obowiązującymi przepisami. Powoływał się przy tym na wydane w lipcu 1985 roku zarządzenie gen. Czesława Kiszczaka, według którego materiały przechowywane krócej niż 5 lat mogły być likwidowane przez komórki organizacyjne SB „we własnym zakresie". Zapewniał, że niszczeniu podlegają wyłącznie dokumenty pozbawione wartości historycznej, oraz że „robi wszystko, co można, aby zachować cenne materiały". Na pytanie dziennikarzy, kto decyduje o wartości historycznej dokumentów, padła odpowiedź, że ich wytwórcy, czyli… esbecy. Tłumaczenia płk. Piotrowskiego w żaden sposób nie przekonały zgromadzonych, czemu dali wyraz na łamach swoich pism. Słowa płk. Piotrowskiego potwierdził niebawem gen. Pudysz w piśmie do prokuratora generalnego MSW Józefa Żyty z 22 lutego 1990 roku, w którym stwierdził, że „brakowaniu podlegają wszystkie akta operacyjne posiadające czasowe praktyczne znaczenie oraz dokumentacja pomocnicza posiadająca krótkotrwałe znaczenie praktyczne. Brakowanie może nastąpić po upływie ustalonych na mocy cytowanego zarządzenia okresów przechowywania".

Fot. Jerzy Sieradzki

Akta zmielone...

... i spalone

Fot. Piotr Życieński

Dzień po konferencji Piotrowskiego gen. Kiszczak wydał oficjalny zakaz niszczenia dokumentów: „W związku z pojawiającymi się w środkach masowego przekazu licznymi zarzutami, jakoby w resorcie spraw wewnętrznych likwidowane były różnego rodzaju materiały służbowe, zabraniam – aż do odwołania – niszczenia wszelkich roboczych, operacyjnych i archiwalnych dokumentów". Czy zahamowało to przestępczy proceder? Nie, o czym mogą świadczyć wnioski Komisji ds. Zbiorów Archiwalnych MSW z kwietnia 1990 roku: „Komisja zwraca uwagę na bezwzględną konieczność przestrzegania wydanego rozkazu przez Ministra Spraw Wewnętrznych w dn. 31 stycznia 1990 roku w sprawie zakazu niszczenia wszelkich dokumentów, w tym również fonoteki i fototeki,

Fot. Wojciech Czaplicki

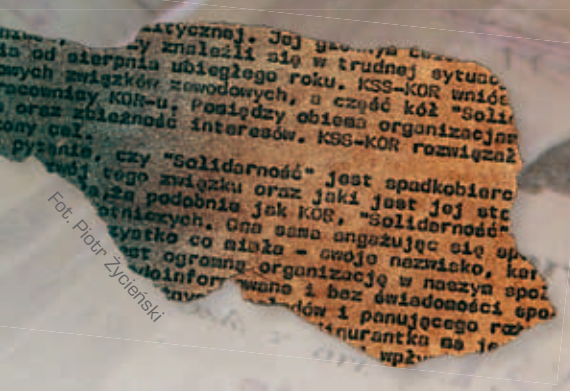
Fot. Piotr Życieński

zarówno znajdujących się we wszystkich jednostkach strukturalnych, jak i przekazanych do archiwów. Oznacza to również, że aż do odwołania nie przeprowadza się brakowania akt, niezależnie od ich zakwalifikowania przewidzianego wykazem według okresu ich przechowywania".

Żadnej odpowiedzialności

Do dziś nie wiadomo dokładnie, ile dokumentów SB puszczono z dymem. Wśród bezpowrotnie utraconych materiałów znalazły się nie tylko akta, lecz także różnego rodzaju pomoce ewidencyjne, w tym dzienniki rejestracyjne i inwentarze archiwalne oraz kartoteki. W Gdańsku np. zniszczono ponad 90 proc. zasobu archiwalnego, w Łodzi około 70 proc., w tym przede wszystkim teczki agenturalne, spraw operacyjnych i śledczych. Z uwagi na ogrom materiału przeznaczonego do zniszczenia, dokumenty palono m.in. w Warszawskich Zakładach Papierniczych w Konstancinie-Jeziornie, podpoznańskiej Fabryce Papieru w Czerwonaku czy w Zakładach Celulozy i Papieru w Świeciu. Wiele spłonęło w kotłowniach wojewódzkich i rejonowych urzędów spraw wewnętrznych. Ale nie tylko palono, lecz także wyrywano karty z akt, przedzierano karty kartoteczne, zamazywano zapisy w pomocach ewidencyjnych, usuwano rekordy w systemach elektronicznych oraz… pozbywano się z resortowych bibliotek literatury, która mogła zdradzać bezpieczniackie zainteresowania i metody pracy operacyjnej. Ponadto część materiałów – trudno powiedzieć, jak znaczna – została „sprywatyzowana", stając się narzędziem nacisku w rękach ludzi związanych z byłymi służbami. Aby zachować pozory legalności tego bezprawnego procederu, tworzono fałszywe protokoły brakowania.

Część dokumentów przeznaczonych do zniszczenia udało się jednak uratować. Na przykład w 1994 roku z worków ewakuacyjnych, w których odnaleziono przeznaczone do likwidacji karty kartoteczne, utworzono na mocy decyzji gen. Gromosława Czempińskiego, szefa Urzędu Ochrony Państwa, tzw. kartotekę odtworzeniową (zniszczeniową) Biura „C" MSW, która razem z Centralną Kartoteką Ogólnoinformacyjną Biura „C" MSW stanowi trzon zasobu kartotecznego znajdującego się w dyspozycji pionu archiwalnego IPN. Wszystkie uratowane od zniszczenia materiały stanowią dziś nieocenione źródło do poznania działalności komunistycznej policji politycznej.

Prowadzone od początku lat dziewięćdziesiątych przez organa ścigania i wymiaru sprawiedliwości postępowania przeciwko byłym funkcjonariuszom SB, oskarżonym o niszczenie dokumentów cywilnych organów bezpieczeństwa Polski Ludowej w sposób niezgodny z obowiązującymi wówczas przepisami, w większości przypadków były umarzane z powodu przedawnienia lub znikomej szkodliwości społecznej czynu. W ten sposób odpowiedzialności karnej uniknęli nie tylko główni architekci tego procederu, lecz także osoby, które w sposób bezpośredni przyczyniły się do fizycznej likwidacji dokumentów. Konsekwencji uniknęli m.in. gen. Czesław Kiszczak, gen. Henryk Dankowski, gen. Tadeusz Szczygieł, gen. Krzysztof Majchrowski czy płk Kazimierz Piotrowski, a także kierownictwo SB szczebla wojewódzkiego, które karnie wykonywało rozkazy swoich przełożonych z Warszawy, a niekiedy z własnej inicjatywy podejmowało decyzje o niszczeniu. Jakby tego było mało, część byłych funkcjonariuszy bezpieki, zaangażowanych w niszczenie akt, po transformacji ustrojowej rozpoczęła pracę w UOP lub w policji, gdyż… pozytywnie przeszła przez komisje weryfikacyjne.

Czy to film?

Rok 1990, wysypisko śmieci. Esbecy wyjmują z ciężarówek teczki, po czym wrzucają je do wielkiego ogniska. Całemu zdarzeniu przygląda się z ukrycia młody policjant, ppor. Waldemar Morawiec. Niebawem jednak wokół niego pojawia się kilku funkcjonariuszy, którzy grożą mu zabiciem, jeśli ujawni to, co właśnie zobaczył. Jeden z nich krzyczy do Morawca: „Co ty myślisz?! Że to są żarty, że to jest jakaś gra o stołki?! Co?! Tu idzie o życie, rozumiesz?! Ile ty masz lat?! Co ty chcesz zrobić!? Zagazować 50 tysięcy agentów i informatorów, tak?! O to ci chodzi?! Jak dorośniesz, to zrozumiesz, że polityka to nie jest Dziennik Telewizyjny! Polityka to jesteśmy my! Tu, na tym wysypisku śmieci! Albo stąd uda nam się wyjść, albo tu zostaniemy na zawsze!".

Ktoś może powiedzieć, że to tylko filmowa fikcja, a niszczenie dokumentów, nie tylko cywilnych organów bezpieczeństwa „ludowego" państwa, lecz także wojskowych oraz partyjnych, odbywało się zgodnie z obowiązującymi wówczas przepisami. Nic bardziej mylnego. Wystarczy wsłuchać się w słowa Krzysztofa Kozłowskiego, wiceministra (a później ministra) spraw wewnętrznych w rządzie Tadeusza Mazowieckiego. W wywiadzie udzielonym „Gazecie Wyborczej" w kwietniu 1990 roku Kozłowski powiedział: „Jest dla mnie rzeczą oczywistą, bo są na to dowody w kartotekach, że istnieje grupa ludzi – nie chcę określać jej wielkości – która została złamana przez resort i upodlona. Gdyby ludzie ci przez publiczne ujawnienie ich kontaktów z SB po raz drugi zostali rzuceni na dno, skończyłoby się to falą samobójstw. […] Szczególnym problemem są teczki operacyjne oraz kartoteki. […] Należy oddzielić te materiały od innych dokumentów, które mają rzeczywistą wartość historyczną". Wbrew temu, co twierdził wiceminister pierwszego od dziesięcioleci niekomunistycznego rządu, funkcjonariusze SB niszczyli przede wszystkim najwartościowsze materiały, w tym teczki najcenniejszej agentury, oraz te dokumenty, które mówiły o faktycznej działalności służb peerelowskich.

dr Mariusz Żuławnik – historyk, naczelnik Wydziału Informacji i Sprawdzeń w Biurze Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN

W Polskę idziemy, czyli wymiana w Tomaszowie

Jan Oleński

Zanim nastały ogólnopolskie kartki na alkohol, poszczególne miejscowości lub województwa – w odpowiedzi na lokalne niedobory wódki – wprowadzały reglamentację na własną rękę.

Latem 1981 roku spędzałem z rodziną wakacje na wsi, niedaleko Tomaszowa Mazowieckiego. Przed wyjazdem zadzwoniłem do krewnych mieszkających w tym mieście, których chcieliśmy przy okazji odwiedzić. Podczas rozmowy dowiedziałem się, że tamtejsze władze wprowadziły ograniczenia w sprzedaży wódki, którą można było kupić wyłącznie na talony. Zaproponowałem więc, że zakupię pół litra wybranego gatunku tego trunku w Warszawie, gdzie żadnych ograniczeń w sprzedaży nie było, a podczas planowanego spotkania wymienię go na bon do mojej kolekcji. Zaopatrzony w półlitrową butelkę czystej pojechałem na wieś i spędzałem tam przyjemnie czas, pomagając co nieco przy żniwach. Pewnego dnia przyjechali znajomi gospodarzy, a gdy rozmowa zeszła na moje hobby, jeden z gości pokazał mi niewykorzystany jeszcze talon na wódkę z Radomska. W tym momencie uświadomiłem sobie, jak wielki błąd popełniłem, biorąc ze sobą tylko jedną butelkę wódki! Oczywiście, nie było mowy o odkupieniu talonu z Radomska, stanąłem więc przed dylematem: czy poświęcić moją jedyną butelkę, czy zatrzymać ją dla krewnych z Tomaszowa. Zwyciężyło poczucie obowiązku dotrzymania danego słowa i cennej butelki się nie pozbyłem, czym wielce zasmuciłem gości z Radomska, którzy mieli nadzieję na polepszenie nastroju konwersacji.

Gdy wreszcie dotarliśmy do krewnych w Tomaszowie, od razu dopełniliśmy umowy i upragniony talon trafił w końcu do moich rąk. Przy okazji dostałem w prezencie częściowo wykorzystaną kartkę na papierosy. Niestety, nic nie wiedziałem o reglamentacji papierosów, bo mógłbym przywieźć ze sobą kilka paczek i dostać w zamian do kolekcji całą taką kartkę zamiast wyciętej. Bonu na wódkę z Radomska nigdy już później nie udało mi się zdobyć.

Masowy wykup po podwyżkach

Sytuacja, w której się znalazłem, wynikała z tego, że w drugim kwartale 1981 roku w wielu częściach kraju dały się zaobserwować braki zaopatrzenia w alkohol. Przyczyną był spadek produkcji, spowodowany bardzo niskimi zbiorami ziemniaków w poprzednim roku. Władze próbowały ograniczyć popyt, ogłaszając 17 marca podwyżki cen (średnio o 50 proc.) wyrobów spirytusowych. Jednak ludzie, spodziewając się dalszych podwyżek, zaczęli wykupywać alkohol. Przed sklepami monopolowymi tworzyły się niewidziane tam od dawna kolejki. Na oryginalny sposób usprawnienia takiej kolejki wpadło dwóch mieszkańców Szczecina, którzy sprzedawali numerowane kartki do kolejki po wódkę, żądając za nie po 50 zł. Inicjatywa ta nie

Fot. ze zbiorów autora

Fot. Sylwia Szafrańska

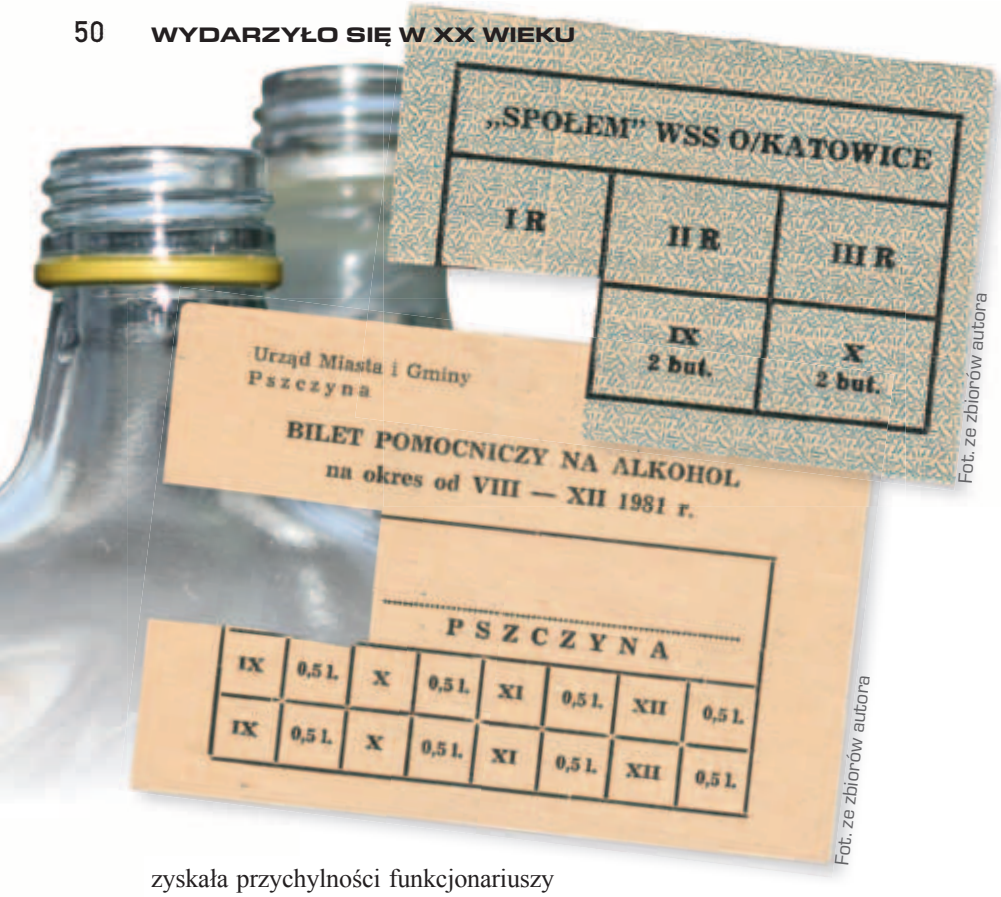

Fot. ze zbiorów autora

zyskała przychylności funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej, którzy obydwu „racjonalizatorów" aresztowali. W tym czasie zdarzały się już odosobnione przypadki reglamentacji alkoholu. Palma pierwszeństwa w tej dziedzinie należy się niewątpliwie Radzie Narodowej Miasta i Gminy Głuchołazy, gdzie wprowadzono już w kwietniu specjalne kartki, dające obywatelom prawo zakupu po 1 litrze wódki (!) z możliwością zamiany na kawę lub słodycze, o czym informowała Polska Agencja Prasowa. „Wodą ognistą" mogły się raczyć w Głuchołazach wyłącznie osoby zatrudnione, mające w dodatku nie mniej niż 21 lat.

W lipcu trudności w zakupie alkoholu dotknęły nawet stolicę górniczego Śląska – Katowice – gdzie „władza ludowa" zawsze starała się zapewnić jak najlepsze zaopatrzenie. Prasa donosiła, że 7 lipca kilka tysięcy ludzi stało w kolejce po wódkę przez pięć, sześć godzin, aż do 12.00, kiedy to ogłoszono, że dostawy tego dnia nie będzie. Przyczyną tak dużego zainteresowania tym towarem była podobno plotka głosząca, że podczas zbliżającego się IX Zjazdu PZPR, czyli od 14 do 20 lipca, wódka ma zostać wycofana ze sprzedaży. Być może społeczeństwo obawiało się, że władze będą chciały tonować świąteczną atmosferę tego ważnego wydarzenia, i postanowiło się zawczasu zabezpieczyć. Tak czy owak, włodarze potężnego Górnego Śląska nie wykazali się podobną dalekowzrocznością jak władze Tomaszowa i Radomska i nie wprowadzili na czas reglamentacji alkoholu. Opisane bony na lipiec z Tomaszowa i Radomska należały do najwcześniej wydanych.

Druga połowa 1981 roku była w całym kraju okresem niedoboru nie tylko alkoholu, lecz także wyrobów tytoniowych. Z problemem tym próbowały radzić sobie władze wielu miast, wydając bony i kartki na alkohol i papierosy. Najczęściej były to kartki obowiązujące w całym województwie, lecz bardzo wiele z nich ograniczało się tylko do jednej miejscowości. Decyzje o ich wprowadzeniu podejmowano w odpowiedzi na aktualne braki w zaopatrzeniu.

W województwie katowickim pierwsze kartki na alkohol pojawiły się w sierpniu 1981 roku (w niektórych miastach tego województwa reglamentację wprowadzono już w lipcu). Miasta i gminy wydawały tam własne kartki. Brak jednolitych zasad powodował ogromne zamieszanie. Prasa pisała: „Urzędy i administracja oblężone są już od wczesnych godzin rannych zwłaszcza przez emerytów i rencistów, którzy przychodzą po należne im przydziały. I tutaj kolejna wątpliwość – czy osoby w podeszłym wieku, a także kobiety ciężarne, również powinny otrzymywać przydziałowe dwie butelki alkoholu? Kontrowersje wzbudzają zwłaszcza przyszłe matki, które głośno dopominają się o alkohol". Paradoksy te nie wynikały oczywiście z nieodpartej chęci emerytów i kobiet ciężarnych do zalania się w pestkę, lecz z tego, że – tak jak w czasach II wojny światowej – alkohol zaczynał odgrywać rolę twardej waluty, za którą wiele można było załatwić, np. zakupić w innych sklepach różne poszukiwane towary. Władze uznały, że mieszkańcy Śląska mają w tej materii potrzeby większe niż pozostali obywatele PRL, i przyznały im

Fot. ze zbiorów autora

miesięcznie po dwie butelki alkoholu, a nie po jednej, jak w innych województwach.

W sierpniu w Katowicach kartki na alkohol były sygnowane przez WSS „Społem", w innych miejscowościach – przez urzędy administracji lokalnej, ale najczęściej kartki nie zawierały żadnych informacji o wydawcy. Ciekawostką była kartka na alkohol z Rudy Śląskiej, którą projektanci przyozdobili w budujący napis: „Nie chcesz nie pij. Nie musisz nie kupuj", kojarzący się bardzo z tekstem popularnej w tym czasie piosenki *Wars wita was* zespołu Wały Jagiellońskie: „Piłeś – nie jedź. Nie piłeś – wypij".

Od września do grudnia 1981 roku kartki na alkohol i papierosy objęły już cały kraj i były z zasady jednakowe w całym województwie. Zastąpiły one dziesiątki kartek miejskich i gminnych na Śląsku. Zakłady Państwowego Przedsiębiorstwa Przemysłu Spirytusowego „Polmos" pracowały już pełną parą, wytwarzając wreszcie wystarczającą ilość alkoholu, by zaspokoić wzmożone potrzeby społeczeństwa, aż… w pewnym momencie zabrakło butelek. W Katowicach, w połowie września, już po wprowadzeniu nowych kartek, alkohol sprzedawano tylko tym klientom, którzy przynieśli puste butelki na wymianę.

W Warszawie kartki na alkohol wprowadzono we wrześniu 1981 roku, choć reglamentowaną sprzedaż wódki na odcinek rezerwowy R-2 kartek na mięso rozpoczęto 13 sierpnia. Dlatego w lipcu mogłem jeszcze zakupić bez problemu butelkę dla krewnych w Tomaszowie. Kartka warszawska miała kupony oznaczone literą A na jedną półlitrową butelkę wódki z teoretyczną możliwością jej zamiany na butelkę wina gronowego, szampana lub koniaku albo dwie butelki wina krajowego, zwanego potocznie „jabolem" lub „bełtem". Dla zdeklarowanych abstynentów władze stolicy miały

Fot. ze zbiorów autora

propozycję zamiany należnej butelki na 200 g kawy lub kakao, albo 0,5 kg wyrobów czekoladowych. Kartka miała także oznaczone literą T kupony na papierosy – po cztery w miesiącu, każdy uprawniający do zakupu trzech paczek papierosów, oraz kupony zapasowe oznaczone literą Z, na które spodziewaliśmy się przydziałów zapałek, a które ostatecznie pozostały niewykorzystane. W poddruku kartki był słabo widoczny pomnik Syreny, który znikał w miarę wycinania kolejnych kuponów.

Życie przerasta kabaret

Warto przypomnieć, że w tych trudnych czasach Polacy mieli możliwości legalnego nabycia sporych przydziałów alkoholu na specjalne okazje, jak na przykład zorganizowanie wesela. Ilość przyznawanego alkoholu zależała od władz lokalnych i wynosiła zwykle dwadzieścia, trzydzieści butelek, które można było zakupić na podstawie zaświadczenia wydanego przez właściwy urząd stanu cywilnego. Jak donosiła prasa, po wykupieniu wódki wiele par zapominało zgłosić się na własny ślub! W jednej z dzielnic Łodzi w pewną wolną sobotę były to nawet dwie trzecie par. Drugą wyjątkową okazją były narodziny dziecka. Tu przydziały były znacznie skromniejsze (np. w Stargardzie Szczecińskim tylko pięć butelek) i nie stwarzały dużego pola do nadużyć.

„Jakby nam kiedyś tego zabrakło – nie, nie zabraknie!". Tak brzmiały ostatnie słowa piosenki *W Polskę idziemy* Wojciecha Młynarskiego, śpiewanej przez Wiesława Gołasa w kabarecie „Dudek". Po kilku latach okazało się, że życie przerosło kabaret i nawet „tego" w PRL mogło zabraknąć. W końcu 1981 roku Ministerstwo Handlu Wewnętrznego i Usług (MHWiU) postanowiło wreszcie uporządkować handel napojami wyskokowymi, wprowadzając w styczniu 1982 roku nowe, ogólnopolskie kartki PII i PIII, na których pojawiły się upragnione kupony na jedną butelkę alkoholu. Tylko górnicy pozostali przy swoich kuponach alkoholowych, które już od listopada 1981 roku otrzymywali na kartkach mięsnych. Czas na uporządkowanie zasad sprzedaży alkoholu był bardzo odpowiedni, ponieważ właśnie wprowadzono w Polsce stan wojenny i przydział popularnego „półliterka" miał – być może – uprzyjemnić obywatelom PRL przejście przez ➤

Fot. ze zbiorów autora

niedogodności tego trudnego okresu. Niepijącym zapewniono inne atrakcje. Mogli zamiast butelki alkoholu zakupić 100 g kawy lub 0,5 kg cukierków, czyli tak samo jak w poprzednim miesiącu na kartki lokalne. Warto wspomnieć, że tradycyjne polskie specjały, takie jak miody pitne czy wspomniane już wina krajowe, można było zakupić bez narażenia się na wycięcie kuponu z kartki.

Z ograniczeń w konsumpcji alkoholu wyraźnie wyłamywali się goście lokali gastronomicznych z tzw. wyszynkiem, którzy teoretycznie mogliby konsumować znacznie większe ilości reglamentowanego alkoholu, dopłacając jedynie marżę. W trosce o dobro zwykłych obywateli, których nie było stać na chodzenie do restauracji, wydano w Warszawie przepis, w myśl którego restauracja mogła dziennie sprzedać alkohol do kwoty stanowiącej 5 proc. dziennego utargu. Dylematy, do którego stolika należy podać butelkę alkoholu, z pewnością rozwiązywali kelnerzy z korzyścią dla swojego portfela. Urzędnicy miejscy zreflektowali się dopiero 22 marca 1982 roku, zwiększając udział sprzedaży alkoholu w dziennym utargu restauracji do 50 proc.

Także zbliżające się święta Wielkiej Nocy stały się okazją do wykazania się przez MHWiU troską o los zwykłego obywatela. Wszyscy właściciele kuponów na alkohol mogli z okazji świąt zakupić od 1 kwietnia 1982 roku nie jedną, lecz aż dwie butelki cennego płynu z możliwością zamiany na odpowiednią ilość kawy lub cukierków.

Bimber obniża ceny

Jak można się było łatwo domyślić, reglamentacja napojów alkoholowych napędzała gwałtowny wzrost nielegalnej produkcji samogonu i w połowie 1982 roku władze zdecydowały się na częściowe uwolnienie cen. 5 lipca zaczęły obowiązywać nowe zasady sprzedaży, w myśl których na kartki można było kupić wyłącznie wybrane gatunki wódek. Były to takie specjały jak: Baltic Vodka, jarzębiak, klubowa specjalna, soplica, staropolska, starowin lubuski, winiak klubowy, różne rodzaje ratafii i śliwówka słodka. Pozostałe gatunki można było kupić bez kartek, ale po wyższych o ok. 40 proc. cenach. W lokalach gastronomicznych można było podawać wyłącznie wódki „bezkartkowe". Możliwe, że lista wódek na kartki z czasem się wydłużyła, bo w następnym komunikacie MHWiU napisano oględnie, że „nadal też niektóre gatunki alkoholu dostępne będą bez kartek". Jak pokazały badania Instytutu Handlu Wewnętrznego i Usług (opublikowane w listopadzie 1982 roku), alkohol „kartkowy" wykupywało 76,5 proc. badanych, podczas gdy mięso tylko 73 proc., a produkty zbożowe tylko 65,7 proc. Ciekawe, że rozpoczęcie sprzedaży bez kartek najpopularniejszych gatunków wódki nie miało żadnego wpływu na ceny czarnorynkowe. W tym czasie „władza ludowa" kompletnie nie radziła sobie z handlarzami alkoholem. Komenda Główna MO przyznała, że „nielegalny handel alkoholem stanowi 55,3 proc. wszystkich ujawnianych przestępstw spekulacyjnych w I półroczu br.". A tydzień po podwyżce cen popularnych gatunków alkoholu „Życie Warszawy" informowało czytelników otwartym tekstem o sytuacji na bazarach, gdzie oferowano „pół litra gorzałki po 800 zł, cenie ustabilizowanej od kilku miesięcy". Jak to określił jeden z wiceministrów, operacja podwyżki cen alkoholu stanowiła „próbę zbliżenia się do ceny równowagi". Być może ceny te zbliżyły się, ale czarnego rynku nie zlikwidowano, obywatele nadal kupowali wódkę na kartki, odczuwając tylko wzrost cen.

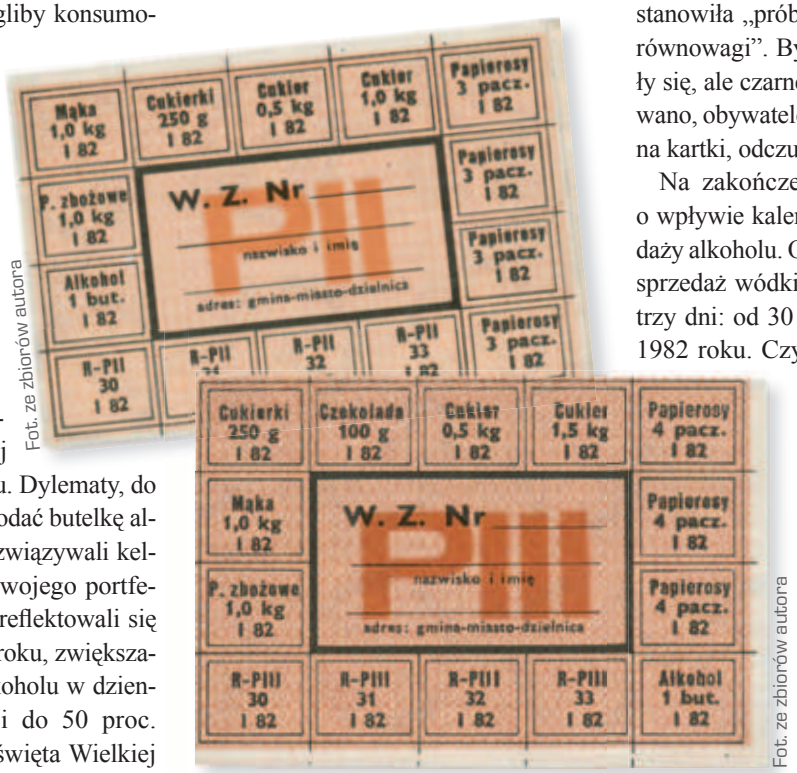

Fot. ze zbiorów autora

Pierwsze ogólnopolskie kartki PII i PIII z kuponami na alkohol, styczeń 1982 roku

Na zakończenie warto wspomnieć o wpływie kalendarza na zasady sprzedaży alkoholu. Otóż niereglamentowana sprzedaż wódki została zawieszona na trzy dni: od 30 sierpnia do 1 września 1982 roku. Czyżby władze stanu wojennego przewidywały, że zbyt wielu Polaków będzie chciało uczcić drugą rocznicę podpisania porozumień sierpniowych? Również decyzja o zniesieniu reglamentowanej sprzedaży alkoholu nie wydaje się przypadkowa. W komunikacie MHWiU z 16 marca 1983 roku czytamy: „Od 21 marca odchodzimy od żądania kartki przy zakupie alkoholu". Podobnie jak rok wcześniej, decydenci uznali, że do świętowania społeczeństwo potrzebuje alkoholu, a przecież Wielkanoc to dla Polaków jedno z najważniejszych świąt w roku. Tak oto zakończyła się dziwna epoka deficytu tego, czego w PRL nigdy nie miało zabraknąć. Kupony na alkohol wydrukowane na kartkach za kwiecień i maj 1983 roku służyły już tylko ich ozdobie.

Jan Oleński – kolekcjoner dokumentów reglamentacji, autor m.in. katalogu *Ogólnopolskie kartki zaopatrzeniowe z lat 1976–1989* (2010)

Fot. ze zbiorów autora

Potem nastąpi cisza

Jerzy Eisler

Fot. Filmoteka Narodowa

Nakręcone z ogromnym rozmachem sceny batalistyczne to jeden z największych atutów filmu

Walki 2. Armii Wojska Polskiego pod Dreznem i Budziszynem, choć należały do najkrwawszych, nie znalazły należnego miejsca w panteonie narodowym. Tym cenniejszy jest opowiadający o bitwie pod Dreznem film Janusza Morgensterna.

Niejeden czytelnik – zaznajamiający się z moimi rozważaniami na temat kolejnych polskich filmów – może być zaskoczony, gdy zorientuje się, że wbrew potocznym, stereotypowym wyobrażeniom, wśród zrealizowanych w PRL obrazów wojennych wcale nie dominowały te opowiadające o zwycięskich walkach 1. i 2. Armii Wojska Polskiego w latach 1943–1945. Mimo że różni partyjni dygnitarze wielokrotnie nawoływali do podejmowania tej właśnie problematyki, to jednak różne ideologiczne i cenzuralne ograniczenia powodowały, że do połowy lat sześćdziesiątych dzieła tego typu powstawały dość rzadko. Znamiennym przykładem może być bitwa pod Lenino. Wielokrotnie o film ukazujący prawdę o tej bitwie (oczywiście „prawdę" w rozumieniu komunistycznym) upominali się działacze partyjno-państwowi; niejednokrotnie apelowali też o to do twórców kombatanci.

W pierwszym powojennym dwudziestoleciu – o ile nie liczyć komedii *Gdzie jest generał* i kilku filmów, w których działania polskich jednostek walczących u boku Armii Czerwonej stanowiły zaledwie tło dla podejmowanych przez twórców kwestii moralnych, politycznych czy po prostu ludzkich – do kin trafiły w zasadzie tylko dwa filmy opowiadające o walkach w ostatnich dniach i tygodniach II wojny światowej. Były to *Godziny nadziei*, zrealizowane w 1955 roku przez Jana Rybkowskiego, oraz opowiadający o walkach 2. Armii pod Dreznem i Budziszynem w kwietniu 1945 roku obraz Janusza Morgensterna *Potem nastąpi cisza*, który miał uroczystą premierę 17 stycznia 1966 roku.

Prawdziwy przełom pod tym względem dokonał się bowiem dopiero w drugiej połowie lat sześćdziesiątych, gdy coraz głośniej publicznie zaczęło się wypowiadać środowisko kombatanckie, skupione w monopolistycznej organizacji zrzeszającej weteranów – Związku Bojowników o Wolność i Demokrację. Ich sojusznikiem i swoistym patronem był cieszący się coraz większymi wpływami politycznymi w komunistycznym establishmencie prezes ZBoWiD i zarazem minister spraw wewnętrznych – gen. Mieczysław Moczar, a rzecznikami – popularni pisarze w mundurach: pułkownicy Janusz Przymanowski i Zbigniew Załuski. Według książki autorstwa tego pierwszego został zresztą wówczas zrealizowany jeden z najpopularniejszych do dziś polskich seriali telewizyjnych *Czterej pancerni i pies*. W drugiej połowie lat sześćdziesiątych, wychodząc naprzeciw tym wszystkim licznym głosom upominającym się o filmy ukazujące „wkład Polski w zwycięstwo nad niemieckim faszyzmem", z ogromnym rozmachem inscenizacyjnym zrealizowano takie obrazy jak *Kierunek Berlin* i *Ostatnie dni* Jerzego Passendorfera oraz *Jarzębina czerwona* Ewy i Czesława Petelskich, a w roku 1970 – dwuczęściowy *Album polski* Jana Rybkowskiego.

Fot. Filmoteka Narodowa

Tadeusz Łomnicki brawurowo zagrał mjr. Świętowca, dowódcę oddziału 2. Armii WP

Historia pewnej dezercji

Jednakże prekursorem w tej dziedzinie był niewątpliwie Janusz Morgenstern ze swoim filmem *Potem nastąpi cisza*. Wypada w tym miejscu przypomnieć, że w latach sześćdziesiątych moczarowcy coraz głośniej prawili o tym, że polska krew przelana na wszystkich frontach II wojny światowej miała taką samą wartość. Oczywiście, było to wtedy i jest nadal prawdą. Jednak działania propagandowe koncentrowały się głównie na dokonaniach bojowych Gwardii i Armii Ludowej oraz szlaku bojowym 1. Armii WP. Skutkiem ubocznym takiego stanu rzeczy było to, że niezwykle krwawe (4,9 tys. poległych, 2,8 tys. zaginionych oraz ponad 10,5 tys. rannych polskich żołnierzy) walki 2. Armii pod Dreznem i Budziszynem nie znalazły odpowiadającego randze tej bitwy miejsca w narodowym panteonie, a przecież była to największa bitwa z udziałem polskich żołnierzy po wrześniu 1939 roku. Wystarczy powiedzieć, że zginęło ich w niej więcej, niż poległo łącznie w Narwiku, Tobruku, pod Lenino, Monte Cassino i w Arnhem. Samo więc to, że Janusz Morgenstern wraz ze współscenarzystą Zbigniewem Safjanem, który zresztą w latach 1944–1945 był oficerem 2. Armii, akcję filmu umiejscowili właśnie w czasie bitwy pod Dreznem, było znakomitym posunięciem.

Ale *Potem nastąpi cisza* w rzeczywistości rozgrywa się na dwóch, wielokrotnie przecinających się, płaszczyznach czasowych. Narracja dotycząca walk pod Dreznem jest bowiem przerywana licznymi retrospekcjami kolejnych *dramatis personae*. Widz stopniowo poznaje historię, która rozegrała się jesienią 1944 roku w jednym z miast Lubelszczyzny wyzwolonych spod okupacji niemieckiej przez Armię Czerwoną i towarzyszące jej jednostki ludowego Wojska Polskiego. Przez wspomnienia poszczególnych bohaterów poznajemy krok za krokiem dzieje jednej z licznych wówczas dezercji z szeregów lWP.

Uczciwie o akowcach

Chociaż twórcy nie mówią tego wprost, ani tym bardziej tak się tego w filmie nie nazywa, w istocie opowiada on o tzw. zwrocie październikowym. Przypomnijmy, że w taki sposób z czasem historycy określali zainicjowane w Moskwie w październiku 1944 roku radykalne zaostrzenie kursu w stosunku do wszystkich rzeczywistych i domniemanych wrogów „władzy ludowej" w Polsce i towarzyszącą temu rosnącą falę brutalnego terroru na terenach już wyzwolonych spod okupacji niemieckiej. Jednym z elementów składowych tej akcji była zmiana stosunku komunistów do żołnierzy i oficerów Armii Krajowej, w tym także tych, którzy dobrowolnie ujawnili się wobec przedstawicieli nowej władzy i podjęli służbę w jednostkach lWP. Jednym z głównych bohaterów filmu jest, wywodzący się z AK podporucznik Stefan Olewicz (Daniel Olbrychski). W jednostce przełożeni (może z wyjątkiem dowódcy batalionu, byłego oficera AL, mjr. Świętowca, zagranego – jak zwykle brawurowo – przez Tadeusza Łomnickiego) nie obdarzają go pełnym zaufaniem: niby ufają, ale jednak nie do końca. Charakterystyczna pod tym względem jest tutaj postać oficera informacji, porucznika Leoniaka (Witold Pyrkosz). Równocześnie byli podwładni Olewicza z konspiracji, po ujawnieniu się – podobnie jak on – służący w szeregach lWP, widzą w nim autentycznego przywódcę, do niego mają zaufanie i jemu powierzają swoje tajemnice.

W pewnym sensie rywalem, ale też zarazem punktem odniesienia dla Olewicza, jest porucznik Marek Kolski (Marek Perepeczko). Jego życiowa droga jest zarazem podobna i niepodobna do tej, którą przebył Olewicz. W mieście, w którym rozgrywa się retrospektywna część filmu, Kolski ma gimnazjalnych kolegów, przyjaciół, młodzieńczą miłość Ewę Kraczyńską (Barbara Brylska), ale jego droga do „tej armii" – jak określił ją jeden z jego dawnych kolegów – wiodła przez Syberię, gdzie zmarli jego rodzice, 1. Dywizję im. Tadeusza Kościuszki i Lenino. Oczywiście w 1966 roku widz nie mógł się w żaden sposób z ekranu dowiedzieć dlaczego, za czyją sprawą i w jaki sposób rodzina Kolskich trafiła na Syberię. Warto jednak pamiętać, że w dwadzieścia lat po zakończeniu II wojny światowej społeczna (ta nieoficjalna) pamięć o radzieckich wywózkach ciągle jeszcze była żywa. Gdy w pewnym momencie porucznik Kolski w mundurze, ale prywatnie, spotyka się ze swoimi dawnymi kolegami i przy okazji zaczyna skarżyć się na los, rozpoczyna się swoista licytacja na cierpienia i zasługi, w której – w odpowiedzi na przywołaną przez niego bitwę pod Lenino – koledzy z AK przebijają kartą Powstania Warszawskiego.

Potem nastąpi cisza to także jeden z pierwszych obrazów próbujący – na miarę ówczesnych możliwości cenzuralnych – wypowiadać się na temat losów i dylematów młodzieży akowskiej po zainstalowaniu „władzy ludowej". Janusz Morgenstern podążył tutaj tropami *Popiołu i diamentu* Andrzeja Wajdy (co wydawało się zupełnie naturalne, skoro był drugim reżyserem przy realizacji tego filmu). Najbardziej chyba widoczne jest to w scenie zastrzelenia uciekającego akowca przez polskiego żołnierza. Kolega pyta go potem: „Po co strzelałeś?" i w odpowiedzi słyszy: „Przecież uciekał". Jest więc to śmierć tak samo przypadkowa i nikomu niepotrzebna, jak przypadkowa i nikomu niepotrzebna była śmierć Maćka Chełmickiego w zakończeniu filmu Wajdy. Oczywiście w połowie lat sześćdziesiątych nie było w Polsce

Fot. Filmoteka Narodowa

Podporucznik Stefan Olewicz (w tej roli Daniel Olbrychski) i Ewa Kraczyńska (Barbara Brylska) – dawna miłość Marka Kolskiego

mowy o tym, żeby przyznać rację ludziom z AK, co najwyżej można było ich racje zaprezentować w sposób niekarykaturalny – i tak to zostało ukazane w *Potem nastąpi cisza*.

Z dzisiejszej perspektywy wydaje się to niesatysfakcjonujące i niewystarczające, ale na pewno warto przywołać to, co na temat tego filmu napisał Piotr Zwierzchowski, jeden z najwybitniejszych obecnie znawców historii ukazywanej w filmie. Jego zdaniem, „w żadnym innym filmie lat 60. nie ma tak gorzkiej samoświadomości akowskiej młodzieży. Na końcu Kolski i Olewicz, których wydawało się wszystko różnić, polegną w jednej bitwie. I zostaną razem wpisani na listę strat. To komentarz do sytuacji Polski po wojnie, pasujący jednocześnie do wykładni obowiązującej w latach 60. Porozumienie między Polakami, choć niełatwe, było jednak możliwe, a ułatwiała to danina krwi złożona w walce z wrogiem".

Naturalnie tym bardziej nie można było w ówczesnych filmach sugerować, że obecność Armii Czerwonej w Polsce miała jakikolwiek wpływ na instalowanie i umacnianie tutaj nowej władzy. Z drugiej strony filmowcy nie mogli, a pewnie i nie chcieli prezentować dokonujących się zmian wyłącznie jako następstwa działań nielicznych przecież polskich komunistów. Znaleziono więc sposób na dość dyskretne, ale zarazem wyraziste prezentowanie radzieckiej obecności w Polsce w latach 1944–1945. W stosunkowo wielu filmach wojennych pojawiają się sceny ukazujące kolumny radzieckich żołnierzy, maszerujących ulicami polskich miast i śpiewających pieśni wojskowe. W filmie *Potem nastąpi cisza* maszerujący czerwonoarmiści śpiewają najsławniejszą pieśń Wielkiej Wojny Ojczyźnianej – *Swiaszczennaja wojna*. Pewnej pikanterii tej scenie dodaje to, że obserwujemy ją wraz ze stojącą w oknie mieszkania Ewą Kraczyńską. Obraz roznegliżowanej, pięknej kobiety, patrzącej na maszerujących radzieckich żołnierzy – chcąc nie chcąc – polskim widzom tak kiedyś, jak i dziś nasuwa tylko jedno skojarzenie…

Strzały na planie filmowym

Na podkreślenie zasługuje też to, że Janusz Morgenstern zrealizował swój film w sposób bardzo efektowny, przy czym niemały udział miał w tym autor znakomitych zdjęć – Jerzy Wójcik. Dzięki świetnemu prowadzeniu kamery i dynamicznemu montażowi widzowie w kinie mogli odnieść wrażenie, że sami uczestniczą w działaniach wojennych. Po premierze Zbigniew Klaczyński napisał na łamach miesięcznika „Kino": „ośmielę się twierdzić, że tak prawdziwych i przejmujących wojennych scen nie oglądałem dotąd w filmie polskim". Swoje zasługi mieli w tym również jeden z najwybitniejszych specjalistów od efektów pirotechnicznych – Henryk Piotrowski – oraz nieoszczędzający się na planie filmowym aktorzy. Na przykład Daniel Olbrychski – nie bez powodów szczycący się swoimi sportowymi i kaskaderskimi wręcz umiejętnościami – w jednej ze scen zdecydował się bez dublera wskoczyć przez szybę do wnętrza sklepu.

Nic zatem dziwnego, że gdy międzynarodowa ekipa filmowa Anatole'a Litvaka w 1966 roku przygotowywała się do realizacji w Warszawie polskich sekwencji ekranizacji znanej powieści Hansa Hellmuta Kirsta *Noc generałów* i pragnęła zorientować się, na jaką pomoc ze strony Polaków może liczyć przy realizacji scen batalistycznych, zaprezentowano im w celach promocyjno-informacyjnych właśnie film Morgensterna. Zachodni specjaliści od efektów specjalnych i scen pirotechnicznych chcieli ocenić kwalifikacje polskich kolegów między innymi właśnie w zakresie uzyskiwania odpowiednich efektów pirotechnicznych. Po obejrzeniu filmu byli pod dużym wrażeniem. Ze zdziwieniem jednak zauważyli, że czołgi na ekranie naprawdę strzelały, a nie tylko markowały to, jak bywało zwykle w obrazach kręconych na Zachodzie. Dopytywali się też, jak w Polsce uzyskuje się efekt wystrzałów rozpryskujących się na ścianie, gdyż oni przywieźli specjalne pistolety na gipsowe kule. Byli zaszokowani odpowiedzią, że w Polsce po prostu pod pewnym kątem strzela się w mur ostrą amunicją.

prof. dr hab. Jerzy Eisler – historyk, dyrektor Oddziału IPN w Warszawie; zajmuje się dziejami PRL, a także najnowszą historią Francji i historią kina; autor m.in. *Siedmiu „wspaniałych". Poczet pierwszych sekretarzy KC PZPR* (2014)

Orły Legionów Polskich cz.3

Tomasz Zawistowski

Historia kołem się toczy, to prawda, ale dzieje się tak dlatego, że potrafimy szybko zapominać. Lotnicy polscy w bitwie o Wielką Brytanię nie mieli powodu pamiętać o tym, jak ponuro brytyjską niewolę wspominali Polacy spod sztandarów Napoleona. Tak samo żołnierze Legionów zdobiący swoje czapki zielonymi gałązkami nie musieli wiedzieć, że sto lat wcześniej te same symbole nosili Austriacy dumnie wkraczający do Warszawy po raszyńskiej bitwie.

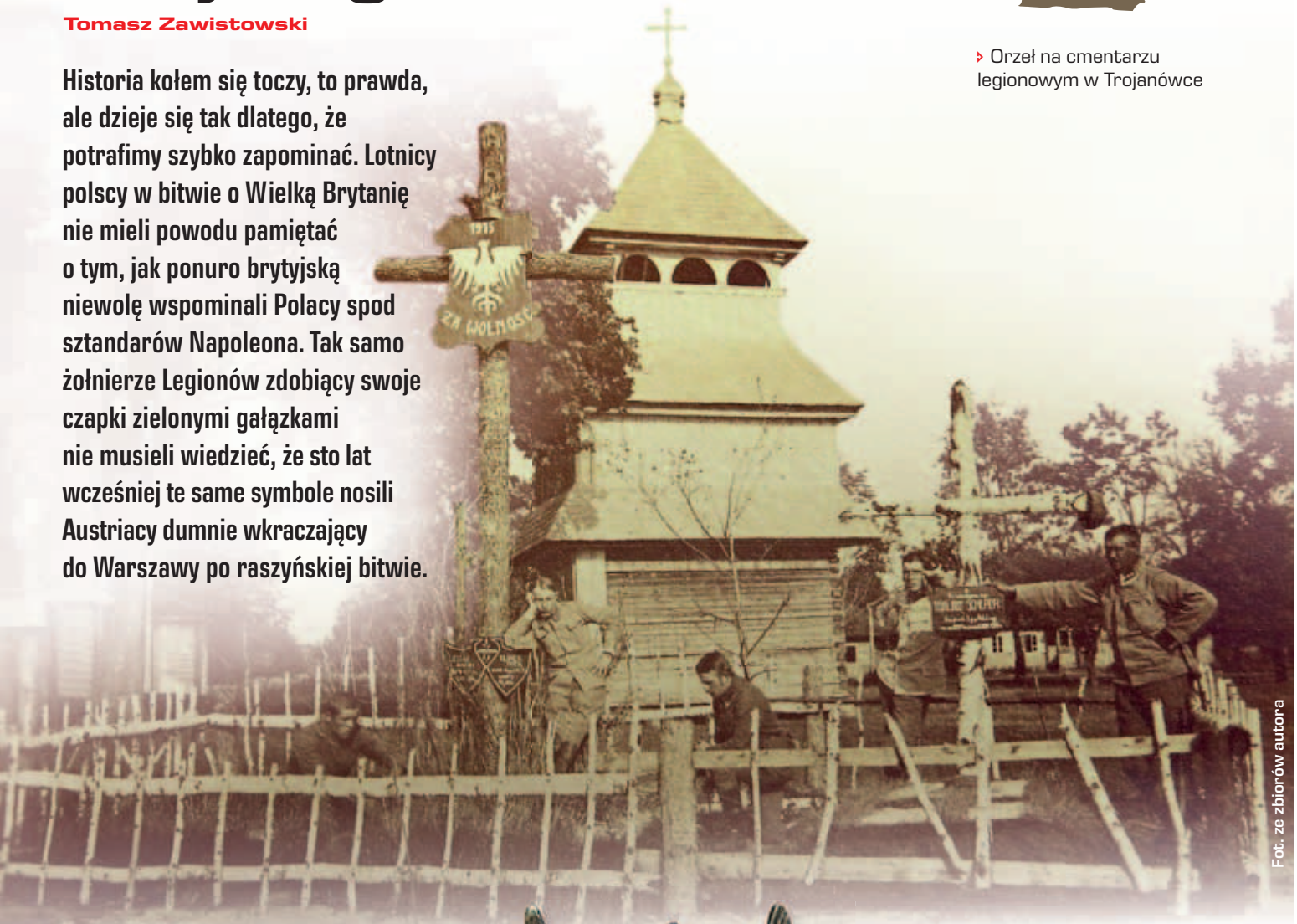

Orzeł na cmentarzu legionowym w Trojanówce

Fot. ze zbiorów autora

Wygląd czapek w II Brygadzie Legionów Polskich nie był jednolity pomimo oficjalnego zaakceptowania „kompromisówek". Różnorodność była ogromna; zachowane zdjęcia dokumentują brak jednorodności nakryć głów wręcz na szczeblu kompanii, szczególnie w pierwszym roku wojny. Na niejednolitość ubioru oczywisty wpływ miały trudności w zaopatrzeniu jednostek walczących na froncie. Z kolei w oddziałach III Brygady, tworzonych od wiosny 1915 roku, zostały wprowadzone kolejne nowości. Dowódcy, budując *esprit de corps* formowanych oddziałów, wprowadzali wyróżniające elementy umundurowania, jak cyfry pułkowe na naramiennikach bądź oryginalne czapki. W tworzonym pod dowództwem ppłk. Bolesława Roi 4. pułku piechoty, w którym dowódcą I batalionu był kpt. Andrzej Galica, już kilka dni po oficjalnym zatwierdzeniu statusu pułku przez Komendę, rozkazem z 14 maja 1915 roku, wprowadzono nowy rodzaj nakrycia głowy, którego dokładny wygląd został opisany miesiąc później: „czapka z żółtym na pół pochyłym daszkiem systemu »Galica« bez zakładki, natomiast z żółtym paskiem na przodzie. Czapkę nosi się nieco na prawe ucho". Równolegle z 4. pułkiem piechoty formowano 5. szwadron kawalerii, w którym wprowadzono inny typ czapek:

Fot. ze zbiorów autora

Orzeł z monogramem „JP", ostatnie godło żołnierzy Komendanta, wprowadzane do użytku od sierpnia 1939 roku

rogatywki z zielonego sukna, wzorowane na przedwojennych czapkach Drużyn Bartoszowych. Od nazwiska drugiego dowódcy szwadronu, por. Juliusza Ostoi-Zagórskiego, nazwano je „ostojówkami". Wielu ułanów, a wśród nich także dowódca, nosiło na swych czapkach przedwojennego wzoru oznaki DB. Wygląda na to, że „ostojówki" były później noszone w całym dywizjonie rotmistrza Ostoi, składającym się ze szwadronów 5. i 6.

Podane powyżej przykłady nie wyczerpują zagadnienia, lecz tylko ilustrują zróżnicowanie form nakryć głowy w II i III Brygadzie. Oprócz licznych czapek wzorów polskich wielu żołnierzy używało czapek polowych bądź furażerek austriackich, a także zimowych czapek wełnianych. Taki stan rzeczy trwał do jesieni roku 1916, kiedy obowiązującym we wszystkich oddziałach legionowych nakryciem głowy stała się maciejówka. Jan Dunin-Brzeziński wspominał, że na przełomie września i października „pułkownik [Zygmunt] Zieliński przyjechał i na miejsce czasowo urlopowanego Szeptyckiego objął III Brygadę. Zachodziłem więc często do staruszka, a pułkownik do nas. W czasie tym ogłoszono utworzenie Polskiego Korpusu Posiłkowego. Musiałem się staruszkowi starać o maciejówkę. Jakaż to uciecha była, gdy naszego Zielińskiego pierwszy raz w maciejówce zobaczyliśmy".

Obce zwyczaje i znaki

Adaptacją całkowicie obcej tradycji był obyczaj noszenia przy czapkach gałązek dębowych i świerkowych. Zapożyczono go z armii austro-węgierskiej, w której żołnierze nosili gałązki dębu przy czapkach już w czasie wojny siedmioletniej, a może nawet wcześniej. Jak odnotował w swoich pamiętnikach Prot Lelewel, wkraczający do Warszawy po bitwie raszyńskiej żołnierze austriaccy mieli przy kaszkietach zielone gałązki. W roku 1813 książę Karl Philipp Schwarzenberg, obejmując dowództwo wojsk koalicji antynapoleońskiej, rozkazał, by wszyscy żołnierze przypięli do czapek dębowe gałązki, co miało ułatwić identyfikację utrudnioną przez różnorodność mundurów sojuszniczych. Zwyczaj ten utrwalił się w cesarsko-królewskiej armii w XIX wieku, a że zimą dęby tracą liście – zastępowano je gałązkami drzew iglastych. Podczas wspólnych walk legioniści, wzorując się na sojusznikach, zdobili czapki zielonymi gałązkami. Ułan Koźmiński z I Brygady tak wspominał powitanie następcy tronu w marcu 1916 roku: „Jako pluton honorowy wybrany po 110 ludzi z każdego szwadronu wyjechaliśmy do Maniewicz. Czapy mieliśmy odsłonięte, z gałązką jedliny za biało-czerwoną kokardą, jednakowe kożuszki z odpiętemi wyłogami, karabinki i szable, dobrane pod maść i wzrost jednakowe konie gniade". Na łamach legionowego czasopisma „Konferencja Pokojowa" karykaturzysta sarkał na to, że rozkaz ozdobienia czapek ułani otrzymali dopiero w ostatniej

Fot. ze zbiorów autora

Rysunek zamieszczony w numerze 3 legionowego pisma „Konferencja Pokojowa" przedstawia ułanów zdobiących swe czapki gałązkami jedliny tuż przed uroczystością

Fot. ze zbiorów autora

Pułkownik Zygmunt Zieliński, dowódca 2. pułku piechoty, potem III Brygady, a do 1918 roku Polskiego Korpusu Posiłkowego – w czerwcu roku 1915 w okopach pod Rarańczą nosił na czapce orła pod austriackim bączkiem

chwili. Noszenie gałązek było usankcjonowane rozkazami mundurowymi; na przykład rozkaz mundurowy 4. pułku piechoty wydany w miesiąc po utworzeniu go mówił: „Znak polowy, gałązkę sosny nosi się po lewej stronie czapki". Flora terenu walk wymusiła elastyczność w podejściu do rozkazu; w Karpatach łatwiej było o świerki niż o sosny. Obyczaj zaczerpnięty z armii austro-węgierskiej dotrwał do roku 1919, gdy w dziale *Przepisy ogólne* rozkazu wprowadzającego nowy ubiór polowy Wojska Polskiego umieszczono punkt 8: „Zwyczaj majenia czapek zielenią jako obcy znosi się".

O ile w oddziałach liniowych używano orłów jako jedynych godeł czapkowych, o tyle sytuacja wyglądała inaczej w Komendzie Legionów. Jak zanotował jej oficer ordynansowy, ppor. hr. August Krasicki, w swym dzienniku pod datą 19 września 1914 roku: „Pod bączkiem z cyfrą »F.J.I.« wszyscy oficerowie przydzieleni do [Komendy] Legionów

Fot. ze zbiorów autora

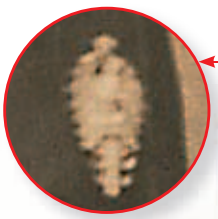

Fot. Archiwum MJP

Kapitan Włodzimierz Zagórski, szef sztabu LP, z orłem legionowym poniżej austriackiego bączka i orłem biżuteryjnym z boku czapki

mają orzełka legionowego". Zachowane zdjęcia archiwalne potwierdzają fakt noszenia dwóch emblematów jednocześnie przez oficerów Komendy, poczynając od dowódcy Legionów, gen. Karola Trzaska-Durskiego. Zwyczaj noszenia dwóch emblematów oficerowie Komendy zachowali do końca istnienia Legionów. Wprawdzie najczęściej były używane orły legionowe z tarczami amazonek, ale na zdjęciach szefa sztabu LP, kpt. Włodzimierza Zagórskiego, widać, że nosił on pod austriackim bączkiem orzełka zygmuntowskiego pochodzącego z krakowskiej pracowni Marcina Jarry. Na innych zdjęciach (późniejszych?) kpt. Zagórski nosił tego orła z boku czapki, umocowawszy centralnie, pod bączkiem, orła legionowego. Co ciekawe, w identyczny sposób przypiętego z boku czapki orła biżuteryjnego miał brat kpt. Zagórskiego, rtm. Juliusz Ostoja-Zagórski. W taki sam sposób orła pod bączkiem nosili niektórzy oficerowie zawodowi armii austriackiej; byli wśród nich zarówno Polacy pozostający w szeregach Legionów od początku do końca, jak płk Zygmunt Zieliński, jak i obcy, przydzieleni do Legionów czasowo, jak na przykład kpt. Rudolf Tovarek.

Używanie austriackich bączków bywało złośliwie komentowane przez żołnierzy, którzy przywiązywali dużą wagę do polskich elementów mundurowych. Wiedział o tym doskonale płk Stanisław Szeptycki, który wcześniej był oficerem sztabowym c.k. armii, a w lipcu 1916 został dowódcą III Brygady LP. W dzienniku por. Augusta Krasickiego 16 lipca pojawił się zapis: „spotykamy […] bryg. Piłsudskiego i płk. Szeptyckiego. Szeptycki ma na

Oznaka Drużyn Bartoszowych noszona w czasie wojny przez legionistę z II Brygady; zwraca uwagę uszkodzony orzeł z urwaną nogą

głowie małą furażerkę żołnierską z orłem legionowym, widocznie nie chce razić legionistów austriacką czapką sztabową".

Deficytowe orły

Szczególna waga sprawy zaopatrzenia żołnierzy w orły do czapek polegała na tym, że w praktyce to właśnie one były podstawowym elementem pozwalającym odróżnić żołnierzy polskich od identycznie umundurowanych żołnierzy austriackich. Orły były wydawane legionistom bezpłatnie jako element umundurowania i jako taki figurowały pośród innych dóbr skarbowych w odpowiedniej rubryce książeczek wojskowych. Tracono je, gubiąc bądź rozdając polskiej ludności na pamiątkę, wobec czego wciąż ich brakowało. Gdy w styczniu 1915 roku 3. pułk piechoty domagał się uzupełnienia brakujących elementów umundurowania, było wśród nich 2 tys. orłów.

Jakkolwiek braki mundurowe w nowo formowanych oddziałach polskich dawały się odczuć przez cały czas istnienia Legionów, to obfitował w nie szczególnie pierwszy okres. Długo pozostawały

w użyciu elementy ubrań cywilnych, w których ochotnicy trafili do szeregów. Szczególnie barwny opis skrajnego przypadku własnej inicjatywy w skompletowaniu ubioru zachował się we wspomnieniach legionisty Józefa Sitki z batalionu uzupełniającego 1. pułku piechoty LP pod datą 21 września 1914 roku: „Przy bramie szkolnej stał na warcie legun, wysoki jak dąb, w generalskim (?) rosyjskim, prawie nowym mundurze ozdobnym w złote guziki, w brudnych i zaszarganych tłuszczem cywilnych portkach, boso, w słomianym kapeluszu na nieostrzyżonym łbie, z Werndlem na ramieniu. Myślałem, że zdechnę, patrząc na jego postawę i minę. Ale bo też na takim draniu możnaby [pisownia oryginalna] zarobić, pokazując go na jarmarkach i odpustach jako niebywały okaz obrońcy Ojczyzny". Następnego dnia autor wspomnień, wyjeżdżając na przepustkę do Krakowa, sam musiał pożyczyć mundur od kolegi. Część oddziałów wyruszała na front bez należytego umundurowania, wyglądem przypominając raczej uzbrojone bandy niż regularne wojsko. Kapelan 3. pp, ks. Józef Panaś, pisał, że we wrześniu 1914 roku na Węgrzech „kompanie podhalańskie chodziły jeszcze w rodzinnym stroju góralskim, kierpcach, guńce i okrągłym kapelusiku z muszelkami. Wprawdzie tęgi góral uzbrojony w przedwieczny karabin Werndla wyglądał na doskonałego zbójnika, ale wojskowego wyglądu nie miał wcale".

Dwadzieścia lat później

Końcem drogi Legionów był kryzys przysięgowy latem 1917 roku. Półtora roku później zarówno legioniści, jak i żołnierze innych polskich formacji wojskowych stali się kadrą nowo utworzonego Wojska Polskiego. Po nastaniu pokoju pewna ich część opuściła szeregi armii. Pamiętając o swej wojennej przeszłości, utworzyli organizacje kombatanckie; niektóre z nich miały prawo używania własnych mundurów.

Poza nawiasem grupy weteranów pełniących czynną służbę wojskową bądź zrzeszonych w organizacjach

Podporucznik Lesław Juliusz Chlebek z 1. pułku artylerii LP z oznaką Drużyn Bartoszowych na czapce, Zakopane; lipiec 1916 roku

Fot. ze zbiorów autora

Fot. ze zbiorów autora

Przedwojenna oznaka czapkowa Drużyn Bartoszowych

i noszących ich mundury pozostawała znaczna liczba byłych legionistów, którzy, jako osoby cywilne, nie mieli prawa używania munduru. Co prawda, podczas uroczystych okazji były używane mundury historyczne, niemniej – choć to zaskakujące – sprawa zewnętrznego wyróżnienia członków Związku Legionistów nie była rozwiązana jeszcze w początku 1939 roku. Podczas uroczystości rocznicowych oraz pogrzebu Komendanta weterani Legionów stanowili anonimowy, niewyróżniający się tłum postaci w cywilnych ubraniach. Rozżalony takim stanem rzeczy pisał w styczniu 1939 roku były legionista 3. pułku piechoty LP: „A może dla ułatwienia należałoby wprowadzić dla nas coś w rodzaju umundurowania, bodaj tylko siwe maciejówki? Wielu z nas ma jeszcze stare, strzeleckie orzełki". Drażliwa dla wielu kwestia doczekała się rozwiązania w ostatnich tygodniach istnienia niepodległej II Rzeczypospolitej, kiedy to Komenda Naczelna Związku Legionistów ustaliła, że wszyscy byli legioniści uczestniczący w Zjeździe Sierpniowym ZL będą nosić „maciejówki typu strzeleckiego z 1914 r. Maciejówka będzie odtąd obowiązywała przy wszelkich oficjalnych masowych wystąpieniach legionistów". W tym samym momencie określono, że na czapkach ma być noszony „orzełek typu orzełka kadrowego z literami J.P. (blacha oksydowana). […] Orzełki kadrowe zostaną wykonane centralnie w Warszawie i rozesłane za opłatą 35 groszy od 1 sztuki".

Jednak od chwili założenia na siwe maciejówki orłów z monogramem zmarłego Komendanta nie pozostał nawet pełny miesiąc do kolejnej wojny.

Tomasz Zawistowski – autor czterech tomów monografii polskiego orła wojskowego, urzędniczego i szkolnego *Polskie orły do czapek w latach 1900–1945*

M1 Garand – „ta broń jest wspaniała”

Michał Mackiewicz

Marines na Iwo Jimie; większość uzbrojona w karabiny M1 (żołnierz pierwszy z lewej trzyma karabinek M1)

Fot. ze zbiorów MWP

Datę 9 stycznia 1936 roku, kiedy U.S. Rifle, Caliber .30 M1 przyjęto do uzbrojenia armii amerykańskiej, możemy uznać za symboliczny koniec kilkudziesięcioletnich żmudnych prac nad skonstruowaniem praktycznego karabinu samopowtarzalnego. Frontowy debiut M1 Garanda z 1941 roku można porównać do inauguracji niemieckiego automatycznego StG 44 zaledwie kilka lat później. Chociaż nie było ery karabinów samopowtarzalnych – w przeciwieństwie do trwającej do dziś ery automatów – obie konstrukcje zapisały się złotymi zgłoskami w historii broni palnej.

Zainteresowanie karabinami automatycznymi w USA sięga początku XX wieku. Zanim wybuchła I wojna światowa, zdążono zapoznać się z najważniejszymi konstrukcjami obcymi i krajowymi (w sumie kilkadziesiąt wzorów). Testy karabinów automatycznych i samopowtarzalnych kontynuowano po 1914 roku, jednakże kilkanaście przebadanych konstrukcji nie spełniło wojskowych wymogów. Pomimo niepowodzeń wciąż podejmowano wysiłki zmierzające do przyjęcia na uzbrojenie regulaminowego karabinu samopowtarzalnego, który zastąpiłby powtarzalnego springfielda M1903, a lekcja wielkiej wojny sprawiła, że perspektywa wyposażenia pojedynczego żołnierza w szybkostrzelną broń o dużej mocy rażenia zaprzątnęła uwagę wojskowych i konstruktorów.

John Cantius Garand, podobnie jak wielu innych błyskotliwych rusznikarzy, nie miał technicznego wykształcenia. Sukces zawdzięczał talentowi i ambicji. Karierę zawodową rozpoczął w przemyśle włókienniczym, a pierwszym „technikum” młodego samouka był warsztat przędzalniczy w fabryce w amerykańskim Connecticut. Zdobył tam na tyle solidne podstawy, że w czasie I wojny światowej mógł pełnić funkcję zbrojmistrza. Wtedy też zapoznał się z bronią strzelecką i warsztatem rusznikarskim. Na pola Szampanii co prawda nie zdążył, ale dostrzeżono jego potencjał techniczny. Po demobilizacji znalazł zatrudnienie w zakładach zbrojeniowych w Springfield. Po 1918 roku prace nad karabinami samopowtarzalnymi ruszyły pełną parą i Garand – mający już za sobą pierwsze doświadczenia z bronią automatyczną (prowadził zaawansowane prace nad elkaemem) – wziął w nich udział.

W ciągu kilkunastu lat opracował kilka znacznie się różniących od siebie wersji, aż na początku lat trzydziestych pokonał Johna Pedersena, swojego największego rywala w wyścigu o kontrakt rządowy. Próby poligonowe wypadły wprost rewelacyjnie, a żołnierze testujący nową broń szybko się z nią oswoili. 9 stycznia 1936 roku armia amerykańska oficjalnie przyjęła do uzbrojenia karabin M1. Pierwsze seryjne M1 powstały w sierpniu 1937 roku.

Karabin M1 jest bronią samopowtarzalną, o lufie nieruchomej i zamku zaryglowanym, działającą na zasadzie odprowadzania gazów prochowych przez boczny otwór w lufie. Magazynek ma stały. Gazy prą na tłok umieszczony we-

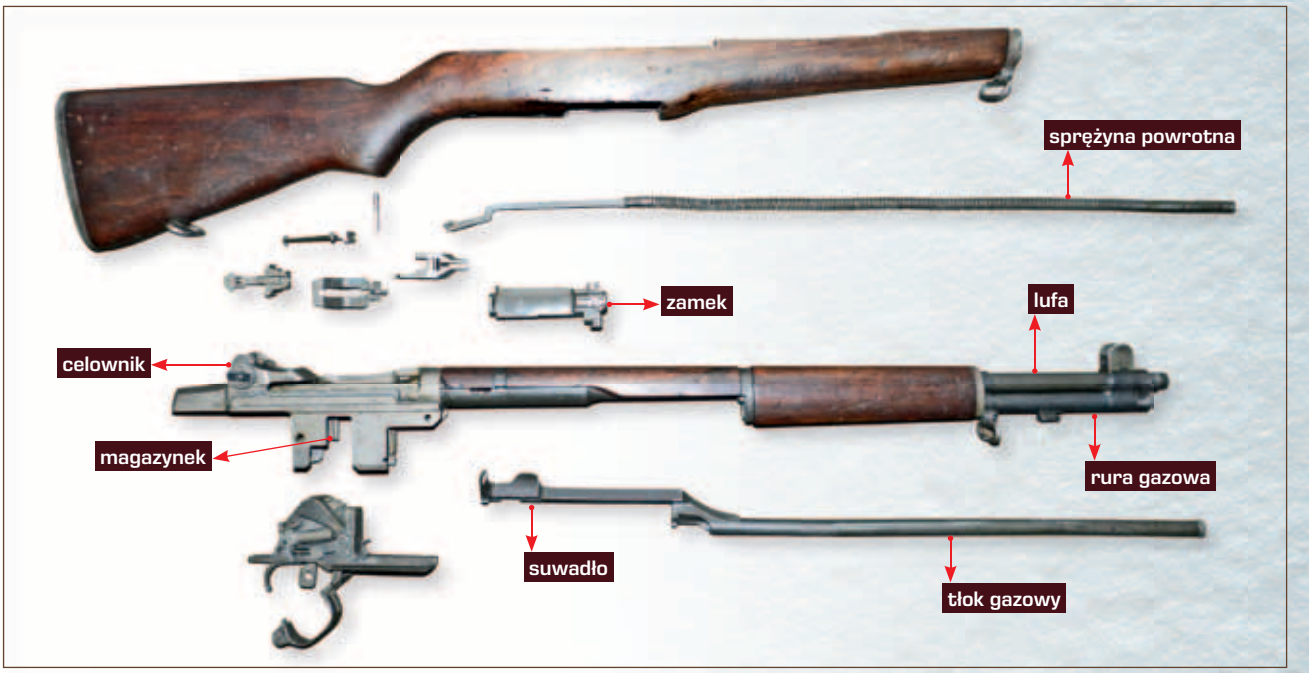

Fot. ze zbiorów MWP

wnątrz rury znajdującej się pod lufą; tłok jest integralną częścią suwadła sprzęgniętego z zamkiem. Jego zaryglowanie odbywa się przez obrót dwóch symetrycznych rygli, z których jeden współpracuje z odpowiednim wycięciem w suwadle (ruch suwadła powoduje obrót zamka). Wewnątrz tłoka znajduje się sprężyna powrotna, która przez profilowaną żerdź działa jednocześnie na podajnik magazynka. Broń jest zasilana z symetrycznych, ośmionabojowych blaszanych ładowników (można je włożyć do magazynka dowolną stroną), które po ostatnim strzale są wyrzucane automatycznie; zamek zatrzymuje się wówczas w tylnym położeniu i jest zwalniany po włożeniu nowego ładownika. Przyrządy celownicze składają się z muszki i nastawnego celownika przeziernikowego. Broń jest dostosowana do naboju 30-06 (7,62 x 63 mm).

M1 na froncie

Chrzest bojowy miał miejsce na Filipinach i chociaż działania zakończyły się porażką Amerykanów, M1 dowiódł swoich walorów. Entuzjastyczną wręcz laurkę wystawił nowej broni gen. Douglas MacArthur, dowódca oddziałów amerykańskich. W depeszy do szefa sztabu, gen. George'a C. Marshalla, stwierdził:

Fot. ze zbiorów MWP

Sygnatura zakładów w Springfield; na karabinach nie wybijano daty produkcji; numer seryjny świadczy, że ten egzemplarz pochodzi z marca 1944 roku

„Karabiny Garanda górują walorami bojowymi nad springfieldami, nie odnotowano żadnych zacięć spowodowanych kurzem i brudem z okopów. Wymagają dobrej jakości smaru karabinowego zapobiegającego zapiekaniu się części, ale używane były dniem i nocą przez cały tydzień bez czyszczenia i oliwienia. Ta broń jest wspaniała nawet bez modyfikacji, które są sugerowane".

Karabin Garanda, dzięki nieskomplikowanej i mocnej konstrukcji, absolutnie zdystansował inne seryjnie produkowane karabiny samopowtarzalne z okresu II wojny światowej. Wadą broni był natomiast system zasilania karabinu, który bardzo utrudniał doładowanie magazynka pojedynczymi nabojami. Malkontenci sugerowali, że doprowadzi to do niepotrzebnego marnotrawstwa amunicji na froncie, ponieważ żołnierz, który w ferworze walki wystrzeli kilka razy, będzie chciał natychmiast uzupełnić zapas w magazynku – a uczyni to jak najprościej i jak najszybciej – po prostu pośle pozostałe pociski

Dane taktyczno-techniczne:

kaliber	7,62 mm
nabój	30–06 (7,62 x 63 mm)
długość broni	1107 mm
długość lufy	609 mm
masa bez amunicji	4,31 kg
magazynek	8 nabojów
prędkość początkowa pocisku	855 m/s
szybkostrzelność	40–50 strz./min

Fot. ze zbiorów MWP

Walki we Włoszech; żołnierze uzbrojeni w pistolety maszynowe Thompson M1A1 i karabin M1

Panu Bogu w okno po to, aby załadować pełny ośmionabojowy ładownik.

O ile w tym wypadku krytyka miała pewne podstawy, o tyle kolejna, mityczna wręcz wada związana z blaszanym ładownikiem, jest dyskusyjna. Chodzi o metaliczny dźwięk dobywający się z broni przy wyrzucaniu pustego ładownika, informujący jakoby przeciwnika, że w danej chwili amerykański strzelec jest bezbronny. Biorąc pod uwagę dystans, na jakim zazwyczaj toczono pojedynki ogniowe (co najmniej kilkadziesiąt metrów) oraz hałas panujący na polu walki, zarzut ten wydaje się nieco naciągany, tym bardziej że ponowne załadowanie odbywało się błyskawicznie (zamek po wystrzeleniu ostatniego naboju pozostawał otwarty), a „bezbronny" strzelec miał zazwyczaj obok siebie kolegów z bronią gotową do strzału.

W skrajnych warunkach pogodowych, przy marznącym deszczu, mechanizmy Garanda miały ponadto tendencję do przymarzania. Dość szybko uporano się z tym problemem, opracowując specjalny smar (firmy Lubriplate), który żołnierze przenosili w pojemniczkach umieszczonych w schowku w kolbie. Pokryty nim zamek pracował zazwyczaj bez zacięć nawet przy niskich temperaturach. Inną uciążliwością M1 była zewnętrzna powierzchnia komory i rury gazowej. Ponieważ wykonywano je ze stali nierdzewnej, nie można było ich oksydować ani fosforanować tak jak pozostałych metalowych części. Pokrywano je matową farbą, ale ta w warunkach bojowych bardzo szybko się ścierała, odkrywając lśniącą powierzchnię, mogącą zdradzić pozycję strzelca. Z czasem wynaleziono specjalną powłokę zabezpieczającą, ale w niektórych opracowaniach można spotkać informację, że problemu nigdy nie udało się całkowicie wyeliminować.

„Najbardziej śmiercionośny karabin na świecie"

Ta słynna fraza przypisywana gen. George'owi Pattonowi, ekscentrycznemu dowódcy amerykańskiej 3. Armii, najlepiej świadczy o wyjątkowej renomie, jaką karabin M1 Garand zyskał wśród frontowych żołnierzy w latach II wojny światowej. Szybkostrzelność garanda, która wielu doświadczonym żołnierzom wydawała się na początku wadą, okazała się największą jego zaletą. Generał Julian Hatcher, znany ekspert od broni strzeleckiej, pracownik Departamentu Uzbrojenia i wieloletni współpracownik zakładów w Springfield, stwierdził, że w czasie II wojny światowej z garandów wystrzelono więcej nabojów niż z powtarzalnych springfieldów w ciągu całej ich kilkudziesięcioletniej wojskowej kariery.

Znakomita reputacja z pól bitewnych II wojny sprawiła, że garandy pozostały częścią uzbrojenia amerykańskich sił zbrojnych przez następną dekadę i potwierdziły swe walory w kolejnym konflikcie – wojnie koreańskiej. Tymczasem w latach pięćdziesiątych nastąpiła rewolucja w uzbrojeniu strzeleckim (w 1949 roku w ZSRR przyjęto do uzbrojenia karabinek automatyczny AK, w którym Michaił Kałasznikow zastosował zamek inspirowany konstrukcją garanda) i Amerykanie musieli podjąć wysiłki nad zastąpieniem staruszka M1. W 1957 roku przyjęli do uzbrojenia karabin M14, który był ulepszoną wersją garanda, dostosowaną, czysto teoretycznie, do ognia automatycznego i zasilaną z wymiennego dwudziestonabojowego magazynka (nabój 7,62 x 51 mm NATO). Była to jedna z najgłupszych decyzji w długich dziejach broni strzeleckiej, choć jej konsekwencje były dość ograniczone. Wszystko dzięki genialnemu Eugene'owi Morrisonowi Stonerowi i jego M16. Ale to już zupełnie inna historia…

Michał Mackiewicz – archeolog, pracownik Działu Historii Wojskowości Muzeum Wojska Polskiego; zajmuje się historią wojen i uzbrojenia oraz archeologią militarną; autor licznych artykułów o tematyce historycznowojskowej, współautor książki *Kircholm–Kluszyn, zwycięstwa husarii* (2011)

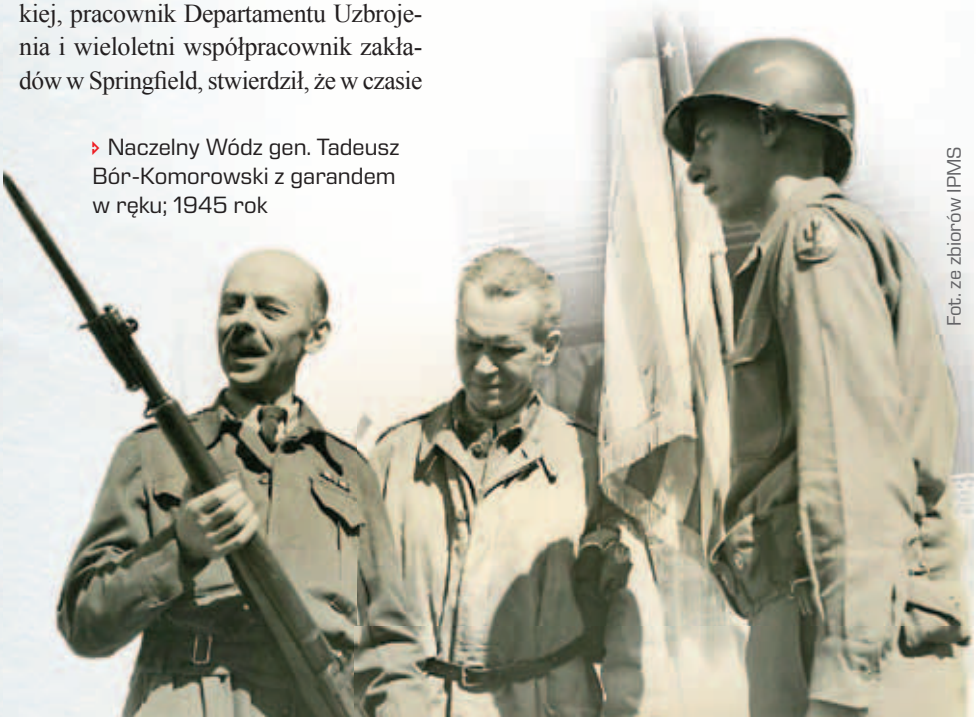

Fot. ze zbiorów IPMS

Naczelny Wódz gen. Tadeusz Bór-Komorowski z garandem w ręku; 1945 rok

Fot. Paweł Sasanka

Ucho igielne między Wschodem a Zachodem

Paweł Sasanka

Gdy jedziemy przez Niemcy autostradą A2 na zachód, kilka kilometrów przed Helmstedt po lewej stronie zwraca uwagę zespół baraków, szarych piętrowych bloków i wysokich masztów. Widoczna z daleka wieża wartownicza jest charakterystyczną wizytówką ponurego miejsca, w którym czas zatrzymał się niemal ćwierć wieku temu.

Dawne przejście graniczne Marienborn–Helmstedt aż do 1989 roku było uchem igielnym między Wschodem a Zachodem. Ustanowiony przez aliantów 1 lipca 1945 roku punkt kontrolny na granicy stref okupacyjnych w Niemczech z biegiem czasu stał się największym i najbardziej znaczącym przejściem granicznym dla podróżnych chcących albo wyjechać z NRD, albo wjechać do tego kraju, albo przejechać tranzytem do Berlina Zachodniego, PRL i Czechosłowacji. Oprócz muru berlińskiego i „Checkpoint Charlie" – właśnie to przejście stało się symbolem żelaznej kurtyny, granicy dzielącej Niemcy, Europę i świat na dwa wrogie bloki polityczno-wojskowe rywalizujące ze sobą w każdej dziedzinie życia, od wyścigu zbrojeń, gospodarki i ideologii po kulturę i sport. Tylko w latach 1985–1989 odprawiono tu 34,6 mln podróżnych. Dziś miejsce to, położone przy jednej z najruchliwszych niemieckich autostrad, jest codziennie mijane przez tysiące pędzących samochodów, a mimo to leży na uboczu. Ciekawe, jak wielu kierowców i pasażerów, których wzrok padnie na ten ponury element krajobrazu, ma świadomość, co to za miejsce. Czy u osób, które miały wątpliwą przyjemność poznać je w „czasach świetności", obrazy z przeszłości wracają za każdym razem, gdy tędy przejeżdżają?

Te pytania nasuwały mi się, gdy 3 października 2012 roku, w dwudziestą drugą rocznicę zjednoczenia Niemiec (dzień po związanej z nią prezentacji wystawy IPN *Zimna wojna. Krótka historia podzielonego świata*), miałem okazję zobaczyć wielu Niemców w średnim wieku, którzy w gronie rodziny i znajomych przyszli wypić lampkę szampana na moście Glienicke, łączącym Poczdam i Berlin. W czasach zimnej wojny był to most graniczny między Berlinem Zachodnim a NRD, który zdobył sławę jako „most szpiegów" – miejsce wykorzystywane do wymiany między Wschodem a Zachodem pojmanych agentów wywiadu.

Niemcy Niemcom

Niegdysiejsze przejście graniczne Marienborn–Helmstedt funkcjonuje obecnie jako Miejsce Pamięci Podziału Niemiec, otwarte 13 sierpnia 1996 roku przez Reinharda Höppnera – ówczesnego premiera landu Saksonia-Anhalt. Od roku 2004 jego częścią jest Pomnik Granicy w Hötensleben, gdzie można

Fot. Paweł Sasanka

Jeden gabinet w budynku sztabowym zachowano w stanie oryginalnym – można odnieść wrażenie, że funkcjonariusz Stasi wyszedł tylko na chwilę

zobaczyć oryginalne, rozciągające się na 350 m umocnienia jednej z najsilniej strzeżonych zimnowojennych granic, stale wzmacnianej – nie tyle „na zewnątrz", ile przeciw własnym obywatelom, aby całkowicie wyeliminować ucieczki mieszkańców NRD na Zachód. Warto dodać, że o przebiegu dawnej granicy przypominają dziś tablice informacyjne umieszczone na poboczach lokalnych dróg. Zdarza się, że na jednej drodze mija się trzy, a nawet cztery takie tablice, co – zważywszy, że po granicy nie ma śladu w układzie pól i sieci dróg – jest wyrazistym *memento*.

Miejsce Pamięci Podziału Niemiec cieszy się dość dużym zainteresowaniem, jeśli weźmiemy pod uwagę „tranzytową" lokalizację – w ciągu ostatnich dziesięciu lat odwiedziło je ponad 1,3 mln osób. Z perspektywy czasu, który upłynął od jego otwarcia, stało się – jak podkreślają twórcy – „miejscem wspomnień, żałoby i pamięci, ale także badania przeszłości. Z symbolu podziału przekształciło się w symbol pojednania. W miejsce, w którym – jak wyraził to były prezydent Niemiec Roman Herzog, przemawiając tu w roku 1998 – »Niemcy opowiadają Niemcom swą historię«".

Muzeum zwiedza się samodzielnie, wykorzystując tablice objaśniające, system wskazówek na ulotkach ułatwiających orientację oraz stanowiska multimedialne, przy których można pogłębić wiedzę. Zwiedzającym udostępniono m.in. punkt kontroli paszportowej, wjazd dla samochodów osobowych, barak kontrolny dla wyjeżdżających oraz wieżę dowodzenia. W centrum informacyjnym (niegdyś budynku sztabowym) można obejrzeć stałe wystawy „Przejście graniczne w Marienborn: bastion, ucho igielne, sejsmograf" oraz „Na straży NRD. Historia podziału Niemiec", które dostarczają zwiedzającym podstawowej wiedzy o historii miejsca (można obejrzeć m.in. instalowane na granicy urządzenia samostrzałowe), osadzając ją w szerokim kontekście i ułatwiając dalsze zwiedzanie na wolnym powietrzu. Niezależnie od tego, jakie refleksje (i czy jakiekolwiek) towarzyszą ludziom w samochodach mknących autostradą,

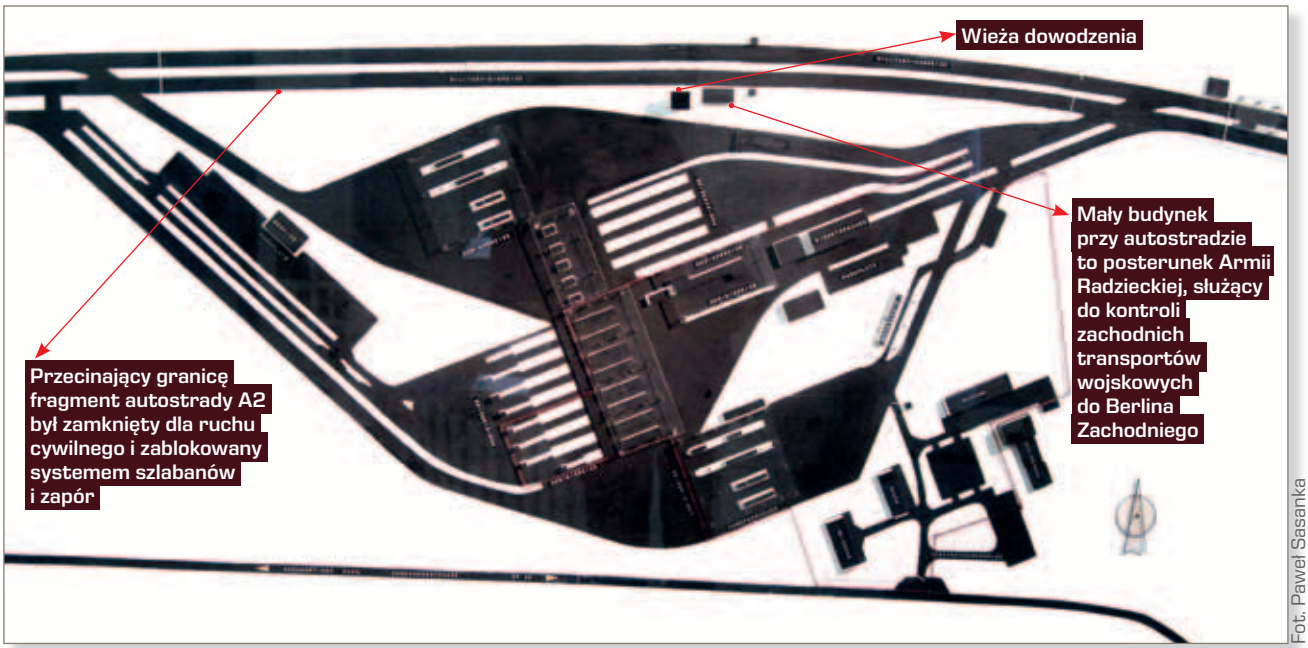

Fot. Paweł Sasanka

Plan przejścia granicznego Marienborn–Helmstedt

Fot. Paweł Sasanka

Centrala oficera dyżurnego na wieży dowodzenia; naciśnięcie jednego przycisku zatrzymywało cały ruch na przejściu i uruchamiało wszystkie systemy alarmowe

osoby, które świadomie przyjadą do Miejsca Pamięci Podziału Niemiec, w czasie zwiedzania nie potrzebują dużego wysiłku wyobraźni, aby odbyć podróż w czasie.

Prześwietlić do cna

Procedura wjazdu do NRD zaczynała się od kontroli paszportowej na jednym z ośmiu stanowisk dla samochodów osobowych. Paszporty i inne wymagane dokumenty po przekazaniu w ręce etatowego funkcjonariusza Stasi – czyli Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego NRD – znikały w wąskiej szczelinie w drzwiach długiego baraku kontroli granicznej i przez drugą szczelinę wracały. Podróżny nie mógł zobaczyć, co się dzieje z jego paszportem. Tymczasem – włożony do kolorowej teczki ze sztucznej skóry – odbywał on podróż na taśmociągu, w której przystankami było kilka biurek kolejnych funkcjonariuszy. Do kontroli paszportowej ciężarówek i autobusów, podczas której poszukiwano ukrytych osób i towarów, stosowano stałe lustra i ruchome lusterka. Obsługa miała do dyspozycji 30–40 wyszkolonych psów.

Jednym z najczęstszych wspomnień związanych z przejściem granicznym w Marienborn było to, że niezależnie od pory dnia lub nocy na jego terenie zawsze było jasno jak w dzień. To dzięki latarniom na wysięgnikach i reflektorom

Fot. Paweł Sasanka

Urządzenie samostrzałowe instalowane na granicy NRD–RFN

na dwunastu masztach oświetleniowych, z których każdy miał moc 8 kW i był umieszczony tak, aby nie pozostawić ani skrawka cienia. Ilość prądu pobieranego dla całego kompleksu była porównywalna ze zużyciem małego, kilkutysięcznego miasteczka. W przypadku awarii sieci produkcję prądu automatycznie rozpoczynały trzy silniki lotnicze przerobione na agregaty prądotwórcze.

W skład kompleksu budynków kontroli celnej dla wjeżdżających samochodów osobowych wchodziły: rentgen do prześwietlania bagażu, pomieszczenie do rewizji osobistej, kasa przyjmująca opłaty celne lub kary pieniężne oraz baraki do kontroli pojazdów, w których demontowano ich części. Jakkolwiek makabrycznie by to brzmiało, tuż obok strefy kontroli celnej umieszczono kostnicę – barak, w którym badano chorych oraz ciała zmarłych przewożone do RFN, na Zachód, a w wyjątkowych przypadkach także do NRD.

Znaczną część strefy kontroli samochodów wyjeżdżających z NRD rozebrano jesienią 1995 roku. Zachowano jednak barak, w którym prowadzono bardzo szczegółową kontrolę celną w przypadku jakiegoś uzasadnionego podejrzenia. Było to miejsce, w którym dla wielu obywateli NRD kończyła się próba ucieczki. Konstrukcją zwracającą uwagę jest również mostek obserwacyjny, z którego z góry oglądano ładunki samochodów ciężarowych wyjeżdżających z Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Takie samo było również przeznaczenie tzw. działka gamma, obok którego musiały przejechać wszystkie pojazdy opuszczające NRD. W latach 1978––1980 Stasi testowała w Marienborn urządzenie, które w poszukiwaniu ukrytych pasażerów prześwietlało pojazdy promieniami cezu-37. Po pomyślnych próbach zainstalowano

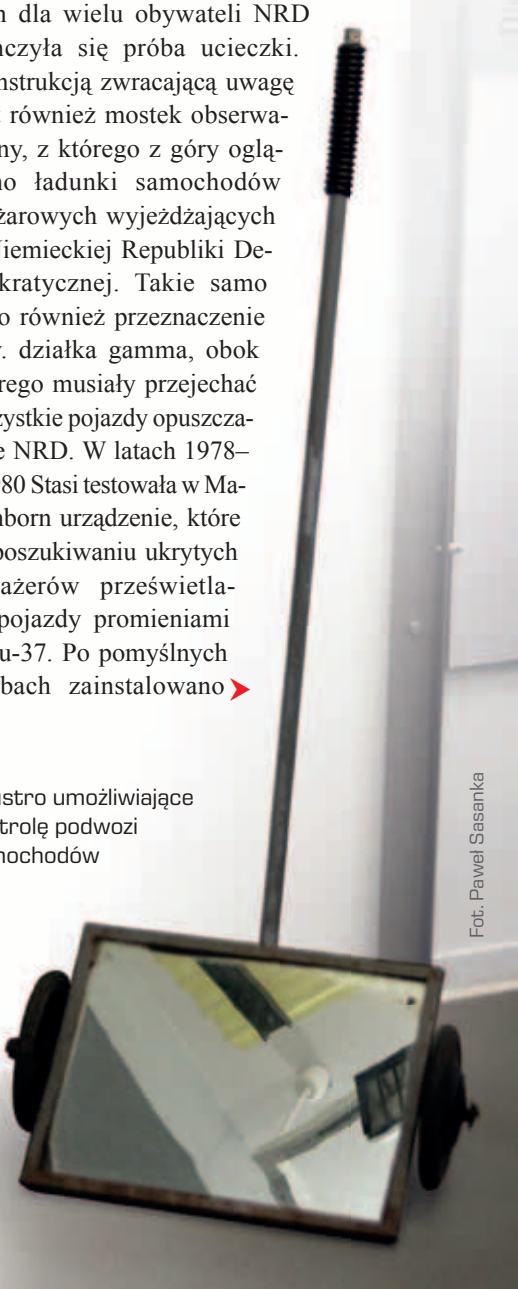

Fot. Paweł Sasanka

Lustro umożliwiające kontrolę podwozi samochodów

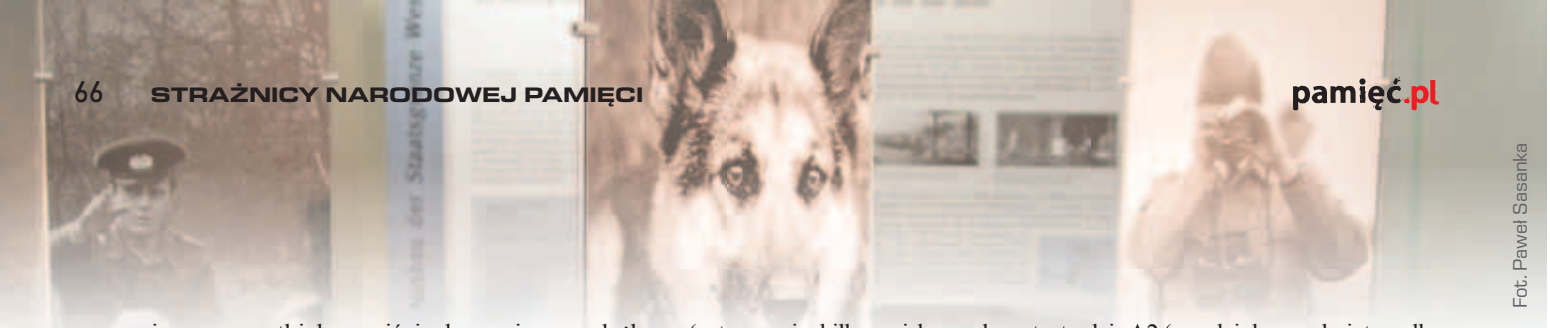

Fot. Paweł Sasanka

je na wszystkich przejściach granicznych między NRD a RFN i Berlinem Zachodnim.

Zamrożone w czasie

W budynku sztabowym znajdowało się centrum dowodzenia przejściem granicznym – biura jednostki kontroli paszportowej Stasi, urzędu celnego oraz straży granicznej. Obecnie mieści się tu centrum informacyjne dla zwiedzających. Jeden z gabinetów, z widokiem na wieżę dowodzenia i autostradę, pozostawiono bez zmian – można odnieść wrażenie, że urzędujący w nim oficer wyszedł zaparzyć sobie herbatę. W wielu innych pomieszczeniach pozostawiono fragmenty z zabezpieczonymi oryginalnymi tapetami, którym towarzyszą informacje o wcześniejszym przeznaczeniu. *Vis-à-vis* budynku sztabowego niegdyś znajdowała się kantyna (*Kaffeeklappe*) dla pracowników – przejście graniczne było miejscem pracy około tysiąca osób, funkcjonariuszy kontroli paszportowej, celnej, straży granicznej oraz pracowników cywilnych. Warte podkreślenia jest to, że oprócz funkcjonariuszy Stasi pracujących jawnie (co najmniej w stopniu majora), niejawnymi pracownikami bądź współpracownikami Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego NRD było wielu pracowników innych służb, pozornie bez związku z aparatem bezpieczeństwa.

W samodzielnym budynku na obrzeżach przejścia granicznego umieszczono telefoniczną centralę podsłuchową do kontrolowania wszystkich rozmów prowadzonych na terenie kompleksu, w tym oczywiście między obywatelami NRD a RFN. Służby graniczne dysponowały również własnym zapleczem technicznym (warsztatami: stolarskim, ślusarskim i elektrycznym) oraz garażami, w których trzymano pojazdy służbowe (w tym. m.in. kilka wojskowych dżipów typu „Trabant Kübel").

Newralgicznym punktem przejścia granicznego w Marienborn była wieża dowodzenia, czyli centrala oficera dyżurującego, w której zbiegały się wszystkie systemy informacyjne. W razie próby ucieczki za naciśnięciem jednego przycisku oficer ten był w stanie zatrzymać cały ruch na przejściu i uruchomić wszystkie systemy sterowania i zabezpieczenia, światła, szlabany i zapory samochodowe. Skądinąd słowo „zapora samochodowa" wymaga dodatkowego komentarza, gdyż pod tym mianem krył się cały system szlabanów i zapór rolkowych, które miały zapobiec próbie ucieczki samochodów osobowych lub ciężarowych. Każda z czterech zapór rolkowych umożliwiała zatrzymanie pięćdziesięciotonowej ciężarówki jadącej z prędkością 80 km/h.

Fot. Paweł Sasanka

Udokumentowane przez Stasi nieudane próby staranowania zapór granicznych na autostradzie A2; każda z czterech zapór umożliwiała zatrzymanie pięćdziesięciotonowej ciężarówki jadącej z prędkością 80 km/h

Do dziś niewiele wiadomo o funkcjonowaniu posterunku kontrolnego Armii Radzieckiej, znajdującego się przy samej autostradzie A2 (na odcinku zamkniętym dla ruchu cywilnego). Na mocy powojennych porozumień między zwycięskimi mocarstwami, żołnierze sowieccy przez 45 lat mogli kontrolować amerykańskie, brytyjskie i francuskie transporty wojskowe przekraczające granicę strefy radzieckiej w drodze do Berlina Zachodniego. Co ciekawe, posterunek ten był ściśle oddzielony od strefy kontroli prowadzonej przez służby enerdowskie. Na początku lat dziewięćdziesiątych został rozebrany do ostatniej cegły. Dyrektor Miejsca Pamięci Podziału Niemiec w Marienborn, dr Sascha Möbius, zwrócił uwagę na to, że wszystkie podejmowane dotychczas próby dotarcia do spoczywających w moskiewskich archiwach dokumentów opisujących funkcjonowanie posterunku zakończyły się niepowodzeniem. W tym kontekście nie powinno dziwić, że również służby zwycięskich mocarstw zachodnich, Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Francji, nie zamierzają zdradzić choćby cząstki swojej wiedzy na ten temat.

Początek końca przejścia granicznego w Marienborn był oczywiście nierozerwalnie związany z upadkiem NRD i datą 9 listopada 1989 roku – dniem otwarcia granicy wewnątrzniemieckiej i runięciem muru berlińskiego. Wszelkich kontroli zaprzestano wraz z wejściem w życie unii gospodarczej, walutowej i socjalnej między RFN a NRD. Stało się to 1 lipca 1990 roku – dokładnie po 45 latach od momentu ustanowienia przez aliantów punktu kontrolnego między strefami okupacyjnymi w Niemczech.

dr Paweł Sasanka – historyk, pracownik Biura Edukacji Publicznej IPN, współautor (ze Sławomirem Stępniem) albumu *Zimna Wojna. Krótka historia podzielonego świata* (2012), współtwórca wystaw historycznych

Akta zniszczone, akta ocalone

Paweł Zielony

Stare raporty i meldunki na pożółkłych kartkach maszynopisu, na pierwszy rzut oka różniące się tylko numerem stron. Każde zdanie przepełnione typową dla bezpieki terminologią operacyjną. Czy z takich materiałów można stworzyć wystawę, która zrozumiale i atrakcyjnie opowie historię komunistycznych służb bezpieczeństwa? Zainteresowanie ekspozycją przygotowaną przez Biuro Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN dowodzi, że jest to możliwe.

Po zakończeniu II wojny światowej państwa Europy Środkowo-Wschodniej znalazły się pod silnym wpływem Związku Sowieckiego. Jego władze stopniowo wprowadzały na kontrolowanym terenie system polityczny wzorowany na własnym. Jednocześnie pod nadzorem funkcjonariuszy NKWD były tworzone organy bezpieczeństwa i wywiadu. Służby te stanowiły najważniejszy instrument represji i dominacji partii rządzących.

Po upadku komunizmu demokratycznie wybrane parlamenty państw dawnego bloku wschodniego postanowiły utworzyć instytucje, które miały przejąć i udostępniać archiwalia bezpieki. Aby móc wymieniać doświadczenia i wspierać się wzajemnie w rozliczaniu z dyktaturą komunistyczną, instytucje te utworzyły w grudniu 2008 roku w Berlinie Europejską Sieć Instytucji Archiwalnych Zajmujących się Aktami Tajnych Służb. Oprócz polskiego IPN w jej skład weszły: Komisja ds. Odtajniania Dokumentów oraz Ujawniania Powiązań z byłymi Organami Bezpieczeństwa Państwa i Wywiadem (Bułgaria), Instytut Badania Reżimów Totalitarnych (Czechy), Urząd Federalnego Pełnomocnika ds. Dokumentów Państwowej Służby Bezpieczeństwa byłej Niemieckiej Republiki Demokratycznej (Niemcy), Krajowa Rada Badań Archiwów Securitate (Rumunia), Instytut Pamięci Narodu (Słowacja) oraz Archiwum Historyczne Węgierskich Służb Bezpieczeństwa Narodowego (Węgry).

Plenerowa ekspozycja „...a akta zniszczyć. Archiwa komunistycznego aparatu represji w Polsce i innych krajach Europy" powstała z okazji dziesięciolecia działalności IPN oraz na zakończenie rocznego przewodnictwa instytutu w Europejskiej Sieci Instytucji Archiwalnych Zajmujących się Aktami Tajnych Służb. Wystawa miała premierę 7 października 2010 roku na placu Zamkowym w Warszawie przy okazji obrad sieci na Zamku Królewskim. Jej inicjatorem był ówczesny dyrektor BUiAD IPN, dr Zbigniew Nawrocki. Na 22 dwustronnych planszach staraliśmy się przedstawić metody i narzędzia służb komunistycznych stosowane do inwigilacji społeczeństwa. Na zdjęciach można np. zobaczyć wykorzystywaną przez Stasi dmuchawę z gorącym powietrzem, służącą do rozklejania kopert z korespondencją prywatną, pozwalającą na otwieranie do 150 listów na godzinę, na innych – przedmioty codziennego użytku, w których były ukrywane instalacje podsłuchowe, czy słoiki z przechowywanymi w nich próbkami zapachów zbieranych przez Stasi podczas konspiracyjnego przeszukiwania mieszkania, służącymi do identyfikowania przestępców. Z wystawy można się też dowiedzieć, jak i na jakiej podstawie służby werbowały tajnych współpracowników oraz jak wyglądały ich teczki personalne i teczki pracy. Prezentujemy ponadto inne kategorie osobowych źródeł informacji: konsultant, kontakt operacyjny, kontakt poufny, kontakt obywatelski, kontakt służbowy. Na planszach została też ukazana współpraca między organami bezpieczeństwa poszczególnych krajów ➤

FUNKCJONARIUSZE I AGENTURA
2
UMOCE BERLIŃSKIEGO ZWYCIĘSTWA
OTRZYMAŁAM CODZIENNĄ
WZOROWĄ SŁUŻBĄ I PRACĄ
1989
1968
1989
1955
1953
1962

ROZPRACOWYWANIE PRZECIWNIKA
5
TECZKA

INWIGILACJA OBYWATELA
6

ZAPACH TO TEŻ ŚLAD!
11

ROZKAZ ZNISZCZYĆ!
34

REKONSTRUKCJA
41

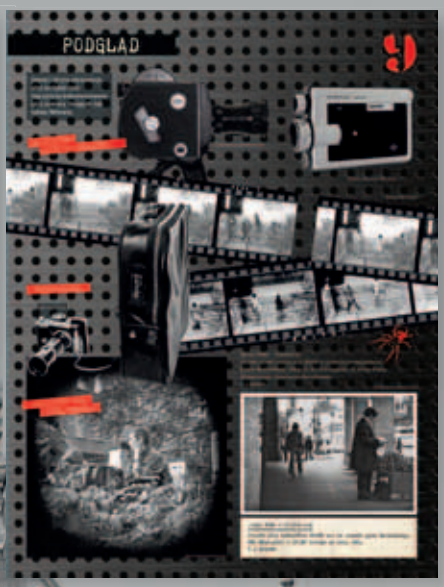

Fot. Marzena Zielony

„demokracji ludowej", a także proces informatyzacji archiwów bezpieki.

Zgodnie z tytułem wystawy – dużo miejsca poświęcamy sposobom niszczenia archiwaliów Służby Bezpieczeństwa w okresie przemian ustrojowych, a także zwracamy uwagę na przejęcia i tzw. prywatyzację dokumentów przez funkcjonariuszy bezpieki. Przedstawiliśmy też metody odzyskiwania podartych dokumentów, m.in. program wirtualnej rekonstrukcji opracowany przez Fraunhofer-Institut w Berlinie. Po zeskanowaniu archiwaliów, opisaniu ich i wprowadzaniu do bazy danych – specjalny program analizuje znaki szczególne każdego kawałka i dokonuje automatycznego składania dokumentów.

Ostatnie plansze wystawy przedstawiają podobieństwa i różnice postaw społeczeństw poszczególnych krajów wobec archiwaliów bezpieki. Mimo kontrowersji, które wzbudzają dokumenty ocalone przed zniszczeniem, trzeba stwierdzić, że są one niezastąpionym źródłem poznania naszej historii. To od nas zależy, w jaki sposób zostaną zinterpretowane, przedstawione i do jakich celów będą wykorzystywane. Młodemu pokoleniu mogą pomóc zrozumieć mechanizmy poprzedniego systemu skierowanego przeciwko obywatelom, a jego ofiarom – rozliczyć dyktatury.

Dotychczas, oprócz prezentacji na placu Zamkowym, wystawa była eksponowana podczas warszawskich nocy muzeów oraz pikniku archiwalnego odbywającego się cyklicznie przed gmachem Polskiej Akademii Nauk. Wybrane fragmenty są przedstawiane i omawiane podczas konferencji, prezentacji i szkoleń organizowanych przez pion archiwalny IPN. Dostępny jest także katalog wystawy.

Paweł Zielony – pracownik Biura Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN, koordynator wystawy „... a akta zniszczyć. Archiwa komunistycznego aparatu represji w Polsce i innych krajach Europy"

Epistolografia wyborcza

Dążąc do objęcia władzy w Polsce po II wojnie światowej, komuniści starali się zachować pozory legalizmu i demokracji. Cel ten przyświecał organizacji wyborów do Sejmu Ustawodawczego w styczniu 1947 roku, wcześniej zaś tzw. referendum ludowego w czerwcu 1946 roku. Służyło ono rozpoznaniu poglądów społeczeństwa i próbie sił przed właściwymi wyborami. Sfałszowane wyniki obu głosowań sankcjonowały niejako system rządów kreowany przez Polską Partię Robotniczą. Kolejne wybory w 1952 roku były już zupełną fikcją – wystawiono w nich dokładnie tylu kandydatów, ile było miejsc w sejmie. Wszyscy dostali się do parlamentu, co oznaczało, że posłów mianowały *de facto* władze PZPR czuwające nad kształtem list. Owym wyborczym farsom została poświęcona nowa publikacja Tadeusza Wolszy i Andrzeja Zaćmińskiego *Ludzie listy piszą... Referendum i wybory do Sejmu w korespondencji Polaków (1946–1952)*.

Książka składa się z czterech rozdziałów. Pierwszy jest poświęcony źródłom, na podstawie których powstała. W odniesieniu do głosowań w latach 1946 i 1947 były to prywatne listy, skontrolowane w ramach tzw. perlustracji korespondencji przez aparat bezpieczeństwa publicznego. O wyjątkowości i wartości poznawczej rzeczonych materiałów świadczy to, że – jak czytamy we wstępie – „autorzy listów w zdecydowanej większości przypadków nie mieli świadomości, że ich korespondencja była otwierana i czytana przez osoby trzecie – urzędników i funkcjonariuszy MBP. Zawarte w niej treści oddają zatem rzeczywiste nastroje i postawy społeczeństwa w okresie kampanii wyborczej (1946–1947), a także prezentują stosunek autorów listów do wyborów parlamentarnych i ich głównych bohaterów (zarówno komunistycznej, jak i opozycyjnej proweniencji)". Wybory sejmowe z 1952 roku zostały natomiast ukazane w świetle korespondencji nadesłanej do Biura Listów Komitetu ds. Radiofonii – Polskiego Radia, gromadzonej na potrzeby propagandowej audycji *Fala 49*. Nadawcy byli świadomi, że ich opinie trafią w ręce komunistycznych aparatczyków, występowali więc nierzadko anonimowo, a jeśli decydowali się na ujawnienie nazwiska, mogli poddawać się swoistej autocenzurze. Mimo to jest to cenne źródło historyczne.

Kolejne trzy rozdziały poświęcono głosowaniom, które odbywały się w okresie wyznaczonym cezurami chronologicznymi pracy. Każdy z tych rozdziałów został skonstruowany według podobnego schematu: najpierw autorzy wprowadzają czytelnika w problematykę referendum oraz wyborów do sejmu. Potem jest przedstawiana tytułowa korespondencja – opracowana z zachowaniem naukowych zasad edycji źródeł.

Lektura zawartych w publikacji listów dostarcza wielu cennych informacji na temat nastrojów społecznych w okresie kampanii wyborczych towarzyszących pierwszym głosowaniom powszechnym w Polsce pod rządami PPR/PZPR. Większość ludzi trzeźwo oceniała ówczesną sytuację polityczną, nie dając się zwieść głoszonym przez nowe władze hasłom o wolności, demokracji i sprawiedliwości społecznej. Szermowanie nimi przez komunistów, dążących do monopolizacji polskiego życia politycznego i budowy systemu totalitarnego opartego na wzorcach sowieckich, zupełnie wypaczało właściwe znaczenie tychże ideałów, z czego wielu Polaków zdawało sobie sprawę. „Ostatnio u nas – pisał Bronisław Czajka z Opola w liście wysłanym kilka dni przed referendum – wprost rozszalała się propaganda i agitacja na rzecz nadchodzącego terminu głosowania. Dochodzi się do przekonania, że »to wszystko takie wstrętne i brudne«, takie dalekie od rzeczywistego patriotyzmu. Doprawdy dziwna ta demokracja, co daje głosić hasło »kto nie z nami, ten przeciw nam«. Ale mam nadzieję, że kiedyś jednak szydło z worka wylezie". Po ogłoszeniu wyników czerwcowego głosowania Henryk Szymczykowski ze Zbierska stwierdził z kolei: „Przecież doskonale sobie sprawę zdajemy, że wstawili nam lipę".

W obawie przed represjami krytyczne opinie często były wyrażane w zawoalowany sposób. Przykładem takiej formy wypowiedzi jest list wysłany do rodziny na Pomorzu przez odbywającego zasadniczą służbę wojskową w Warszawie Stanisława Kolickiego. „My, żołnierze – pisał Kolicki – pojedziemy dzisiaj składać te nasze życzenia do urny. Tak samo i Wy na pewno składacie te szczere życzenia demokratyczne. Te tak! tak! tak!, ale odwrotnie? Moi drodzy, byście mogli widzieć, ulotkami są całkiem ulice wylepione, u nas w koszarach to jak by [pisownia oryginalna] było wytapetowane. A byście mieli widzieć, jak samoloty nadjechały z ulotkami nad Warszawę, to myśleliśmy, że śnieg pada. Wczoraj na meczu to jeden peperowiec miał przemowę, to go wygwizdali. A miał przemowę Mikołajczyk, to go ściskali czapkami i marynarkami

Tadeusz Wolsza, Andrzej Zaćmiński, *Ludzie listy piszą... Referendum i wybory do Sejmu w korespondencji Polaków* (1946–1952), Wydawnictwo Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego, Bydgoszcz 2013, 279 s.

w górę. To chyba do zrozumienia dałem Wam dosyć. Możecie napisać, jak tam u Was, tylko dwuznacznie!...".

Z drugiej strony należy odnotować, że w korespondencji nie brakowało także głosów poparcia dla nowych władz. Wyrażały one nadzieje na lepsze jutro. „Zatem 3 x tak – a murowana Polska" – pisała entuzjastycznie przed referendum nieznana z nazwiska Maria z Bydgoszczy. Znamienne jednak, że znaczna część opinii tego rodzaju wyszła spod pióra poborowych odbywających zasadniczą służbę wojskową, co skłania do konstatacji, iż nie były one wyrażane dobrowolnie. Potwierdza to list Tadeusza Kopki. „Pisałem Wam – zwracał się do rodziców – żebyście głosowali trzy razy tak, to nie bierzcie to pod uwagę, bo ja tę kartkę dostałem z pułku. Nie tylko ja, ale wszyscy, i kazali nam napisać rodzinie, żeby głosowała trzy razy tak, dostaliśmy kopertę, żeby napisać, a Wy to wcale nie bierzcie pod uwagę".

Wraz z utrwalaniem komunistycznych rządów nad Wisłą ludzie coraz częściej wyrażali smutek, rozgoryczenie lub złość. Zdawano sobie sprawę z uzależnienia Polski od Związku Radzieckiego. „Przybiły nas kompletnie – stwierdzał po głosowaniu w styczniu 1947 roku mieszkaniec Krakowa – wyniki wyborów. W domu naszym było bardzo wesoło dawniej, teraz nikt nie śpiewa, nawet głośno się nie śmieje. Przygnębienie panuje kompletne. Co jednak robić. Zostaliśmy 17. republiką i koniec, a raczej nie koniec, ale początek". „Pytam się – pisał z kolei Jan Sikorski z Piotrkowa Trybunalskiego w liście przesłanym do *Fali 49* przed wyborami w 1952 roku – po co w Polsce wybory, w państwie, które jest pod zaborem, w państwie, w którym rządzi dyktatura. Wy urządzacie wybory tam, gdzie nie ma stronnictw politycznych, a rządzi tylko partia zwana PZPR, partia, która sprzedała Polskę w niewolę, partia dyktatury. Po to, by wprowadzić w błąd opinię publiczną i odwrócić uwagę od rzeczywistości, jaka istnieje. Wy to nazywacie Rzeczpospolitą – wprost znieść nie można tych kłamstw, jakimi nas darzycie co dzień".

Referendum z 1946 i wybory z 1947 roku obszernie opisywali m.in. Krystyna Kersten, Andrzej Paczkowski, Czesław Osękowski i Janusz Wrona. Recenzowana praca nie zmienia zasadniczo dotychczasowych ustaleń badawczych, pokazuje jednak, że temat nie jest wcale wyczerpany. Wprowadza bowiem do obiegu naukowego nowe, niezmiernie ciekawe źródła, które pozwalają na bliższe przyjrzenie się postawom społeczeństwa wobec tytułowych głosowań. Wartość opracowania podnosi dodatkowo rozdział na temat wyborów do sejmu PRL I kadencji. Ich bibliografia ograniczała się do tej pory do zaledwie kilku artykułów naukowych, poświęconych pewnym wycinkowym zagadnieniom szczegółowym (jak propaganda, postawy duchownych czy działalność aparatu bezpieczeństwa), a najczęściej była zawężona do określonych regionów. Książka Tadeusza Wolszy i Andrzeja Zaćmińskiego umożliwia bliższe spojrzenie na powojenną historię Polski. Powinna zainteresować badaczy tego okresu, ale też wszystkich, którzy chcą zgłębić skomplikowane meandry ówczesnej rzeczywistości społeczno-politycznej.

Michał Siedziako

Zbliża się kolejna, 33 rocznica wprowadzenia stanu wojennego w Polsce. Tak jak w poprzednich latach, Instytut Pamięci Narodowej zaprasza do przyłączenia się do kampanii społecznej „Zapal Światło Wolności". Przypominamy gest papieża Jana Pawła II i amerykańskiego prezydenta Ronalda Reagana, którzy w wigilijny wieczór 1981 roku w akcie solidarności z cierpiącym polskim narodem postawili świece w oknach swoich rezydencji. Podobnie postąpiły miliony obywateli wolnego świata. Dzisiaj my możemy upamiętnić ofiary reżimu gen. Jaruzelskiego, zapalając symboliczną świeczkę w oknach naszych domów.

Ponadto Instytut Pamięci Narodowej przygotowuje szereg propozycji edukacyjnych, wśród których znajdą się m.in.:

- **kurs zabytkowym ikarusem ulicami Warszawy**
- **koncert piosenek opozycyjnych**
- **wystawy edukacyjne**
- **maratony filmowe**
- **konkursy na Facebooku**
- **materiały edukacyjne do pobrania**

Dołącz do nas 13 grudnia! Uczcij ofiary stanu wojennego!

Prześlij nam informację o planowanych obchodach w Twoim mieście.
Więcej informacji: www.pamiec.pl/13grudnia

Życie wewnętrzne komunistów

Ze wszystkich książek historycznych to biografie są tymi najchętniej czytanymi. Nie znam żadnych badań na potwierdzenie tej tezy. Stawiam ją po przebadaniu zawartości biblioteczek znajomych i rzuceniu okiem na listę bestsellerów „New York Timesa" (w kategorii literatury faktu w pierwszej piątce są dwie biografie). Na polskim rynku prawdziwości tego twierdzenia dowiodła ostatnio najnowsza książka prof. Jerzego Eislera *Siedmiu wspaniałych. Poczet pierwszych sekretarzy KC PZPR*. Czytelnicy chętnie sięgają po biografie, czego środowisko polskich historyków, jak się wydaje, w dużym stopniu nie dostrzega. Wciąż brak np. pełnych, rzetelnych opracowań dotyczących najważniejszych polityków komunistycznych. Ograniczając się do grona pierwszych sekretarzy – czekamy na nowe książki o Gomułce, Gierku, Rakowskim. Na szczęście pojawiają się zwiastuny zmian – w tym wyjątkowa biografia Romana Zambrowskiego autorstwa Mirosława Szumiły.

Nazwisko Zambrowski kojarzy zapewne niewielu. Ten urodzony na początku XX wieku Żyd od najmłodszych lat był zaangażowany w ruch komunistyczny i wspinał się po szczeblach partyjnych aż do stanowiska członka Biura Politycznego PPR i PZPR (do 1963 roku). Apogeum jego kariery politycznej przypadło na czas stalinizmu oraz stosunkowo krótki okres po 1956 roku, kiedy był jedną ze znaczących postaci w tzw. frakcji puławian. Nigdy nie stał się jednak człowiekiem nr 1 (ani nawet nr 2), chociaż przez wiele lat utrzymywał się w ścisłym kierownictwie władzy. Na boczny tor odsunięto go w latach sześćdziesiątych, epilogiem było wyrzucenie z PZPR na fali antysemickiej czystki w roku 1968. Chociaż Zambrowski jest postacią niezwykle interesującą i głównym bohaterem książki, to autor wyraźnie wskazuje, że opowieść o jego losach jest pretekstem do ukazania innych zjawisk związanych z funkcjonowaniem elity komunistycznej tamtych czasów.

Szczegółowe odtworzenie historii samego Zambrowskiego, jak i realiów funkcjonowania na szczytach władzy było możliwe dzięki solidnej kwerendzie bibliograficznej oraz archiwalnej. Autor sięgnął do zbiorów krajowych, takich jak Archiwum Akt Nowych czy Centralne Archiwum Wojskowe, ale – co warto podkreślić – skorzystał także z materiałów znajdujących się w Rosyjskim Państwowym Archiwum Historii Społeczno-Politycznej (RGASPI). Zgromadzone tam dokumenty Kominternu pozwoliły uzupełnić kilka luk w biografii Zambrowskiego. Osobną kategorią były źródła, do których udało się dotrzeć autorowi dzięki osobistym kontaktom, niezwykle cenne okazały się dokumenty ze zbiorów prywatnych, a przede wszystkim relacje.

Ryzykiem zawodowym historyka piszącego biografię jest emocjonalne podejście do swojego bohatera. Skutek może być dwojaki, w zależności od tego, czy opisywana postać wzbudza sympatię, czy też wręcz przeciwnie. Mirosław Szumiło nie wpadł w tę pułapkę. Jest obserwatorem, analitykiem, nie wydaje wyroków. Zachowuje całkowity obiektywizm przy opisie życiowych wyborów oraz działań, mimo że ma do czynienia z komunistą bezwzględnie instalującym dyktaturę (m.in. przez prawie dekadę stał na czele niesławnej Komisji Specjalnej do Walki z Nadużyciami i Szkodnictwem Gospodarczym). Ocenę pozostawia czytelnikowi. Jednocześnie obiektywizm nie wyklucza empatii. Autor stara się Zambrowskiego zrozumieć, spojrzeć na świat jego oczami.

Wnikliwość autora i chęć zrozumienia motywacji Zambrowskiego kieruje go ku analizie czynników kształtujących postawę oraz działania bohatera książki. Niezwykłe wrażenie robią rozdziały o dzieciństwie oraz początkach jego zaangażowania w ruch komunistyczny. Szumiło wpisuje postać Zambrowskiego w portret całego pokolenia młodzieży pochodzenia żydowskiego. Analizując kwestię samoidentyfikacji narodowej i społecznej, religijności (czy raczej jej braku), drogę do ideologii komunistycznej, stara się pokazać uwarunkowania tych wyborów. Dzięki odwoływaniu się do innych znanych przypadków stawianie przez autora diagnozy nie są tanim psychologizowaniem, ale uprawnionym wnioskowaniem na podstawie analogii.

Praca zmienia trochę swój charakter wraz z kolejnymi rozdziałami, w których obserwujemy drogę Zambrowskiego na szczyty władzy. Opisy stają się szczegółowsze, zarówno jeżeli chodzi o działalność bohatera, jak i otaczającą go rzeczywistość polityczną. Zgodnie z założeniami biografii pretekstowej, Szumiło wiele miejsca poświęca obrazowi elity komunistycznej – kwestiom jej pochodzenia, doświadczenia, wzajemnych powiązań, sojuszy, konfliktów, walki o władzę. Dzięki temu, że Zambrowski długo był osobą odpowiedzialną za szeroko pojęte sprawy organizacyjne, możemy poznać mechanizm wewnętrznego życia partii: proces obsadzania poszczególnych stanowisk, awansowania w partyjnej hierarchii czy jakości osobowego zaplecza, którym dysponowała PZPR na początku swojej działalności. Bardzo ciekawie prezentują się ustalenia autora dotyczące okresu walk między natolińczykami a puławianami.

Biografia Zambrowskiego jest wzorową książką naukową, rzetelną, dobrze udokumentowaną, wnoszącą wiele nowych ustaleń do naszej wiedzy na temat kulis kształtowania się i działania elity komunistycznej. O ile w kwestiach naukowych nie można nic jej zarzucić, o tyle trzeba zaznaczyć, że w kilku miejscach warstwa faktograficzna może przytłoczyć przeciętnego czytelnika. Jest to z resztą jedyny zarzut, który można postawić tej pracy – to, że jest wyczerpująca i szczegółowa, może działać czasem na jej niekorzyść. Jednak ostateczna ocena może być tylko jedna – jest to pozycja wyjątkowa i najlepsza do tej pory wydana biografia partyjnego dygnitarza, punkt odniesienia do dalszych badań nad historią komunizmu.

Mirosław Szumiło, *Roman Zambrowski 1909–1977. Studium z dziejów elity komunistycznej w Polsce*, IPN, Warszawa 2014, 526 s.

Tomasz Kozłowski

■ Leszek Biernacki, *Gdy wieje wiatr historii... Studenci z robotnikami, Gdańsk 1976–1980*, IPN, Warszawa 2014, 470 s.

■ „CzasyPismo. O historii Górnego Śląska", IPN, Katowice, 2014, nr 1 (5), 200 s.

■ Tomasz Sylwiusz Ceran, *Im Namen des Führers... Selbstschutz Westpreussen i zbrodnia w Łopatkach w 1939 roku*, IPN, Bydgoszcz–Gdańsk 2014, 188 s.

■ Jakub Kazimierski, *PZPR w województwie katowickim wobec NSZZ „Solidarność" w latach 1980–1982*, IPN, Katowice 2014, 360 s.

■ *Kobiety „na zakręcie" 1933–1989*, red. E. Chabros, A. Klarman, IPN, Wrocław 2014, 418 s.

■ Krzysztof Kosiński, *Wiwisekcja powszedniości. Studium wczesnej twórczości Marka Nowakowskiego (1957–1971)*, IPN, Warszawa 2014, 560 s.

■ *Letnia Szkoła Historii Najnowszej 2013. Referaty*, red. A.M. Adamus, Ł. Kamiński, wstęp Łukasz Kamiński, IPN, Warszawa 2013, 223 s.

■ *Łódź Ghetto/ Litzmannstadt Getto 1940–1944*, red. J. Baranowski, S.M. Nowinowski, IPN, Łódź 2014, 287 s.

■ *„Nie jesteśmy całkiem zapomniani..." Listy Jadwigi i Bolesława Haberów z łagrów i zesłania w ZSRR z lat 1946–1955*, wstęp, oprac., tłum. M. Ruchniewicz, IPN, Warszawa 2014, 287 s.

■ *Od kontrkultury do New Age. Wybrane zjawiska społeczno-kulturowe schyłku PRL i ich korzenie*, red. E. Chabros, IPN, Wrocław 2014, 303 s.

■ *Od ostatnich Leśnych do „Solidarności". Z dziejów opozycji politycznej i oporu społecznego w Polsce południowo-wschodniej (1956–1989)*, red. M. Gliwa, M. Krzysztofiński, IPN, Rzeszów 2014, 424 s. + 40 s. wkł. zdj.

■ *Oskar Halecki i jego wizja Europy*, red. M. Dąbrowska, t. 2, IPN, Warszawa – Łódź 2014, 296 s. + 22 s. wkł. il.

■ „Pamięć i Sprawiedliwość", IPN, Warszawa 2014, nr 1 (23), 509 s.

■ *Regionalny wymiar „Solidarności" 1980–1981. Szczecin na tle kraju*, red. A. Kubaj, M. Siedziako, IPN, Szczecin 2014, 348 s.

■ Kazimierz Sakowicz, *Dziennik 1941–1943*, IPN, Warszawa 2014, 125 s.

■ Mirosław Szumiło, *Roman Zambrowski 1909–1977. Studium z dziejów elity komunistycznej w Polsce*, IPN, Warszawa 2014, 527 s. + 16 s. wkł. zdj.

■ *W służbie Boga i Polski. Komunistyczna bezpieka wobec kardynała Stefana Wyszyńskiego*, red. ks. J. Marecki, F. Musiał; oprac. ks. J. Marecki, ks. P. Nitecki, R. Szczypta-Szczęch, IPN, WAM, Kraków 2014, 780 s. (seria „Niezłomni")

■ Sławomir Zajączkowski, Tomasz Bereźnicki, *Wrzesień pułkownika Maczka*, konsultacja historyczna B. Kleszczyński, T. Bereza, IPN, Rzeszów 2014 (komiks)

Instytut Pamięci Narodowej
Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu
02-675 Warszawa, ul. Wołoska 7

Publikacje IPN można nabyć:
w Centrum Edukacyjnym IPN im. Janusza Kurtyki
PRZYSTANEK HISTORIA ul. Marszałkowska 21/25, 00-628 Warszawa
poniedziałek – piątek w godz. 10:00–18:00,
sobota w godz. 9:00–14:00, tel. 22 576 30 05

Prenumerata „Pamięci.pl"
Szczegółowe informacje na temat prenumeraty wraz z cennikiem i formularzem zamówienia znajdują się na stronie www.pamiec.pl przy opisie najnowszego wydania. Zamówienie można złożyć telefonicznie lub wysłać wypełniony formularz zwykłą pocztą na adres IPN albo pocztą elektroniczną na adresy podane poniżej.

Sprzedaż wysyłkowa publikacji
zamówienia można składać telefonicznie:
tel. 22 431 82 92, 22 431 82 88;
22 431 82 89; faks 22 431 82 91
pocztą zwykłą na adres Instytutu
pocztą elektroniczną: joanna.pamula@ipn.gov.pl;
joanna.pszczola@ipn.gov.pl; danuta.wierzman@ipn.gov.pl
lub w księgarni internetowej: www.ipn.poczytaj.pl

TWÓRCY KULTOWEJ „KOLEJKI” PRZEDSTAWIAJĄ:

NOWA GRA EDUKACYJNA O RZECZYWISTOŚCI PRL

Wymieniaj kartki i zdobywaj potrzebne towary!

Nie zwlekaj! Czas ucieka!

A tajniki systemu kartkowego poznasz na 136 stronach książki „Reglamentacja w Polsce Ludowej”, którą znajdziesz w pudełku.

Pudełko wypakowane po brzegi!
- 61 kart (w 3 rodzajach)
- 11 pionków (6 figurek i 5 domków)
- poręczny bączek (drewniany)
- czarna kostka (z białymi oczkami)
- mała (acz ciesząca oko) plansza
- oldskulowa książka (o systemie kartkowym)

PREMIERA 17.11.2014
UNIWERSAM GROCHÓW, WARSZAWA, 12.00

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

WWW.IPN.GOV.PL/GRY

3–5 graczy, wiek 10+, czas 30 min.

Gra do kupienia w punktach sprzedaży IPN oraz w dobrych sklepach z grami planszowymi.